

**Detektyw Monk i straż pożarna**

**Detektyw Monk jedzie na Hawaje**

**Detektyw Monk i dwie asystentki**

**Detektyw Monk i kosmos**

**Detektyw Monk jedzie do Niemiec**

**Detektyw Monk jedzie do Paryża**

Lee Goldberg

Na podstawie serialu telewizyjnego Andy'ego Breckmana

# **Detektyw Monk i brudny glina**

*Dla Valerie i Madison...  
i dla Orea za dotrzymanie mi towarzystwa  
podczas samotnych godzin pisania  
do bladego świtu*

## Podziękowania i nota autora

To pierwsza opowieść o Monku od lat, której nie napisałem na różnych komputerach, w różnych miastach, krajach i środkach transportu. Cała książka, od pierwszej do ostatniej strony, powstała na moim biurku w domu w Los Angeles.

Chciałbym podziękować mojemu przyjacielowi, pisarzowi Michaelowi Connely'emu, oraz dawnym policjantom, którzy zostali pisarzami, Lee Loflandowi i Paulowi Bishopowi, za fachowe i przyjazne porady w kwestiach policyjnych.

Jak zawsze mam wielki dług wdzięczności wobec Andy'ego Breckmana, twórcy Mońka, za nieustające wsparcie i gorący entuzjazm, a także za ufne powierzenie mi swoich powieściowych postaci.

Pragnąłbym też podziękować Ginie Maccoby, Kristen Weber i Kerry Donovan, bez których powstanie tej książki nie byłoby takie proste ani przyjemne.

Dokładam wszelkich starań, aby zachować w książkach zgodność z ciągłością fabularną serialu telewizyjnego, ale nie zawsze jest to możliwe, biorąc pod uwagę długi okres między ukończeniem książki a jej publikacją. W tym czasie na ekranie telewizorów mogą się pojawić odcinki, w których znajdują się szczegóły i sytuacje kłócące się z treścią książek. Jeśli natkniesz się, drogi czytelniku, na tego rodzaju sprzeczności, wdzięczny ci będę za wyrozumiałość.

Oczywiście czekam na was na stronie [www.leegoldberg.com](http://www.leegoldberg.com)!

# 1

## Monk i lekcja sprzed lat

Nazywam się Natalie Teeger. Spory kawał życia spędziłam, próbując rozstrzygnąć, kim jestem, kim chcę zostać i co chcę robić.

Chociaż odpowiedzi na te pytania nie znalazłam do dziś, to pogodziłam się z faktem, że już nie zostanę ani gwiazdą rocka, ani senatorem Stanów Zjednoczonych, ani modelką o międzynarodowej sławie. Z pewnością też nigdy nie wynajdę lekarstwa przeciwko jakiejś potwornej chorobie, nie będę miała autorskiego talk-show, nie zaprowadzę pokoju na Bliskim Wschodzie i nie dokonam wynalazku, który miałby diametralnie odmienić życie na ziemi.

Nie powiem, żeby w przeszłości wszystkie te rzeczy zajmowały moją uwagę, ale teraz oficjalnie przestałam szukać możliwości zrobienia kariery i porzuciłam wybujałe marzenia o wielkich dokonaniach.

Dziś stawiam przed sobą skromniejsze cele; znalezienie stałego chłopaka, zrobienie prania, zanim skończy się zapas czystej bielizny, czy spłacenie rachunków z kart kredytowych na koniec miesiąca.

Były czasy, kiedy za wszelką cenę usiłowałam określać siebie poprzez model kariery zawodowej, ale doszłam do wniosku, że nie jestem w stanie znaleźć zawodu, który byłby dla mnie najbardziej odpo-

wiedni (z drugiej strony trudno powiedzieć, żebym kiedykolwiek była pewna, co znaczy „dla mnie”). W międzyczasie parałam się różnymi zajęciami, począwszy od krupiera przy „oczku” w kasynie, a skończywszy na instruktorce jogi, ale żadnego nie wykonywałam długo i przy żadnym nie poczułam, że „to jest właśnie to”.

To, kim zostałam i co zaczęłam w końcu robić, odnalazło mnie samo; nie odwrotnie.

Na pewno bowiem nie planowałam zostać owdowiałą samotną matką wychowującą nastoletnią córkę ani pracować jako asystentka genialnego detektywa z zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi.

A jednak.

Jeśli to, kim jesteśmy, jest odzwierciedleniem tego, co robimy, jak siebie postrzegamy i jak widzą nas inni, to, jak przypuszczam, jestem po prostu kochającą i pełną wsparcia mamą nastoletniej Julie oraz zdolną, odpowiedzialną i ciężko pracującą asystentką Adriana Mońka.

Od lat już wypełniam obie te role z przyjemnością i większym czy mniejszym poczuciem satysfakcji, ale wciąż nie mam wrażenia, jakbym odnalazła w nich samą siebie. To zapewne dlatego, jak sądzę, że nie robię czegoś, o czym zawsze marzyłam, i nie wydaje mi się, aby te zajęcia idealnie wyrażały moje talenty i to, kim jestem - choć nie powiem, żebym wiedziała, jakie rzeczywiście są moje talenty.

Zazdroszczę ludziom, którzy nie mają takich problemów, czyli właściwie niemal każdemu, kogo znam.

Weźmy na przykład mojego byłego męża Mitcha. Od małego dziecka chciał być pilotem myśliwca, mę-

zem i ojcem. Takie założył sobie cele w życiu i osiągnął je.

Mitch zginął, będąc człowiekiem, jakim chciał zawsze być, i robiąc to, do czego był stworzony. Jestem przekonana, że nie zwątpił w to nawet w ostatnich chwilach życia. Kiedy myślę o nim i o tym, jak zginął w Kosowie, to ta jego niezachwiana pewność — połączona ze świadomością, że wiedział, jak bardzo go z Julie kochamy - daje mi kojące uczucie spokoju.

Adrian Monk to następny dobry przykład tego, o czym mówię. Monk łącznie porządku, przewidywalności, symetrii i czystości. Kiedy był chłopcem, marzyło mu się stanowisko inspektora departamentu miar i wag stanu Kalifornia. Ale to się dość szybko zmieniło. Już w szkole podstawowej objawiał nieprzeciętne zdolności do rozwiązywania drobnych zagadek kryminalnych, choćby odgadując, kto skradł pieniądze zebrane ze sprzedaży klasowego placka czy kto odpowiada za zniszczenie szafki w szatni.

Nie kierowało nim ani wścibstwo, ani zachłanna ciekawość, ani potrzeba zwrócenia na siebie uwagi, ani nawet pragnienie sprawiedliwości, lecz zniewalający przymus przywracania równowagi i porządku w otaczającym go świecie.

Zagadka kryminalna jest dla niego formą chaosu, bałaganem, który należy posprzątać, brakiem równowagi, którą trzeba przywrócić. Ta niekontrolowana potrzeba prostowania rzeczy, często w sensie dosłownym, układania wszystkiego na swoim miejscu, umożliwia mu dostrzeganie szczegółów, które umykają uwagi innych, i rozwikływanie zbrodni, które innym nie mieszczą się w głowie.

Sprawiedliwość nie ma dla Monka wymiaru filozoficznego, moralnego czy etycznego. Chodzi wy-

łącznie o równowagę, która musi być zachowana. W pewnym sensie rzeczywiście został inspektorem miar i wag.

Nie ma absolutnie żadnych wątpliwości, że zawód detektywa był pisany Adrianowi Monkowi. To naturalna pochodna jego osobowości, talentu i zaburzeń psychicznych.

Każdy o tym wie. On sam również. Jest tysiąc rzeczy, wobec których Monk czuje się bardzo niepewnie (dokładnie tysiąc, wszystkie je skatalogował i opatrzył indeksem), ale bycie wspaniałym detektywem do nich nie należy.

Dlatego też nigdy nie zaniecha starań o powrót do służby w Departamencie Policji San Francisco, mimo że departament na dobre odebrał mu etat, kiedy w następstwie morderstwa żony Monk popadł w ciężkie załamanie emocjonalne i umysłowe.

Dlatego też jego przyjaciel, kapitan Leland Stottlemeyer, wciąż zatrudnia go jako konsultanta w wydziale zabójstw, pomimo rozlicznych fobii Mońka i dziwacznych zachowań.

Stottlemeyer wiedział, że bycie detektywem to niezbywalna część charakteru Mońka, a ta praca to jedyny sposób, aby Monk trzymał się w karkach -w każdym razie do dnia, w którym wreszcie odnajdzie tego, kto podłożył bombę w samochodzie Trudy.

Jednak taka przysługa kosztowała kapitana Stottlemeyera niemało i wcale nie mam tu na myśli niezliczonych rzeczy, które on i jego prawa ręka, porucznik Randy Disher, musieli robić, aby utrzymywać Mońka w dobrym nastroju. (Jak choćby nieustanne pilnowanie, żeby zbyt blisko miejsca zbrodni nie stały białe-czarne radiowozy policyjne, ponieważ zakłóca to Monkowi koncentrację. Monk uważa, że



skoro samochód musi już być pomalowany na dwa kolory, to należy zachować ich symetrię, czerń po jednej stronie, a biel po drugiej. Każdy inny układ gwałci prawa natury.)

Monk jest wzywany na konsultacje tylko przy okazji przestępstw, które zapędzają Stottlemeyera i Dishera w kozi róg. Rozwiązuje wówczas zagadkę z niebywałą łatwością, a kapitanowi robi się głupio, że sam nie dostrzegł ewidentnych śladów. Wiem to, ponieważ kapitan wspomina mi o tym od czasu do czasu.

To jeden z powodów, dla którego lubię Stottlemeyera. Zawsze wyrazi Monkowi wdzięczność i odda mu należne uznanie. Wiem jednak, że za to płaci. Ciągłe zdawanie się na Mońka pozornie oznacza, że kapitan nie jest na tyle dobry, aby samemu rozwiązywać sprawy morderstw, a w każdym razie nie tak szybko...

Co gorsza, nawet w wypadku zabójstw, które Stottlemeyer i jego detektywi mogliby sami rozwikłać i bez wątpienia rozwikłaliby, Monk znajduje rozwiązanie zagadki, gdy oni jeszcze zapełniają swoje notesiki pierwszymi zapiskami.

Jednak fakt pozostaje faktem, że za każdym razem, gdy Monk daje kolejny genialny popis na miejscu zbrodni, nieświadomie sugeruje, że kapitan Stottlemeyer nie jest dobry w swoim fachu.

Oczywiście Monk nigdy o tym nie pamięta. Ale ja tak. Nic się w tym nie zmienia od wielu lat i z pewnością nie najlepiej to wpływa na poczucie własnej wartości kapitana. Wiem, że źle to wpływa na moje poczucie wartości, a przecież wcale nie chcę być detektywem.

Nieustannie oglądanie naturalnego talentu Mon-

ka i jego oddania dla pracy przypomina mi tylko o tym, że sama jeszcze niczego w życiu nie osiągnęłam.

Dla kapitana Stottlemeyera, który nie tylko wykonuje tę samą profesję co Monk, ale na dodatek jest jego przełożonym, to musi być o wiele gorsze uczucie.

Wszystkie te myśli zaprzętały mi *głowę* dziś przed południem, kiedy zmierzaliśmy do sali wykładowej w jednym z nowszych budynków wydziału prawa na University of California w San Francisco.

Mieliśmy się spotkać z kapitanem Stottlemeyerem na komendzie, aby odebrać czek z wypłatą Mońka, a co za tym idzie również wypłatę dla mnie, ale kapitan i porucznik Disher zostali niespodziewanie wezwani na uczelnię, gdzie doszło do strzelaniny. Ponieważ bardzo chcieliśmy już mieć w ręku swoje pieniądze, a na dodatek Monk nie potrafił się oprzeć wizycie na kolejnym miejscu zbrodni, ruszyliśmy tropem kapitana.

Była to duża sala wykładowa z jasnymi tablicami na flamastry i płaskimi monitorami zawieszonymi za mównicą. Niebawem kreda, gąbka i drewniana tablica znikną zapewne z tego świata, jak stało się już z maszynami do pisania, winylowymi płytami czy kalkami do kopiowania.

Przy każdej ławce w sali było zainstalowane gniazdko elektryczne i pulpit na laptopa. Łatwo sobie wyobrazić, że studiowanie tutaj to trochę tak, jak słuchanie wykładów w klasie biznesowej odrzutowca British Airways. Brakowało tylko kogoś, kto chodziłby między rzędami z wózkiem pełnym napojów i przekąsek.

Z grubsza policzyłam w głowie, ilu studentów znajduje się na sali; było ich około setki. Wszyscy

siedzieli na swoich miejscach i wiercili się niecierpliwie, patrząc, jak garstka detektywów spisuje od każdego zeznania.

Pytania zapewne dotyczyły martwego mężczyzny.

Ofiara wyglądała mi na jednego ze studentów, tyle tylko, że w przeciwieństwie do pozostałych młodych ludzi w piersi miała ranę postrzałową i była martwa.

Ciało mężczyzny leżało rozciągnięte u dołu przejścia między rzędami po lewej stronie sali. Na podłodze widać było długie smugi krwi, świadczące o tym, że mężczyzna turlał się na dół między rzędami, aż w końcu nadział się na jedną z tych eleganckich ławek.

W smudze krwi dostrzegłam pistolet. Miejsce jego położenia znaczył żółty, numerowany stożek, pewnie na wypadek, gdyby ktoś nie zauważył pistoletu, krwi i ciała.

Przy katedrze stał porucznik Disher, który z ołówkiem i notesem w ręku przesłuchiwał jakiegoś mężczyznę z drugim podbródkiem i siwymi włosami, w garniturze z krawatem.

Mężczyzna miał krótką brodę, którą pewnie zapuścił, jak sobie myślałam, aby odwrócić uwagę od tego drugiego, obwisłego podbródka.

Niemniej jednak brodę trzymał wysoko, stał wyprostowany i znad długiego nosa patrzył na Dishe-ra jak na niegrzeczne dziecko. Ciekawe, czy przybierał już taką postawę, zanim został profesorem, czy też szła ona w parze z zawodem — a może był to po prostu próżny wysiłek prężenia zwiotczającego karku.

Porucznik Disher miał ponad trzydzieści lat, był sympatyczny, zawsze chętny, aby wszystkim dogodzić, i zadziwiająco przyjacielski jak na detektywa

wydziału zabójstw, dzięki czemu większość osób odprężała się przy nim i otwierała, zdradzając o wiele więcej szczegółów, niż uczyniłaby to przy każdym innym osobniku z odznaką policyjną. Jednak z tego, co zaobserwowałam, nie wydawało się, aby mężczyzna, z którym rozmawiał Disher, należał do takich właśnie osób.

Kilku techników policyjnych robiło zdjęcia i zbierało dowody rzeczowe do woreczków, próbując wyglądać w czasie wykonywania tych czynności równie chłodno i fachowo jak David Caruso i Marg Helgen-berger w *Kryminalnych zagadkach CSI*. Nie bardzo im się to udawało. Byli zbyt świadomi przybieranej pozy, aby im się powiodło, a poza tym nie mieli własnej garderoby, stylistów i kształtnych ciał.

Stottlemeyer nie starał się na nikim robić wrażenia. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego i zmierzowanego niż zwykle. Jego marynarka i spodnie były wygniecione, a sumiaste wąsy jak nigdy wołały o przycięcie. Kiedy podchodziliśmy do niego, stał z rękami wspartymi na biodrach, wpatrując się dręt看ym wzrokiem w zwłoki.

Zerknął na nas kątem oka i skinął głową na powitanie.

- Nie musieliście przyjeżdżać - stwierdził.
- Przyjechaliśmy po czek pana Mońka - wyjaśniłam.
- Mam go u siebie w gabinecie - odpowiedział kapitan. - Wpadnijcie po południu, to załatwimy sprawę.

Monk przykucnął, by dokonać oględzin ciała, wyciągając przed siebie ręce, niczym reżyser filmowy, który za pomocą kciuków i palców wskazujących szuka odpowiedniego ujęcia.

- Pan Monk pomyślał, że jeśli wam pomoże, to nie będzie musiał czekać aż do popołudnia.

Stottlemeyer zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem.

- To był na pewno pomysł Mońka?

- Udzieliłam mu drobnej porady w tej kwestii - przyznałam. — Wyplata spóźnia się już o tydzień.

- Departament wciąż obcina budżet i pewne wydatki muszę traktować priorytetowo - wyjaśnił Stottlemeyer. - Niestety obawiam się, że koszty ponoszone na konsultacje znajdują się u dołu listy.

- W takim razie może pan zapomnieć dzisiaj o pomocy pana Mońka. Nie pracuje za darmo - stwierdziłam.

- Akurat teraz nie potrzebuję jego pomocy. To jasne, co się stało.

- Mężczyzna, który leży na podłodze, wpadł do sali w trakcie wykładu i wymierzył do profesora z pistoletu - oznajmił Monk, wstając. - Napastnik już miał strzelać, ale profesor strzelił pierwszy.

- Tak właśnie było - przyznał Stottlemeyer. - Klasyczny przypadek samoobrony, a na poparcie hipotezy mamy salę pełną świadków.

- Skąd u profesora broń? - zapytał Monk.

- To były prokurator federalny, który w swoim czasie wsadził za kratki niejednego zbrodniarza -mówił kapitan. — Ma pozwolenie na broń.

Monk spojrział w kierunku katedry.

- Czy to nie profesor Jeremiaś Cowan?

- Tak — odpowiedział Stottlemeyer. — Znasz go?

- Kiedy studiowałem w Berkeley, chodziłem na jego zajęcia z wprowadzenia do prawa kryminalnego.

- Dzisiaj miał wykład z tego samego przedmio-

tu. Choć nie sędzę, aby w konspekcie wykładu znajdowała się lekcja, jakiej musiał udzielić studentom. Monk przechylił niezgrabnie głowę w jedną i w drugą stronę, jakby chciał rozsypać jakiś krępujący go węzeł w szyi. Wiedziałam jednak, że z jego szyją wszystko w porządku. Węzeł krępował raczej jego myśli. Jakiś szczegół nie pasował mu do całości i to mnie niepokoiło.

- Pan dzisiaj nie pracuje, panie Monk - powiedziałam. - Nie zapłacono panu.

- Nie pracuję.

- Więc co to było? — Pokręciłam niezdarnie głową jak on.

- Nic.

- Oczywiście, że nic — włączył się Stottlemeyer. — Sprawę zamknęliśmy już przed waszym przyjazdem. Poza robotą papierkową nie zostało nic więcej do zrobienia.

- Świetnie. W takim razie może pan pojechać teraz z nami do biura i podpisać czek dla pana Mońka.

Monk ruszył w kierunku profesora Cowana, który lekko się wzdrygnął na jego widok.

Poszliśmy ze Stottlemeyerem za Monkiem niechętnym krokiem, bo żadne z nas nie było szczęśliwe, że Monk coraz bardziej wciągał się w sprawę.

- Boże - powiedział Cowan. - To Adrian Monk.

- Wciąż mnie pan pamięta, po tylu latach? - zdziwił się Monk.

- Przed każdymi zajęciami rysował pan na tablicy linie, wzdłuż których miałem pisać. Nalegał pan, żebym za każdym razem otwierał nowe pudełko z kredą. Nigdy nie pozwolił mi pan ścierać tablicy. Robił to pan sam, a trwało to całe wieki.

Monk spojrział w naszą stronę i lekko wzruszył ramionami z fałszywą skromnością.

- Byłem pupilkiem wykładowców. Grono wprost mnie uwielbiało.

- Miał pan szczęście, że nie nosiłem wtedy przy sobie broni - stwierdził ponuro profesor.

- Dlaczego dzisiaj miał pan przy sobie broń? - zapytał Monk.

- Zawsze ją przy sobie mam. Jednak dzisiaj trzymałem ją pod ręką, bo od jakiegoś czasu dostawałem pocztą internetową absurdalne groźby od studenta, który twierdził, że zniszczyłem mu życie, wystawiając słabe stopnie. Groził, że mnie zabije.

Disher skinął głową w kierunku ofiary.

- To był on?

- Tak przypuszczam - odparł Cowan.

Disher zmrużył oczy.

- Dlaczego?

- Bo krzyczał: „Zniszczyłeś mi życie!”, a potem wycelował we mnie pistolet.

- Może więcej studentów pana nienawidzi? - zapytał Disher.

- Może - odparł Cowan przez ściśnięte wargi.

- Nas nie interesują przypuszczenia - powiedział Disher. - Musimy się opierać na faktach.

- Oczywiście - sarknął Cowan. - Co za nierozwaga z mojej strony.

- Może facet, który wysyłał panu e-maile z pogrózkami, chowa się teraz nieopodal w krzakach, a kiedy wyjdzie pan z budynku, skoczy na pana i zadusi — mówił porucznik.

- Powinieneś sprawdzić te krzaki, Randy - mruknął Stottlemeyer.

Porucznik wahał się przez chwilę.

- Naprawdę?  
Kapitan posłał mu zabójcze spojrzenie.  
- Sprawdzę te krzaki - sapnął Disher i wyszedł szybko z sali.

Stottlemeyer westchnął ciężko i zwrócił się do profesora Cowana:

- Zgłosił pan komuś te pogróżki?  
- Zawiadomiłem policję w kampusie i pokazałem im wydruki listów. Ale niewiele mogli zrobić. Ustalili, że e-maile zostały wysłane z komputerów w kawiarence internetowej na terenie kampusu. Mógł to zrobić dosłownie każdy.

Stottlemeyer wskazał ręką ofiarę.

- Rozpoznaje go pan? Nazywa się Ford Oldman.  
- Twarz wydaje mi się znajoma, ale na te wykłady przychodzi setka osób, nie mówiąc o innych studentach, których również uczę - powiedział Co-wan. - Trudno wymagać, żebym zapamiętał wszystkich z każdego kolejnego semestru i każdego roku. Pewnie są ich tysiące.

- Mnie pan zapamiętał - powiedział Monk.  
- Pan się zdecydowanie wyróżniał. Poza tym to drugi tydzień wykładów. Dopiero zaczynam kojarzyć twarze.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami. Kolejny supeł. Niedobrze. Stottlemeyer też to zauważył.

- Tak, to logiczne - powiedział Monk jakimś automatycznym, nienaturalnym głosem. - Nie mógłbym być bardziej przekonany co do tego, że mówi pan prawdę. Nie mam co do tego wątpliwości, panie profesorze. Kapitanie, moglibyśmy zamienić parę słów na osobności w sprawie, która absolutnie nie ma nic wspólnego z morderstwem tego studenta?

- To nie było morderstwo - wtrącił Cowan. - To



samoobrona. Z punktu widzenia prawa i etyki to istotne rozróżnienie.

- Ma pan całkowitą słuszność - powiedział Monk tym samym tonem. — Powiniennem był powiedzieć „morderstwo w samoobronie”.

- To w ogóle nie było morderstwo - rzucił zniecierpliwiony profesor, podnosząc o oktawę głos.

Stottlemeyer wziął Mońka pod ramię i odciągnął go w miejsce, gdzie profesor nie mógł ich słyszeć. Poszłam za nimi, bo taką mam pracę. Należało to do moich zawodowych obowiązków.

- Co w ciebie wstąpiło, Monk? - pytał poirytowany Stottlemeyer.

- To on - powiedział Monk. - To on go zabił.

- Tak, Monk. O tym wszyscy wiemy. To nie ulega kwestii.

- To było morderstwo, kapitanie.

- To była samoobrona - odpowiedział Stottlemeyer.

— Mamy stu świadków i każdy mówi to samo.

- To jest właśnie dowód.

- Na to, że mam rację.

- Na to, że było to morderstwo z premedytacją.

Nie miałam pojęcia, dlaczego Monk uważał, że ta strzelanina wcale nie była tym, co wszyscy widzieli, ale dawno się już nauczyłam, że w kwestii morderstw on nigdy się nie myli.

- Pan Monk nie będzie pracował za darmo - wtrąciłam szybko. - Jeśli chce pan usłyszeć od niego coś więcej, najpierw musi pan podpisać czek.

- Ale ja nie chcę usłyszeć niczego więcej — odpowiedział niezrażony Stottlemeyer.

- Kiedy chodziłem na zajęcia z wprowadzania do prawa kryminalnego, pewnego dnia ktoś wpadł do sali, strzelił do profesora Cowana i wybiegł -

oświadczył Monk. - To trwało dziesięć sekund, wszyscy się śmiertelnie przerwali. Profesor przesłuchiwał potem studentów, pytając, co widzieli, i uzyskiwał od nich sprzeczne zeznania. Jak się okazało, najście zostało zainscenizowane, aby zademonstrować studentom nieścisłości w zeznaniach świadków naocznych. Ja oczywiście opisałem wszystko zgodnie z prawdą.

- Monk, to było dwadzieścia lat temu — stwierdził Stottlemeyer. - To zbieg okoliczności.

- Tamto zdarzenie również miało miejsce w drugim tygodniu zajęć. Mogę przynieść moje notatki z wykładów i wam pokazać.

- Pan wciąż trzyma notatki z wykładów na uniwersytecie? - zapytałam.

- Oczywiście. Mam w domu wszystkie zeszyty, począwszy od zerówki, a skończywszy na ostatnim roku studiów.

- Po co?

- Na wypadek, gdybym musiał się odnieść do sytuacji takich jak ta.

- Wielu pańskich byłych nauczycieli strzelało do ludzi?

- To zawsze może się zdarzyć.

- Dziw bierze, że żaden nie strzelił do ciebie - stwierdził Stottlemeyer.

- Trzymam moje prace również po to, aby po mojej śmierci mogły być przekazane do biblioteki uniwersyteckiej - dodał Monk.

- Nie wiedziałam, że ma pan jakieś prace — powiedziałam.

- Każdy ma - odparł Monk. - Z moimi jest o tyle mniejszy problem, że są już skatalogowane i zindeksowane według dziesiętnego systemu Deweya.

Dzięki temu bez trudu mogę znaleźć zapiski z tamtego wykładu, jeśli tylko kapitan zechce je zobaczyć. Stottlemeyer zaczął pocierać skronie. Zaczynały go łapać Monkowe bóle.

- Ale ten napastnik nie strzelał ślepymi nabojami, Monk - powiedział kapitan. - Jego pistolet był naładowany ostrą amunicją. Może facet specjalnie wybrał sobie drugi tydzień roku, jako swego rodzaju niezdrowy żart.

- Oto, co się stało... - zaczął Monk, ale błyskawicznie mu przerwałam.

- Kapitan nie wysłucha, co się stało, ponieważ nie zapłacił panu jeszcze za konsultacje z ubiegłego miesiąca - oznajmiłam stanowczo. - Jeśli pozwoli pan korzystać ze swoich umiejętności za darmo, nie będzie to dobrą zachętą dla kapitana do terminowych wypłat wynagrodzenia.

- Masz świętą rację - zgodził się Monk, zagryzł wargi, ale już po chwili uległ pokusie i nie powiem, żeby toczył z nią jakąś wielką walkę. - Profesor Cowan poprosił studenta Forda Oldmana, aby wziął udział w jego eksperymencie naukowym dotyczącym świadków naocznych. Ford nie wiedział, że jego pistolet jest naładowany ostrymi nabojami i że został wrobiony we własne morderstwo. To był plan doskonały, choć dość ryzykowny, bo gdyby profesor Cowan nie wypalił pierwszy, sam mógł zginąć.

- Jaki profesor mógł mieć motyw, aby zamordować Forda Oldmana? - zapytał Stottlemeyer.

Złapałam Mońka za ramiona, obróciłam go i pchnęłam w kierunku drzwi.

- Nic więcej za darmo pan nie otrzyma, kapita nie - oświadczyłam. - Musi pan sobie radzić sam.

Zanim Monk mógłby się odwrócić z powrotem do

Stottlemeyera, ujęłam go pod ramię i praktycznie wywlokłam z sali wykładowej.

—Chce pan, żeby eksmitowano pana z mieszkania? Chce pan stracić asystentkę? Nie może pan udzielać porad bezpłatnie. Pan prowadzi biznes, panie Monk - zasypałam go pytaniami.

—Ale nie wiem jeszcze, jakim motywem kierował się profesor - powiedział Monk.

—To nie ma znaczenia - odparłam. — Niech dla odmiany policja przeprowadzi teraz jakieś dochodzenie. Muszą polegać na swoim doświadczeniu.

## 2

### Monk odbiera wypłatę

Kiedy Monk nie ma do rozwikływania żadnej kryminalnej zagadki, lubi sprzątać mieszkanie i porządkować swoje rzeczy. Problem w tym, że na całym świecie nie ma miejsca bardziej uporządkowanego i czystsze niż te sto jedenaście metrów kwadratowych San Francisco zamieszkiwanych przez Adriana Mońka. Prędzej na Marsie znajdziecie mikroskopijne ślady życia niż u niego w domu, a jego mieszkania moglibyście używać do kalibrowania wszystkich poziomnic i pionów, jakie istnieją na ziemi.

Kiedy zabraknie u niego w domu rzeczy, które mógłby jeszcze wydezynfekować lub wyprostować, co zabiera mu zwykle parę minut, Monk zaczyna błagać, żebym pozwoliła mu wysprzątać mój dom.

Wiem, co sobie teraz myślicie: zastanawiacie się, dlaczego w ogóle chce mi się z nim o to kłócić. Na pewno zgodzilibyście się bez namysłu, gdyby wasz szef dobrowolnie chciał wam wysprzątać mieszkanie od góry do dołu i jeszcze zapłacić za siedzenie w fotelu i przyglądanie się, jak wszystko szoruje.

Ale nie mówimy tu o byle kim. Mówimy o Adrianie Monku. Kiedy Adrian Monk sprząta mieszkanie, praktycznie rzecz biorąc, rozbiera wszystko do gołych gwoździ, a potem na powrót składa, postę-

pując zgodnie z własnymi arkanami sztuki utrzymywania porządku.

Być może nie zabrmi to w waszych uszach tak okropnie, dopóki sami tego nie doświadczycie.

Kiedy na przykład opróżni i wyczyści na połysk moją lodówkę, wszystkie warzywa, owoce, mięso, resztki z obiadu wkłada do osobnych plastikowych pojemniczków lub szczelnie zamykanych woreczków Baggie, oznacza je potem samoprzylepnymi etykietkami i ustawia na półkach w lodówce według grupy żywnościowej, rozmiaru i terminu ważności. (Możecie mówić, że jestem stuknięta, ale naprawdę nie widzę sensu, żeby wkładać jabłko do przezroczystej torebki i naklejać na nią etykietkę z napisem: „Jabłko“.)

Nie ma takiego jedzenia, choćby był to kawałek najlepszego tortu czekoladowego, które wyglądałoby apetycznie w szczelnie zamkniętym pojemniczku Tupperware z naklejką. Wygląda wtedy jak próbka z laboratorium naukowego, a kto chciałby jeść coś takiego?

Monk, nie oglądając się na moje osobiste gusta, przestawia też u mnie w domu meble, aranżuje na nowo dekoracje na ścianach lub książki i bibeloty na półkach, aby wszystko było względem siebie wyśrodkowane, wypoziomowane i symetryczne.

W mojej opinii drobny nieład w urządzeniu wnętrza wyraża jego charakter i daje poczucie, że toczy się w nim życie.

Tymczasem kiedy Monk natrafia na coś, co nie pasuje do całości tak, jak on to sobie wyobraża, wyrzuca to na śmieci, nie pytając mnie o zgodę i nie bacząc, czy ma to dla mnie jakąś materialną lub sentymentalną wartość.

Kiedy kończy u mnie porządki, nasz dom wciąż co prawda jest naszym domem, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że już w nim nie mieszkamy. Wygląda jak modelowy domek dla rodziny androidów.

Ale nie to jest najgorsze.

W ramach porządków Monk szczegółowo przegląda moje ubrania, bieliznę, biżuterię, lekarstwa i przybory toaletowe, każąc mi się z wszystkiego tłumaczyć i wyjaśniać, dlaczego coś takiego znalazło się w moim życiu, nie mówiąc już o tym, że w moim pokoju, szafie czy szufladzie.

Zwykle jestem osobą tolerancyjną i otwartą, a poza tym większość czasu spędzam z Monkiem, więc siłą rzeczy niewiele jest spraw dotyczących mnie lub mojej przeszłości, o których Monk nie miałby pojęcia. Niemniej jednak każdy człowiek lubi zatrzymać pewną część siebie tylko dla siebie, bez względu na to, jak mała jest to częśćka i jak nieważna. Jest to jednak niemożliwe, jeśli wpuścicie do swojego domu Adriana Mońka, a tym bardziej jeśli pozwolicie mu szperać w swoich szufladach.

Moja córka Julie jest w wieku, w którym w sposób szczególny zabiega się o prywatność, więc nie pozwala mi wchodzić do swojego pokoju, jeżeli jej tam nie ma, a nawet jeśli jest, to właściwie wymaga ode mnie pisemnego wniosku i dowodu tożsamości z aktualnym zdjęciem. Nie wybaczyłaby mi, gdybym wpuściła do jej pokoju Mońka, ale wiem, że na szczęście nigdy do tego nie dojdzie. Julie ma bowiem w pokoju chomika i chociaż zwierzak przebywa w klatce, to Monk za żadne skarby świata tam nie wejdzie, chyba że będzie miał na sobie ochronny kombinezon biologicznego odkażania.

Pomimo problemów i nerwów, które wiążą się

z pozwalaniem Monkowi na sprzątanie mojego domu, niekiedy ulegam jego natarczywym prośbom. Dzieje się tak, kiedy jestem zajęta lub rozleniwiona, albo jedno i drugie, kiedy w zlewie zgromadziła się sterta brudnych naczyń, a w łazience stos brudów do prania, lub kiedy na półkach uzbierało się tyle kurzu, że wysprzątanie domu wymagałoby kwalifikacji archeologa prowadzącego wykopaliska.

Dzień po naszej wizycie na uniwersytecie był właśnie dniem, w którym ulegałam jego namowom.

Kluczem do przetrwania porządków Mońka jest niedopuszczenie do tego, aby sprzątał wszystko jednocześnie. Rygorystycznie wyznaczam mu określone zadania czy obszary działania, jak na przykład sprzątanie kuchni czy zrobienie prania. Pomimo narzucania mu takich ograniczeń i tak tracę mnóstwo czasu i energii na wyjaśnianie Monkowi różnych spraw, jak choćby dzisiaj, gdy zapytał, dlaczego nie spaliłam w kominku poplamionej bluzki i wciąż trzymam ją w szafie, gdzie może przecież zainfekować inne części garderoby.

- To stara plama - odpowiedziałam. - Nie przejdzie na inny materiał.

Siedziałam przy kuchennym stole pochłonięta bardzo ważną czynnością, czyli czytaniem brukowca „Enquirer”. Wczytywałam się właśnie w pasjonujący artykuł na temat tego, które gwiazdy są najbardziej „sflaczałe”, jeśli pozbawić je makijażu i fotograficznych trików, mających ukryć fałdy na brzuchu i cellulit na pośladkach.

—Jeśli jedna część garderoby ma plamę, to zwa-  
bia do siebie inne części garderoby w szafie — pra-  
wił tymczasem Monk. - Również insekty. Włożenie  
czegoś takiego na siebie to jak prośnienie się o wszy.



Monk znajdował się w przykuchennym pomieszczeniu z pralką i suszarką, ubrany w fartuch kuchenny i gumowe rękawiczki, przez które składał moje rzeczy. Rękawiczki włożył na wypadek, gdyby przypadkowo dotknął biustonosza lub damskich majtek. Przekonywanie, że nie musi do tej czynności zakładać gogli ochronnych, zajęło mi długie miesiące.

Chwycił poplamioną bluzkę kciukiem i palcem wskazującym i wyciągnął ją przed siebie na długość ramienia, odwracając przy tym głowę, jakby nasączona była moczem i przenosiła zarazki wietrznej ospy.

- To jedna z moich ukochanych bluzek - powiedziałam. — Mam ją od lat. Wkładam ją zawsze, gdy krzątam się po domu lub muszę wykonać brudną robotę, bo nie muszę się martwić, że ją zniszczę.

- Z tak niepoczytalnym podejściem do sedna sprawy po co ją w ogóle prać? Równie dobrze mogłabyś obtaczać ją przez cały dzień w brudzie i ekskrementach, a potem powiesić z powrotem w szafie.

- Może to kiedyś zrobię - stwierdziłam, żeby go trochę pozłościć.

Chwilę później poczułam dym.

- Co pan robi?

Odwróciłam się gwałtownie i zobaczyłam, jak przykłada zapaloną zapalniczkę do poły bluzki.

- Interweniuje - odparł Monk, trzymając płonąca bluzkę nad zlewozmywakiem w pralni. - Później mi podziękujesz.

- Nie może pan wchodzić do mojego domu i jak gdyby nigdy nic palić moich rzeczy - rzuciłam. - Ciekawe, jak by się panu podobało, gdybym zrobiła coś takiego u pana w domu.

- Tydzień temu błagałem cię, żebyś spopieliała mo-

je majtki, ale odmówiłaś - przypomniał mi, upuszczając bluzkę do zlewozmywaka, zanim płomienie zdążyły osmalić jego palce.

- Nie będę palić doskonałych nowiutkich majtek tylko dlatego, że zauważył pan na nich włoszek z kociej sierści.

- Ten włoszek mógł być siedliskiem tysięcy pcheł.

- Nie sądzę.

- Co by było, gdyby były to mordercze pchły afrykańskie? W nocy mogłyby obleźć łóżko i zabić mnie w czasie snu.

- Nie ma czegoś takiego jak mordercze pchły afrykańskie.

- Są mordercze pszczoły afrykańskie - odparł. -Kto wie, ile jeszcze owadów zafrykanizowano? Jak będziesz mnie odwoziła wieczorem do domu, zatrzymamy się w sklepie, żeby kupić moskitierę na łóżko.

- Może lepiej będzie, jeśli ogrodzi pan łóżko stalową siatką?

- Świetny pomysł.

- Co jeśli zafrykanizowano również bydło i drób? Jak się pan obroni przed stadami morderczych kurczaków i krów?

- Nie bądź śmieszna - stwierdził Monk.

- To przecież pan pierwszy zaczął mówić o zafrykanizowanych pchłach.

- Tylko po to, żeby coś do ciebie dotarło.

- To, że wolno panu palić moją bluzkę w moim domu?

Monk odetchnął głośno zsiiftgą.

- Cieszę się, że wreszcie coś zrozumiałaś.

W tej chwili zadzwonił telefon i sięgnęłam po niego desperacko, jak tonący chwytą się brzytwy.

- Halo, mówi Natalie.

- To ja - przywitał się kapitan Stottlemeyer. - Mam czek dla Mońka. Możecie po niego wpaść. Jeśli nie, to prześlę pocztą.

- Niech się pan nie rusza z miejsca - powiedziałam szybko. - Jedziemy w tej chwili.

- Nie ma pośpiechu.

Odwróciłam się plecami do Mońka, zasłoniłam ręką usta i mikrofon i powiedziałam:

- Jeśli wyjedziemy natychmiast, to myślę, że uda mi się ocalić moją garderobę przed spaleniem.

- Chyba nie pozwoliłaś mu robić u siebie prania?

- To pana wina, że Monk nie ma żadnego zajęcia - stwierdziłam.

- Wielki błąd. Trzeba było dać mu samochód do umycia albo kazać mu przyszczyć trawnik- - mówił Stottlemeyer. - On może ci spalić dom.

Kiedy wchodziliśmy do pokoju detektywów wydziału zabójstw, porucznik Disher stał przy automacie do kawy i wpatrywał się niepocieszonym wzrokiem w otwarty portfel.

- Cześć, możecie mi rozmiąć dwudziestkę? — zapytał.

- Po co?

- Potrzebuję drobne na kawę z automatu.

- Kawa jest za darmo, Randy - przypomniałam mu.

- Już nie.

Spojrzałam mu nat., imieniem na stojący na stoliku ekspres do kawy. Między dziesiątkami obtłuczonych i brudnych kubków należących do detektywów zobaczyłam małe pudełko ze szparką na pieniądze. Na pudełku znajdował się duży napis: „KAWA \$1.50”.

- Departament tnie koszty, gdzie się da - powiedział Disher. — Brutalna sprawa. Wydzielają nam nawet ołówki i długopisy.

- Po drugiej stronie ulicy jest kawiarnia - powiedział Monk.

- Widział pan, ile tam sobie liczą? Taniej jest zatankować do pełna, niż kupić u nich filizankę kawy - powiedział Disher. - Dlatego właśnie potrzebuję drobnych.

- Przykro mi, ale nie mogę ci rozmienić dwudziestu dolarów - powiedział Monk. - Nie z czystym sumieniem.

Nie bardzo rozumiałam, więc spojrzałam na niego pytającym wzrokiem.

- Randy daje panu jeden banknot dwudziestodolarowy, a pan daje mu dwadzieścia dolarów w mniejszych nominałach — wyjaśniłam. — Co w tym jest niemoralnego czy nieetycznego?

- Ponieważ musiałbym mu dać banknot dziesięciodolarowy, osiem jednodolarówek i osiem ćwierćdolarówek. Oczywiście nie noszę przy sobie pięciodolarówek.

- Oczywiście.

Swego czasu Monk napisał petycję do Kongresu, domagając się, żeby mennica państwowa wycofała z obiegu banknoty o nominale pięciodolarowym i wprowadziła zamiast nich banknoty cztero- lub sześciodolarowe. Przez tydzień stał pod swoim oddziałem Wells Fargo Bank, zbierając podpisy pod petycją, ale zdobył tylko jeden: mój. Zresztą wymuszony, więc i tak się nie liczy.

- Ale wówczas, żeby kupić sobie kawę, Randy będzie musiał wykorzystać albo sześć ćwierćdolarówek, albo banknot jednodolarowy i dwie ćwierć-

dolarówki - tłumaczył Monk. - Zostanie mu osiemnaście pięćdziesiąt, nieparzysta liczba, na którą złoży się nieparzysta mieszanka banknotów i bilonu. To totalna anarchia.

Wpatrywaliśmy się w niego oboje ze zdumieniem. Po dłuższej chwili odwróciłam się do Dishera.

—Randy, pożyczę ci dolara pięćdziesiąt.

Porucznik pokręcił wolno głową.

—Nie, dzięki. Teraz trzeba mi czegoś znacznie mocniejszego niż filiżanka kawy.

—Nie wolno ci — przestrzegł go Monk. - Jesteś na służbie.

—W takim razie chyba palnę sobie w łeb - mruknął Disher, wciskając portfel do kieszeni i wracając do biurka przed gabinetem kapitana Stottlemeyera.

Monk odprowadził go nic nierozumiejącym wzrokiem.

—Co mu się stało? - zapytał.

Nie było najmniejszego sensu próbować mu cokolwiek wyjaśnić, więc po prostu ruszyłam w kierunku gabinetu ze szklanymi ścianami, za którymi kapitan Stottlemeyer miał doskonały widok na pokój detektywów i za grosz prywatności, chyba że spuścił żaluzje.

Kiedy weszliśmy, kapitan siedział za biurkiem pochłonięty jakąś papierkową robotą.

—Szybko się uwinęliście — powiedział, podnosząc głowę. - Ile przepisów drogowych złamaliście po drodze?

—Odmawiam odpowiedzi, ponieważ mogą być wykorzystane przeciwko mnie — odparłam poważnym głosem.

—Osiem — powiedział tymczasem Monk.

Odwróciłam się do niego.

- Osiem?  
- Właściwie siedem, ale ponieważ siedem to liczba nieparzysta, policzyłem również czerwone światło na skrzyżowaniu, przez które przejechałaś wczoraj w drodze na uniwersytet.

Wychyliłam się przed drzwi gabinetu kapitana i krzyknęłam w kierunku Dishera.

- Będę mogła pożyczyć twoją spluwę, jak już się zastrzelisz?

- Uprzejmie proszę.

- Dzięki — odpowiedziałam i odwróciłam się do kapitana. - Wystawi mi pan teraz mandat?

- Przejechałaś kogoś? - zapytał.

- Nie.

- W takim razie to nie mój wydział. - Stottlemeyer sięgnął po kopertę na biurku i wręczył ją Mon-kowi. - Oto czek. I osobiste przeprosiny za opóźnienie w wypłacie.

- Załączyłeś przeprosiny na piśmie? - zapytał Monk.

- Nie. Przepraszam cię teraz osobiście.

- Wolałbym na piśmie.

Stottlemeyer zerknął na mnie.

- Będę mógł skorzystać z tej spluwy, jak nie będzie ci już potrzebna?

- Ma pan własną- zauważyłam. - Skoro o spluwie mowa, to co się stało z tym profesorem, który strzelił do studenta?

- Aresztowaliśmy go dziś po południu pod zarzutem morderstwa — odparł kapitan. — Ford Old-man, student, którego zabił, pracował nad referatem i w trakcie kwerendy natknął się na artykuł jakiegoś profesora nauk prawniczych z początku dziewiętnastego wieku. Oldman dopatrzył się podobieństw mię-

dzy fragmentami tego artykułu a rozdziałem jednej z książek Cowana, wysłał więc do niego e-maila z uprzejmym pytaniem, co o tym sądzi. Nie było mowy o żadnych pogroźkach. Chłopak chciał się po prostu dowiedzieć czegoś więcej na interesujący go temat.

- Zamiast tego zarobił parę gramów ołowiu - powiedziałam zadowolona z siebie, że mówię twardym językiem; gliny to lubią. - Cowan nie chciał, żeby wyszedł na jaw jego plagiat.

- Sytuacja byłaby dla niego szczególnie drażliwa, ponieważ rok temu opublikował w „San Francisco Chronicle” głośny felieton, w którym bezpardonowo krytykował polityków, studentów i autorów różnych tekstów za podpisywanie się pod pracami innych osób jako pod własnymi. — Stottlemeyer wskazał palcem wycinek z gazety. - Cowan nazwał to „trudną do zaakceptowania erozją standardów akademickich, która doprowadziła do niepohamowanej fali kradzieży intelektualnej w dyskursach publicznych”.

- Odpalił petardę sobie w nos - rzuciłam z przekąsem.

- Ciii! - Monk gwałtownie zamachał mi rękami przed oczami. — Nie wyrażaj się w obecności przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości! Powinnaś się wstydzić. Mam nadzieję, że nie używasz takich wulgaryzmów przy dziecku.

- Petarda to żaden wulgaryzm.

Znowu mnie uciszył, jeszcze gwałtowniej wymachując rękami.

- W cywilizowanym świecie nie używamy tego słowa na „p” - powiedział Monk. - W gruncie rzeczy w ogóle go nie używamy. Jest zakazane.

- Petarda to rodzaj amunicji imitującej wybuch -

powiedziałam. — Wcale nie oznacza pewnej części męskiego ciała.

To sformułowanie sprawiło, że Monk zrobił się jeszcze bardziej czerwony i zaczął jeszcze gwałtowniej wymachiwać rękami.

—Oto co się dzieje z człowiekiem, gdy chodzi w brudnych rzeczach — powiedział. — Jeszcze trochę, a zaczniesz mieć brudne myśli, potem zaczniesz przeklinać i ani się obejrzysz, a będziesz popalać hasz, popijając bimber i sprzedawać ciało marynarzom.

—Zawsze mnie zastanawiało, jak to się dzieje, że kobiety kończą w taki sposób — powiedział Stottlemeyer. - Teraz już wiem.

—Co z pogrózkami, które Cowan miał otrzymywać przez Internet? — zapytałam z ciekawością.

—Prawdopodobnie sam je wysyłał z uniwersyteckiej kawiarenki internetowej. Znaleźliśmy świadków, którzy twierdzą, że często tam przesiadywał. — Kapitan odwrócił się do Mońka. - Gdyby nie ty, Co-wanowi uszłoby na sucho morderstwo doskonałe.

—Złapałbyś go prędzej czy później — pocieszył go Monk.

—Nie sądzę. Brakuje nam ludzi, sprzętu i pieniędzy. Jeśli więc trafia nam się w miarę czysta sprawa, szybko ją zamykamy i staramy się do niej nie wracać, po prostu bierzemy na warsztat kolejne śledztwo.

—Nie widziałem jeszcze u was czegoś takiego - oświadczył Monk.

—Nie siedzisz codziennie w okopach pierwszej linii, Monk. Wielu rzeczy jeszcze nie widziałeś.

—Zwykle widzę więcej niż większość — stwierdził mój szef.



- To absolutna prawda, a skoro o tym mowa, to muszę o czymś jeszcze z tobą porozmawiać - powiedział Stottlemeyer. - Departament Policji San Francisco ma do ciebie wielką prośbę.

- Chyba nie chce, żebym odebrał poród?

- Nie.

- Albo żebym zgolił komuś włosy na karku?

- Nie.

- Albo żebym wydoił krowę?

- Monk, mam propozycję. Zamiast recytować niekończącą się listę czynności, których nie lubisz wykonywać, może po prostu ci powiem, o co chodzi?

- Oczywiście. Ale to nie ma nic wspólnego z żuciem gumy ani pluciem tytoniem?

- W San Francisco odbywa się doroczna Krajowa Konferencja Detektywów do spraw Zabójstw i organizatorzy chcą przeprowadzić jutro rano panel dyskusyjny z moim i twoim udziałem na temat naszych relacji zawodowych.

- Dlaczego?

- Ponieważ wspólnie udaje nam się rozwikływać mnóstwo morderstw.

- Czy to ma być wystąpienie przed publicznością?

Stottlemeyer przytaknął.

- Kilkuset policjantów z różnych zakątków kraju. Ale nie będziesz sam. Będę z tobą.

Monk zaczął się nerwowo wiercić.

- Nie bardzo lubię występować publicznie.

- A ja nie bardzo lubię przycierać innym policjantom nosa naszą wysoką średnią zamkniętych spraw — odparł Stottlemeyer. - Ale to polecenie szefa. Zapewne chce błysnąć w oczach innych.

Włączyłam się do rozmowy.

- Niech pan na to spojrzysz z jasnej strony, panie Monk.

- To nie ma jasnej strony - odparł ponuro.

- To przecież oznacza, że szef policji jest świadom pańskich osiągnięć i szanuje pana niezwykle umiejętności. Jest dumny z pracy, którą pan wykonuje, i chce się panem pochwalić - ciągnęłam. - Wystąpienie na konferencji może być wielkim krokiem naprzód w kierunku przywrócenia pana do służby w policji.

Monk spojrzał na mnie, a potem na Stottleme-yera.

- Też tak uważasz?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Nigdy nie zaszkodzi dać szefowi słodkiego buziaka.

- W porządku. W takim razie zgoda. Oczywiście jeżeli nie wchodzi w grę żadne całowanie.

- Nie wchodzi - zapewnił go kapitan. - A jeśli jakaś kobieta zacznie mieć bóle porodowe, ja odbiorę poród.

### 3

## Monk odpowiada na pytania

Hotel Dorchester zbudował w 1920 roku pewien baron nieruchomości o nazwisku William K. Dorchester, wyjątkowo chciwy i egoistyczny człowiek, który zamieszkał na samej górze dwudziestopiętrowego budynku, w absurdalnie gotyckim apartamencie na poddaszu i który znany był z tego, że biegnącej dołem Powell Street używał jako prywatnej spluwaczki.

W wyrazie uznania dla brytyjskiego dziedzictwa rodu Dorchesterów uparł się, aby odźwierny przy głównym wejściu miał na sobie rękawiczki i jasno-czerwoną liberię z białą krezą, jak londyńscy halabardnicy strzegący królewskiego skarbcza. Taką liberię hotelowi odźwierni noszą do dzisiaj. Z większą klasą wyglądałoby przebrani za Sponge Boba Kan-ciastoportego z brytyjskiej kreskówki.

Kiedy gość hotelowy minie już barwnie odzianych odźwiernych, staje w obliczu tyleż historycznej, co zabawnej wystawności wnętrza, zdającej się idealnie odzwierciedlać czasy, w których hotel zbudowano, jak i samą osobę fundatora.

Hol główny ma zdobione złotymi liśćmi akantu łukowe sklepienia, z których zwisają kryształowe żyrandole. Ściany pokryte są olbrzymimi malowidłami przedstawiającymi historię miasta od przybycia hiszpańskich odkrywców, poprzez kalifornijską go-

rączkę złota, po rozkwit handlu morskiego w Zatoce San Francisco, a na historię tę spogląda z niebios sam Dorchester niczym dobrotliwy bóg.

Podłogi, kolumny i schody wyłożone są francuskim i włoskim marmurem. Jak przypuszczam, również pisuary w męskiej toalecie są marmurowe, choć sama nigdy ich nie widziałam. Mogę tylko zapewnić, że w damskiej toalecie nie ma marmurowych muszli.

Konferencja detektywów do spraw zabójstw odbywała się na pierwszym piętrze, tak więc weszliśmy z Monkiem i Stottlemeyerem po majestatycznych schodach i odkryliśmy z zaskoczeniem, że z ostatnim stopniem skończyła się wystawna kró-lewskość wnętrza.

Korytarz na pierwszym piętrze wyglądał tak, jakby odmalowano go w krzykliwych, jasnych kolorach we wczesnych latach siedemdziesiątych i odtąd już nic nie poprawiano. Brady Bunch czułby się tu jak u siebie w domu.

Przeszliśmy z Monkiem i Stottlemeyerem do sali konferencyjnej. Od razu poczułam się tak, jakbym weszła na zebranie stowarzyszenia byłych klientów męskiego działu tekstylnego marketu JCPenny. Sala była pełna panów z brzuszkiem, ubranych w tanie garnitury, z szerokimi krawatami i zawieszonymi na szyi identyfikatorami w żółtym kolorze policyjnej taśmy zabezpieczającej miejsce przestępstwa.

Przy drzwiach powitał nas mężczyzna, który wyglądał niczym budowlany pustak ożywiony w jakiś magiczny sposób. W każdym miejscu zdawał się być kwadratowy, począwszy od płaskiego języka na czubku głowy, a skończywszy na prostopadłym zakończeniu czubków butów na nogach. Nawet dłonie wydawały się idealnie kwadratowe.

Mężczyzna przedstawił się grzecznie, choć jego nazwisko widniało na identyfikatorze, a patrząc na cierpką minę Stottlemeyera, odniosłam wrażenie, że człowiek nie jest mu obcy, a kapitan nie darzy go zbyt dużą sympatią.

- Detektyw Paul Braddock, departament policji w Banning. Będę prowadził panel - powiedział, po trzaskając naszymi dłońmi. - To będą proste sprawy. Zacznę paroma kwestiami, a potem poproszę o pytania z sali.

Monk skinął w moją stronę, abym podała mu chusteczkę higieniczną. Jednak zamiast chusteczki, podałam mu butelkę żelu dezynfekującego do rąk. Doszłam do wniosku, że biedak będzie dziś ścisnął niejedną dłoń, a nie miałam zamiaru wlec się za nim z pudłem świeżych chusteczek, a potem jeszcze zapychać sobie torebki masą plastikowych woreczków ze zużyтыми chusteczkami.

- Nazywam się Natalie Teeger, jestem asystentką pana Mońka - przedstawiłam się.

Wycisnęłam porcję żelu na prawą rękę Mońka, a on roztarł ją w dłoniach z tak wielką werwą, że mógłby skrzesać ognia.

Braddock spoglądał na niego z rozbawieniem.

- Boże, więc pan naprawdę to robi. Myślałem, że to tylko taka legenda. Cóż, sądzę, że to pytanie mogę już wykreślić z listy.

- Chciałbym zobaczyć pozostałe pytania - powiedział Stottlemeyer.

Braddock wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- To byłoby oszustwo, Leland.

- Od kiedy masz z tym problem, Paul? - zapytał wymownie kapitan.

- Nie chciałbym niweczyć spontaniczności dysku-

sji - odpowiedział Braddock z niegasnącym uśmiechem na twarzy. — Do zobaczenia na scenie.

Detektyw odszedł, a Stottlemeyer odprowadził go ciężkim spojrzeniem.

- O co chodziło? - zapytałam.

- Niegdyś pracował dla Departamentu Policji San Francisco - wyjaśnił kapitan. — Ale już nie pracuje.

- Przez pana? Stottlemeyer potrząsnął głową.

- Sam sobie winien.

Ruszył w kierunku sceny, którą stanowiło lekkie podwyższenie ze stołem i stojącymi za nim czterema rozłożystymi roślinami w donicach.

Stół był przykryty białym obrusem. Za stołem stały trzy krzesła, a na nim trzy szklaneczki, karafka wody i dwa mikrofony.

Widziałam już nadciągające czarne chmury. Przeprosiłam na chwilę, żeby odszukać w tłumie Braddocka.

- Bardzo przepraszam - zaczęłam. - Ale będzie pan musiał zaprosić do stołu jeszcze jedną osobę i dodać jeszcze jedno krzesło, jeszcze jedną szklanekę i dodatkowe dwa mikrofony. Ewentualnie może pan usunąć jedno krzesło i jedną szklanekę i po prowadzić spotkanie na stojąco z dodatkowym mikrofonem.

Braddock spojrział na mnie takim wzrokiem, jakby z mojego nosa wychynęła właśnie gąsienica.

- Dlaczego miałbym to robić?

- Ponieważ pan Monk nie usiądzie przy stole z trzema krzesłami. Lubi parzyste liczby. Może pan mieć cztery osoby przy stole albo dwie, to już zostawiam panu, w każdym razie każdy z gości musi dysponować własnym mikrofonem.

- Pani raczy żartować.
- Skądże.
- Czy ten facet jest stuknięty?
- Pan Monk po prostu lubi zachowywać pewien porządek rzeczy - wyjaśniłam. - Chyba zależy panu, żeby czuł się w miarę swobodnie, prawda? Bo jeśli nie będzie tak się czuł, to nie odpowie na żadne pytanie; obsesyjnie zajmie się tym, co mu nie pasuje, i zacznie wszystko wokół siebie poprawiać.

Braddock westchnął ciężko.

- Każę zabrać jedno krzesło i szklanke. Będę prowadził spotkanie na stojąco z mikrofonem.

- Dziękuję panu.

Wróciłam do stołu, gdzie zobaczyłam, że Monk zdążył już odsunąć jedno krzesło i postawił na nim jedną szklankę, prosząc porządkowych, aby zabrali je ze sceny.

W tej chwili zajęty był przestawianiem dwóch pozostałych krzeseł, dwóch szklanek i dwóch mikrofonów, aby wszystko było ustawione symetrycznie względem środka stołu i w idealnie równych odległościach od siebie.

Stottlemeyer gwarzył z jakimiś policjantami i próbował nie zwracać uwagi na to, co robi Monk. Trudno było mi go winić. Zachowywałabym się tak samo, gdybym nie otrzymywała wynagrodzenia za pracę, którą muszę wykonywać.

Po chwili pojawili się pracownicy hotelu, zabrali krzesło ze szklanką i ustawili dla Braddocka mikrofon na statywie.

Kiedy Monk mierzył jeszcze kieszonkową miarką odległość między końcami obrusa, upewniając się, czy równo zwisa z obu stron stołu, Braddock podchodził już do mikrofonu.

- Witam wszystkich i proszę o zajęcie miejsc - zaczął. - Chcielibyśmy rozpocząć nasze spotkanie.

Monk i Stottlemeyer usiedli przy stole. Ja zajęłam miejsce w pierwszym rzędzie na sali, żebym mogła błyskawicznie znaleźć się na scenie w razie nagłej potrzeby, jak choćby zgniecenia obrusu czy rozlanej wody.

Braddock odwrócił się do Stottlemeyera.

—Możemy zaczynać?

- Nie możemy - odpowiedział Monk.

—Dlaczego? — zdziwił się Braddock.

—Nie wszyscy są na sali.

Braddock rozejrzał się po przestronnej sali konferencyjnej.

—Na mój gust sala jest pełna po brzegi — powie dział.

- Brakuje trzech osób - stwierdził Monk.

—Pańskich przyjaciół?

—Nie — zaprzeczył Monk. - Nie wiem, kim są te osoby. Wiem tylko, że ich nie ma. Na sali jest dwieście jeden osób.

—Wydaje mi się, że to dość pokaźne zgromadzenie - powiedział Braddock.

- Byłoby lepiej, gdyby na sali były dwieście dwie osoby lub dwieście cztery. Chyba że jedną pan wyprosi.

- Ja wyjdę - zaofiarował się Stottlemeyer.

Braddock zrobił kwaśną minę, kiwnął ręką na chłopca hotelowego i szepnął mu coś do ucha. W ciągu paru chwil trzy wolne krzesła zostały zajęte przez chłopców hotelowych. Braddock spojrzął przez ramię na Mońka.

- Zadowolony?

- A pan nie?



Braddock zmusił się do uśmiechu, odwrócił się z powrotem do widowni i oficjalnie się przedstawił. Potem wyjaśnił, że Departament Policji San Francisco od ośmiu lat zatrudnia Adriana Mońka w roli specjalnego konsultanta pracującego wyłącznie z kapitanem Lelandem Stottlemeyerem, oficerem, który zaaranżował to współdziałanie.

- Ta współpraca wydaje się tym bardziej szczególnie, że jeszcze dziesięć lat temu pan Adrian Monk sam był detektywem wydziału zabójstw, dopóki nie stwierdzono u niego pewnych zaburzeń psychicznych, które zmusiły go do oddania odznaki policyjnej — powiedział Braddock i spojrzął na Mońka. — Nadal pan cierpi na te zaburzenia?

- Cierpię od urodzenia - odrzekł Monk. - Życie to cierpienie.

- Monk świetnie nad wszystkim panuje - wtrącił Stottlemeyer i wypił łyk wody. - Przejdźmy już do rzeczy, Paul.

- Jak scharakteryzowałbyś waszą współpracę? - zapytał Braddock.

- Jako profesjonalną i skuteczną- odpowiedział Stottlemeyer. - Kiedy trafia nam się sprawa, która w mojej ocenie jest szczególnie złożona czy nietypowa, wzywam Mońka, aby poznać jego indywidualny punkt widzenia. Nikt nie dokonuje na miejscu przestępstwa takich analiz jak Adrian Monk.

Monk wypił łyk wody, przystawił swoją szklankę do szklanki Stottlemeyera i mrużąc oczy, przyjrzał się uważnie, czy poziom wody w obu szklankach jest idealnie równy.

- A co pan mógłby powiedzieć? - Braddock zwrócił się do Mońka.

- Wydaje mi się, że jest idealnie - odpowiedział

Monk, sprawdzając poziom wody w szklankach za pomocą miarki.

- Oczywiście pan Monk ma na myśli naszą współpracę - powiedział szybko kapitan, wyrwijąc Mon-kowi miarkę z ręki.

- To również - rzucił Monk.

- Ja jestem detektywem starej daty, koncentruję się na standardowych procedurach postępowania śledczego, gromadzę fakty i dowody - tłumaczył Stottlemeyer. - Monk ma odmienne podejście, bardziej osobiste. Dysponuje niebywałym, instynktownym zmysłem rozpoznawania, jak rzeczy powinny się ułożyć w całość, a jeśli się nie układają, to mu bardzo, naprawdę bardzo przeszkadza. Konsekwentnie stara się wtedy uporządkować wszystkie elementy dochodzenia, w trakcie czego zauważa ślady, które łatwo przeoczyć, używając metod tradycyjnych.

- Jak wygląda wynagrodzenie pana Mońka? -pytał dalej Braddock.

- To zwykły czek — włączył się Monk. — Otrzymuję go w zaklejonej kopercie, ale zapewniam, że przed zaklejeniem nikt jej nie ślini, co, jak z pewnością państwo wiedzą, jest niehigieniczną i obrzydliwą praktyką stosowaną przez psychopatów, degeneratów i szaleńców.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Wszyscy wpatrywali się w Mońka ze nieskrywanym zdumieniem.

Stottlemeyer znowu napił się wody i chrząknął głośno.

- Gwarantujemy mu minimum osiemnaście spraw w roku i płacimy od każdej rozwiązanej przez niego sprawy. Nic poza tym.

- Nie od każdej - wtrącił Monk.

- Od każdej, do której cię wzywamy - uściślił kapitan.

- Są jeszcze jakieś inne? - zainteresował się Braddock.

- Czasami Adrian Monk zjawia się na miejscu popełnienia przestępstwa z własnej inicjatywy. Mówię tu o rutynowych sprawach, niewymagających jego ekspertyzy.

- Czyli takich, z którymi potraficie sobie poradzić - dodał z przekąsem Braddock.

- Z każdą sprawą potrafimy dać sobie radę. Po prostu niektóre są trudniejsze od innych i w takich przypadkach z wdzięcznością przyjmujemy każdą profesjonalną pomoc, jaką możemy otrzymać, czy to od innych instytucji organów ścigania, czy dziennikarzy, czy cywilnych ekspertów w różnych dziedzinach, czy kogoś, kto dysponuje istotnymi informacjami lub wykazuje się przenikliwością spojrzenia.

Monk upił trochę wody, znowu przystawił swoją szklankę do szklanki Stottlemeyera i porównał poziomy. Nie bardzo mu się podobało to, co zobaczył, chociaż wydawało mi się, że poziom wody w obu szklankach jest taki sam.

- A co się dzieje, gdy pan Monk pojawia się nieproszony na miejscu przestępstwa w przypadku tych rutynowych spraw? - zapytał Braddock.

- Rozwiązuję je - stwierdził krótko Monk i jeszcze raz upił troszeczkę wody, tak malutko, że właściwie wcale jej nie ubyło.

Tym razem robił wrażenie bardzo zadowolonego.

Wyprostował się i rozparł wygodnie na krześle.

Braddock spojrział na Stottlemeyera.

- Zatem pan Monk wykonuje twoją robotę nawet

w przypadku drobnych dochodzeń i nie liczy sobie za to ani centa? Szczęściarz.

- Kiedy Monk rozwiązuje zagadkę morderstwa, robi to dla dobra mieszkańców San Francisco, których policja chroni i którym służy - powiedział Stottlemeyer. - Tu nie chodzi o mnie.

Kapitan znowu napił się trochę wody, co wywołało u Mońka wyraźną konsternację.

- Zatem w istocie pan Monk rozwiązuje także wiele spraw, za które nie otrzymuje wynagrodzenia - stwierdził Braddock. — W ciągu minionych ośmiu lat pan Monk osobiście rozwikłał blisko sto pięćdziesiąt spraw, a średnia zamykanych śledztw w waszym wydziale osiągnęła niespotykany poziom dziewięćdziesięciu czterech procent.

- Tylko tyle? — zachnął się Monk. - Powinniśmy się wstydzić.

Zmrużył oczy, przyjrzał się uważnie swojej szklance, podniósł ją i powoli, ostrożnie wypił odmierzoną w głowie ilość wody, a potem postawił ją tuż obok szklanki Stottlemeyera.

Kapitan spojrzał na niego spode łba.

- Większość departamentów policji jest szczęśliwa, jeśli średnia zamykanych śledztw w sprawie morderstw sięga połowy. Nasz wynik jest o trzydzieści procent wyższy od średniej krajowej.

- Nie możemy rozwikłać tych pozostałych sześciu procent morderstw popełnionych w San Francisco? - zapytał Monk.

Stottlemeyer skinął w kierunku Braddocka.

- On tu jest od zadawania pytań, Monk.

- Z tego wynika, że muszę być sprawny, o których nikt mi nic nie mówił — zauważył Monk. - Jeśli mi je przekażesz, zaraz je rozwiklam.

- To nie sprawy dla ciebie. To w głównej mierze porachunki mafijne i morderstwa związane z handlem narkotykami - mówił Stottlemeyer. - Te dochodzenia prowadzą detektywi, którzy świetnie rozumieją kulturę gangów i mają ogromne doświadczenie w pracy na ulicach miasta.

Stottlemeyer wziął do ręki szklankę, wypił wodę do dna i odstawił ją z powrotem z takim hukiem, że myślałam, że szklanka się stłucze.

- Ale jakoś nie potrafią ich zamknąć - dokończył Monk. - Ja bym potrafił. Jestem zwierzęciem ulicznym. Znam tych długowłosych hipisów jak własną kieszeń.

Po sali poniósł się śmiech. Stottlemeyer najwyraźniej poczuł się nieco zażenowany słowami Mońka i poprawił się niezdarne na krześle. Ja zresztą również, ale doprawdy żadne z nas nie było w stanie mu pomóc.

- Uważa pan, że jest pan nieomylny, panie Monk? - zapytał Braddock.

- Nie — odpowiedział Monk. — Jednej sprawy do tej pory nie udało mi się rozwikłać.

- Proszę o następne pytania — powiedział zdecydowanym głosem Stottlemeyer i wpatrzył się w widownię. — Jestem pewien, że chcą nam państwo zadać niejedno pytanie.

Miałam ochotę go wyściskać. Zawsze starał się chronić Mońka przed niepotrzebnym bólem, bez względu na to, czy Monk sam go sobie zadawał czy nie.

Wstał jeden z policjantów.

- Detektyw Zev Buffman z Owensboro w stanie Kentucky. Mam pytanie. Jaka była średnia zamykanych śledztw w waszym wydziale, zanim rozpoczęliście współpracę z panem Monkiem?

- Obawiam się, że nie będę miał pod ręką takich danych - powiedział Stottlemeyer.

- Ja mam - wtrącił się Braddock. - Średnia wynosiła czterdzieści trzy koma pięć procent. Jak pan to wyjaśni, kapitanie?

Sądzę, że Stottlemeyer miał ochotę wyjaśnić to w najprostszy sposób; prawym prostym w nos Brad-docka. Jednak kapitan znalazł bardziej dyplomatyczne wytłumaczenie.

- Składa się na to wiele czynników, Paul. Średnia zabójstw i ciężkich przestępstw była wówczas w mieście znacznie wyższa, a policji brakowało do statecznych środków finansowych i personelu. De partament obciął wtedy budżet o cztery miliony dolarów, co skutkowało zmniejszeniem przepracowanych nadgodzin o sto dziewięćdziesiąt pięć tysięcy, a czterdziestu ośmiu funkcjonariuszy musiało odejść ze służby lub przejść na emeryturę. Trudno walczyć z przestępczością, nie dysponując wystarczającą ilością czasu i ludźmi. W końcu miasto przywróciło nam odpowiednią liczbę nadgodzin i liczba zabójstw w mieście spadła, chociaż dzisiaj historia się powtarza. Liczba morderstw wzrosła o dwadzieścia procent w stosunku do ubiegłego roku, a nam znowu obcina się budżet.

Monk sięgnął po karafkę i ostrożnie nalał do szklanki Stottlemeyera taką ilość wody, żeby poziomy w obu szklankach znowu były równe.

- Swoich statystyk nie pamiętasz, a bez namysłu potrafisz przytoczyć tyle danych - stwierdził sucho Braddock.

- Statystyki trudno zapamiętać, ale nigdy nie zapominam, kiedy moi detektywi są źle traktowani - odpalił kapitan.

- Może w takim razie wiesz, jaka była wasza średnia zamykanych śledztw, kiedy pan Monk pracował jeszcze u was na policyjnym etacie? - zapytał Braddock.

- Nie wiem, ale założę się, że ty wiesz - odparł Stottlemeyer.

- Siedemdziesiąt siedem procent - powiedział Braddock. - Średnia pana Mońka wynosiła wówczas sto dwadzieścia procent.

- Sto dwadzieścia procent? - odezwała się jakaś policjantka z sali. - Jak to możliwe?

- Rozwiązywałem własne sprawy, a także sprawy innych detektywów - wyjaśnił Monk.

- Podobnie jak czyni pan to dzisiaj - dodał Braddock.

- Lubię mieć coś do roboty.

- Interesujące - stwierdził Braddock. - Ile wynosi twoja średnia rozwiązanych spraw, kapitanie?

- Nie wiem. Ale jestem pewny, że jest niższa od średniej Mońka, i wcale się tego nie wstydzę. Monk to najlepszy detektyw, jakiego znam, niewykluczone, że najlepszy w historii. Jest lepszy od każdego na tej sali. Mamy wielkie szczęście, że z nami współpracuje.

- Przemawia przez ciebie skromność — powiedział Braddock. - Wasze wyniki są przedmiotem zazdrości departamentów policji wszystkich miast w kraju. Ale jak wyglądałyby bez pomocy Adriana Mońka?

Monk nachylił się do kapitana.

- To chyba dobry moment, żeby poprosić o podwyżkę, prawda? - zapytał.

Wcale nie żartował, bo Monkowi absolutnie brakuje poczucia humoru, ale widownia odebrała py-

tanie jako znakomity żart. Na sali wybuchł niepoahamowany, głośny śmiech, który zagłuszył wymianę zdań między Stottlemeyerem a Monkiem. Ja jednak ją usłyszałam.

- Nie rozumiem - zdziwił się Monk. - Z czego oni się śmieją?

—Ze mnie — odparł kapitan.

Wziął do ręki szklanę Mońka i duszkiem ją opróżnił.



## Monk ma dobrych przyjaciół

Nie było mowy, żeby po napełnieniu szklanki Monk znowu z niej pił, a Stottlemeyer świetnie o tym wiedział. Ostatnią deską ratunku dla Mońka było pilnowanie, żeby w obu szklankach pozostawał ten sam poziom wody, niezależnie od tego, z której szklanki kapitan będzie teraz popijał.

Taki plan mógł odnieść powodzenie, gdyby Stottlemeyer nie chwycił karafki z wodą i nie wylał całej jej zawartości do jednej z donic za plecami.

Monk mógł się teraz tylko modlić, że kapitan nie ośmieli się zburzyć równowagi wszechświata, upijając choćby kroplę wody z którejkolwiek ze szklanek. Ale już sam strach, że kapitan może tego dokonać, kompletnie sparaliżował Mońka. Odtąd nie spuszczał oczu ze szklanek, jakby pragnął zaczarować wodę, by przemieniła się w twardy lód.

Na szczęście ktoś na sali wstał i poprosił Mońka i Stottlemeyera, aby opowiedzieli o swoim najbardziej niezwykłym i tajemniczym śledztwie, tak więc spotkanie zakończyło się w miarę pozytywnym akcentem, a Braddockowi nie udało się już poruszyć żadnej podchwytliwej kwestii.

- Myślę, że poszło nieźle - powiedział Monk, kiedy wyszliśmy z hotelu na Powell Street.

Stottlemeyer przytaknął wolno.

- W porównaniu ze spaleniem na stosie, ukamienowaniem czy oblaniem gorącą smołą i obsypaniem pierzem, to sędzę, że zupełnie przyzwoicie.

- Miałem wrażenie, że jesteś trochę zdenerwowany — wyznał Monk.

- Naprawdę?

- Co prawda sprawy z wodą zaczęły ci się wymykać spod kontroli, ale w porę interweniowałem — mówił Monk. - Mogłoby cię spotkać wielkie upokorzenie na oczach kolegów.

- Cieszę się, że do tego nie doszło. W ogóle dzięki, że zaoszczędziłeś mi wstydu.

Monk nie dostrzegł sarkazmu w słowach kapitana, było więc oczywiste, że jeśli powie coś więcej, pogorszy tylko sytuację.

- Nie ma sprawy — stwierdził. — Po to ma się przy jaciół.

Stottlemeyer odwrócił się w moją stronę.

- Dzięki za to pytanie o najbardziej interesujące śledztwa — powiedział.

- Miałam do wyboru albo to, albo rzucenie czymś ciężkim w prowadzącego spotkanie - stwierdziłam. -Co ugryzło tego Braddocka?

- Stawiał po prostu pytania, które chodziły po głowie większości policjantów na sali - odpowiedział wymijająco Stottlemeyer.

- Wyczuwałam w tym coś osobistego, kapitanie.

- Ja tego tak nie odebrałem.

Było jasne, że Stottlemeyer łął. Ale nie miałam powodu ciągnąć go dalej za język, a poza tym nie miałam czasu. Spotkanie trwało dłużej, niż się spodziewałam, i znowu musiałam złamać parę przepisów ruchu drogowego, jeśli Monk miał zdążyć na sesję z psychoterapeutą. Każdy więc poszedł w swoją stronę.

Po śmierci doktora Krogera Monk rozpoczął wizyty u doktora Nevena Bella. Może nie łączyła go z nowym terapeutą taka bliska więź jak z doktorem Krogerem, ale dostrzegałam w tym dobrą stronę. Wydawało mi się, że im mniej Monk czuje się zależny od psychiatry, tym bliżej mu do racjonalnego i niezależnego podejścia do życia.

Podczas gdy Monk wyrzucał swoje problemy przed doktorem Bellem, ja poszłam na spacer w górę stromej ulicy, tak stromej, że w chodniku musiano zbudować stopnie. Lubiłam tę przechadzkę; krew zaczynała mi żywiej krążyć w żyłach, a kiedy stawałam na szczycie, wspinaczkę wynagradzał mi bajeczny widok na miasto.

Za to Monk nie cierpiał tej ulicy, podobnie zresztą jak wszystkich innych stromych ulic w San Francisco, ponieważ ciągnące się przy nich wiktoriańskie domy stały nierówno w stosunku do nachylenia terenu. Ale przynajmniej nie kazał już zawiązywać sobie opaski na oczach, by nie narażać się na ich widok. To chyba postęp, prawda?

Zastanawiałam się nad ostrą krytyką, która spotkała Stottlemeyera podczas konferencji z policjantami, i poczułam się źle, że nie zrobiliśmy nic więcej, aby bronić kapitana (choć Monk z pewnością upierałby się, że zrobił wszystko co w jego mocy, utrzymując równy poziom wody w szklankach).

Braddock nie powiedział nic, co nie byłoby prawdą, ale z drugiej strony mógł przecież podkreślać te kwestie, nie przemieniając ich w atak przeciwko kompetencjom i charakterowi kapitana.

Gdyby nie Stottlemeyer, Monk w ogóle nie współpracowałby z SFPD. Kapitan ściągnął go do policji nie po to, żeby podnieść sobie średnią zamykanych

śledztw ani robić na innych dobre wrażenie. Zrobił to, ponieważ był jedyną osobą w San Francisco, która troszczyła się o Mońka, nie oglądając się na jego problemy psychiczne.

Stottlemeyer zatrudnił Mońka jako konsultanta, chcąc uchronić go przed życiem w nędzy i samotności. Był to wspaniały dowód przyjaźni i dobroci i prawdopodobnie kosztował kapitana wiele z jego reputacji zawodowej, na którą zapracował sobie w ciągu długiej kariery. Nic dziwnego, że wścieka mnie, kiedy ktoś próbuje obrócić przeciwko Stottlemeyero-wi to, co zrobił dla Mońka.

Nie byłem już w stanie naprawić zła, które uczyniono kapitanowi w czasie panelu, ale przynajmniej mogłam go jakoś po przyjacielsku pocieszyć, więc w drodze powrotnej do gabinetu doktora Bella zadzwoniłam do kapitana i zaprosiłam go na kawę po godzinach pracy.

Na żadne z nas nikt wieczorem w domu nie czekał, więc wiedziałam, że trudno będzie mu się wymówić od zaproszenia. Możecie zarzucić mi brak skromności, ale byłam pewna, że spędzenie wspólnie ze mną trochę czasu było o niebo atrakcyjniejszą perspektywą niż powrót do pustego domu i zimnych resztek wczorajszego obiadu w lodówce.

Zresztą po tym, przez co dzisiaj przeszliśmy, kapitan prawdopodobnie potrzebował kogoś do rozmowy, nawet jeśli się otwarcie do tego nie przyznawał.

Spotkaliśmy się w Starbucksie przy mojej ulicy w Noe Valley, ciekawej dzielnicy z miłym klimatem, w której bardzo się podniosły standardy od czasu, gdy kupiłam tam stary dom do remontu. Jednak domu do tej pory nie zmodernizowałam i cały czas czekam w strachu, aż przedstawiciele Komitetu Mi-

łośników Dzielnicy przejdą w proteście pod moim oknem z pochodniami, domagając się ode mnie wyprowadzki, bo nie mam silikonowego biustu, niemieckiego samochodu ani iPhone'a. Ratowało mnie chyba tylko to, że byłam szczupłą blondynką z czupurnym uśmiechem, ale wiedziałam, że to na długo ich nie powstrzyma.

Wysupłaliśmy dla barmana jakieś bajońskie sumy na dwa kubki kawy i usiedliśmy ciężko przy stole w zapadniętych, niepasujących do siebie fotelach z zagłówkami.

Kapitan zdjął krawat i rozpiął dwa guziki koszuli pod szyją, odsłaniając kawałek podkoszulka. Wyglądał paskudnie.

- Więc jaką mamy okazję? - zapytał.
- Pomyślałam, że pewnie chciałby pan z kimś porozmawiać o tym, co się dzisiaj stało.
- Tak naprawdę nie ma o czym gadać - odparł.
- To może porozmawiamy o kłamstwie, które mi pan powiedział - zasugerowałam.
- Którym? - Uśmiechnął się. - Bo już się pogubiłem.
- Kiedy stwierdził pan, że wcale nie bierze pan do siebie pytań Paula Braddocka. Przecież wyraźnie zależało mu, żeby dopiec panu do żywego. Co zaszło między wami?
- Mieliśmy odmienne podejście do pracy w policji. Ja trzymałam się prawa, a on dopuszczał każdą metodę, która mogła prowadzić do rozwiązania sprawy, nawet jeśli oznaczało to deptanie czyichś praw — wyjaśnił Stottlemeyer. - Dałem mu wybór: albo zrezygnuje ze służby w policji, albo o wszystkim, co o nim wiem, zawiadomię służby wewnętrzne, a wtedy niech już z nimi się zmierzy. Braddock zrezy-

gnował i przeniósł się do Banning. To było osiem lat temu.

- Wreszcie nadarzyła mu się okazja, żeby wyrównać porachunki - stwierdziłam.

- Ale ją zmarnował. Powiedział tylko tyle, że Monk jest lepszym detektywem ode mnie. Żadna rewelacja.

- Jednak musiało zboleć.

- Jestem dumny z sukcesów Mońka - zapewnił Stottlemeyer.

- Nawet jeśli przyćmiewają pańskie?

- Natalie, jestem szefem wydziału. Do moich obowiązków należy wyzwalanie u ludzi ich najlepszych cech, Mońka nie wyłączając. Jeśli coś schrzanią, wina spada na mnie, jeśli odnoszą sukces, jest to również mój sukces. Taka jest natura tej roboty. Najważniejsze, żeby złe typy trafiły za kratki.

- To prawda, że właśnie panu udało się wydobyć z Mońka najlepsze cechy. Gdyby nie pan, w ogóle nie mógłby robić tego, co trzyma go przy życiu. Nie jestem jednak pewna, czy potrafi pan dostatecznie docenić swoją zasługę.

- Oczywiście - powiedział Stottlemeyer. - Za każdym razem, kiedy Monk ośmieszy jakiegoś cwane go zabójcę z żelaznym alibi, gratuluję sobie w duchu, że nie słuchałem urzędasów i psychiatrów, którzy chcieli go skreślić.

- Taak, ale też nieraz widziałam pana minę, kiedy Monk w okamgnieniu wyjaśniał jakieś przestępstwo. Nieraz też słyszałam, jak wini się pan za to, że sam nie zauważył śladów zbrodni. Wczoraj, przy okazji sprawy profesora Cowana, mówił pan to samo.

- Bardzo chciałbym być taki spostrzegawczy jak Monk. Ale nie jestem. Więc mogę się cieszyć, że Monk

złapie każdego kanciarza, który mógłby się wywinąć tylko dlatego, że nie jestem tak dobrym detektywem jak on - ciągnął kapitan. - Ale prawda jest taka, że wcale nie chciałbym nim być. Cena jest zbyt wysoka.

- Ma pan na myśli zaburzenia obsesyjno-kompulsywne?

- Mam na myśli wszystkie rzeczy, które omijają w życiu Mońka. Najprostsze przyjemności, jak lizanie lodu w wafelku, pływanie w jeziorze, wyjście na mecz piłkarski, pośmianie się z dobrego dowcipu, pogłaskanie psa, zapalenie cygara, zabawa z dziećmi, biwak w lesie, prowadzenie samochodu czy wyjście na kawę z przyjaciółmi. Ja mam życie. Co ma Monk?

- Mnie, pana i swojego brata, Ambrose'a - odpowiedziałam.

- Bardzo smutne - skonstatował Stottlemeyer.

- Ale nieumiejętność nawiązywania znajomości i radowania się tymi wszystkimi rzeczami, które pan wymieniał, to właśnie objaw zaburzeń.

- I to właśnie zaburzenia czynią z niego znakomitego detektywa - uzupełnił kapitan. - Monk nic więcej w życiu nie ma, jeśli nie liczyć nieustannego czyszczenia i porządkowania. Ja mam rodzinę. Wiem, że jestem dobry w tym, co robię, ale poczucie mojej wartości nie zależy od tego, ile spraw uda mi się rozwiązać. Ja patrzę na siebie przez pryzmat ludzi, jakimi mają zostać moi dorastający synowie, przez pryzmat trwałości moich przyjacieli, a także szacunku, z jakim odnoszą się do mnie koledzy w pracy.

- Dzisiaj nie okazywali go panu zbyt wiele.

Stottlemeyer wzruszył ramionami.

- Być może czegoś chcieli dowieść. Może stałem się za bardzo uzależniony od Mońka. Może się roz-

leniwiłem, wiedząc, że jeśli coś schrzanie, zawsze mogę go wezwać. Może rozleniwili się moi ludzie. Nie wiem.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu popijaliśmy kawę. Stottlemeyer spoglądał na mnie zaciekawionym wzrokiem. Nasze spojrzenia się spotkały.

- O co chodzi? - zapytałam.
- U ciebie wszystko w porządku?
- Dlaczego pan pyta?
- Bo nie wiem, skąd u ciebie nagła troska o stan mojej samooceny.

- Pytałam tylko dlatego, że tak pana przema-glowali.

- Znamy się od dawna, Natalie. Nie powiedziałem ci dzisiaj o sobie nic, czego byś jeszcze nie wiedziała. Zaczynam się zastanawiać, czy chodzi tu o mnie, czy też może próbujesz się dowiedzieć czegoś o sobie samej.

- Jest pan detektywem czy psychologiem?

- W moim zawodzie trzeba być jednym i drugim.

Poza tym, jak wiesz, sporo czasu spędzam w poradni małżeńskiej.

Odstawiłam kubek z kawą i spojrzałam mu prosto w oczy.

- Kim ja jestem, kapitanie?

- Chyba niezbyt dobrze rozumiem, o co ci chodzi.

- Kiedy patrzy pan na mnie, kogo pan widzi?

- Niezależną i ufną w swoje siły kobietę, która wie, jak się zatroszczyć o siebie i innych.

- Rany... Gdybym umiała śpiewać, byłabym Mary Poppins.

- W takim razie kim chciałabyś być?

Westchnęłam ciężko, czując nagłe zmęczenie, mi mo kosztownej kofeiny płynącej w moich żyłach.



- Kimś, kto zna odpowiedzi na te pytania - od  
parłam.

Stottlemeyer pokiwał głową.

- Mam pewnego starego przyjaciela, którego daw  
no nie widziałem. Nazywa się Bill Peschel. Jutro  
mam go odwiedzić. Jeśli rzeczywiście chcesz mi po  
móc, chodź ze mną.

Nie rozumiałam, co wizyta u starego przyjaciela  
mogła mieć wspólnego z moją troską o kapitana i jego  
samopoczucie po fatalnym porównaniu z Mon-kiem w  
obecności kolegów po fachu. Ale nie chciałam  
odmawiać.

- Będę musiała wziąć ze sobą Mońka - uprzedziłam.
- Będzie weselej - odpowiedział Stottlemeyer.

Kiedy wróciłam do domu, Julie siedziała przy stole  
w kuchni z nogą założoną na nogę, czytała podręcznik z  
nauki o społeczeństwie, zaznaczała kolejne ustępy  
żółtym markerem i podjadała z pudełka krakersy Wheat  
Thins.

Wheat Thins kupiłam specjalnie dla Mońka, żeby  
miał co przekąsić, gdy do nas zawita. Bardzo je lubi,  
ponieważ są idealnie kwadratowe.

- Krakersy były dla pana Mońka - powiedziałam. -  
Nigdy już ich nie ruszy, jeśli się dowie, że włożyłaś rękę  
do pudełka.

- To mu nie mów.
- Sam się domyśli.
- W jaki sposób?
- Jest genialnym detektywem. Poza tym na pewno  
przeliczył, ile ciastek zostało w pudełku.  
Prawdopodobnie zmierzył też otwór, jaki wyciął w  
toreb-

ce. Na pewno skojarzy wielkość otworu z rozmiarami twojej dłoni i wydedukuje, że jesteś jedyną osobą, która mogła dokonać grabieży.

- On jest stuknięty - rzuciła Julie.

- Myślałam, że lubisz pana Mońka i podziwiasz jego talent - powiedziałam, sięgając do pudełka po parę krakersów; mleko zostało już rozlane.

- Owszem - powiedziała. - Ale mam, sama przyznaj, on jest przecież kompletnie pokrecony.

- Wszyscy jesteśmy trochę pokrecony, prawda?

- Ja nie.

- Poczekaj jeszcze trochę.

- Jezuu, dzięki...

- Spójrz prawdzie w oczy, kochanie, nikt nie wychodzi z dzieciństwa niedraśnięty, choć ty oczywiście masz większe szanse niż inni, skoro wychowuje cię najbardziej kochająca, wyrozumiała i, pozwól, że ośmielę się to powiedzieć, najbardziej gitesowa mama na świecie.

- Gdyby to była prawda, pozwoliłabyś mi zrobić sobie tatuaż.

- Nie ma wystarczająco dobrego artysty, żeby użył ciebie jako płótno dla swego dzieła.

Na pewno nie chciałam, żeby moja córka paradowała z jakimś motylkiem w okolicach łędźwi.

- Sama masz tatuaż — zauważyła Julie.

- I żałuję. Cieszę się, że jest w takim miejscu, którego nikt nie widzi.

- W każdym razie w ostatnim czasie — rzuciła Julie.

- Skoro już o tym mowa, jak minęła randka ze Stottlemeyerem?

Uszom nie wierzyłam, z jakim tupetem i w jak bezpośredni sposób zaczynała się do mnie odnosić Julie. Ale z drugiej strony nie była przecież małą

dziewczynką. Była kobietą. Wcale niegłupią. Dobrze wiedziała, że nie żyję w celibacie.

Brak zgody na tatuaż u Julie był moją ostatnią, desperacką redutą rodzicielskiej kontroli. Za kilka miesięcy dziewczyna będzie dorosła, w każdym razie według prawa stanu Kalifornia, i moja zgoda do niczego nie będzie jej potrzebna. Będzie mogła wytatuować sobie całe ciało, pofarbować włosy na purpurowo, przestać chodzić do szkoły, wstąpić do Legii Cudzoziemskiej we Francji albo uciec i wziąć ślub z facetem, którego poznała godzinę wcześniej.

Jej nieuchronna wolność w popełnianiu rozmaitych błędów była czymś, o czym usilnie starałam się nie myśleć, bo w przeciwnym razie szybko straciłabym oddech. Lepiej koncentrować się na bieżących sprawach, takich na przykład jak niedawne, całkowicie niewinne spotkanie z kapitanem Lelandem Stottlemeyerem.

- To nie była randka - poprawiłam córkę. - To było spotkanie dwojga przyjaciół, którzy poszli po pracy na kawę. Było bardzo udane. Dziękuję. Pod srogą, policyjną skorupą kapitana kryje się przemiły i wrażliwy człowiek.

- On jest dla ciebie za stary, mamó.

- Nie budzi mojego zainteresowania w sensie romantycznym. Po prostu dobrze mi się z nim rozmawia.

- Do tego służą przyjaciółki - nauczyła mnie Julie. - Twoja żeńska świta.

- Nie mam takiej świty. Poza tym nikt tak dobrze nie rozumie problemów, z którymi mam do czynienia, jak kapitan Stottlemeyer. Mamy wiele wspólnego.

- Oboje skończyliście trzydziestkę i jesteście singlami?

- Oboje nas obchodzi los pana Mońka.
  - Jesteście jak dwoje rozwiedzionych rodziców, którzy wciąż pełnią nad nim władzę rodzicielską - stwierdziła Julie.
  - Stanowimy dla pana Mońka coś najbliższego pojęciu rodziny.
  - Co z jego bratem?
  - On nigdy nie wychodzi z domu - wyjaśniłam. - To my widzimy się każdego dnia z panem Monkiem, a z taką troską i zobowiązaniami wiąże się też pewna odpowiedzialność i niepokój.
  - Bo jest pokręcony - stwierdziła sucho Julie.
  - Bo jest jedyny w swoim rodzaju. Jak ty. Pocałowałam ją w czoło i poprawiłam jej grzywkę.
  - Nie jestem jak pan Monk - zaprotestowała.
  - Myślisz, że mnie nie denerwujesz?
  - Ani w połowie tak jak ty mnie.
  - Na tym już polega ta moja macierzyńska robota.
  - W takim razie jesteś w niej naprawdę dobra — rzuciła Julie, posyłając mi wielki uśmiech.
- Dobrze wiedzieć, że przynajmniej w czymś jestem naprawdę dobra.

## 5

### Monk i barman

Mili Valley to miasteczko „sypialnia” po drugiej stronie mostu Golden Gate, patrząc od San Francisco, w urokliwym, zalesionym hrabstwie Marin. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zakątek ten słynął głównie z głośnych przyjęć swingersów, trwających do rana w tutejszych pokojach, jacuzzi i każdym innym miejscu, gdzie zdołała się pomieścić chętna grupa dorosłych w dowolnej liczbie i kombinacji.

Jeśli dzisiaj Mili Valley cieszyło się jeszcze jakąś sławą, to chyba tylko niebotycznie wysokich cen za domy. Wszystkie zaczynały się od miliona. Nie byłoby mnie tam stać nawet na karmnik dla ptaków.

Bill Peschel mieszkał z córką, Carol Atwater, jej mężem Philem i dwojgiem ich dzieci, w trzypokojowym domu w stylu farmerskim na ulicy, przy której frontowe ogrody były tak wypielęgnowane, a chodniki tak wyczyszczone, że na ustach Mońka pojawił się mimowolny uśmiech.

Kiedy przyjechaliśmy, Stottlemeyer czekał już na nas przy krawężniku, żując wykałaczkę, oparty o maskę swojego policyjnego forda crown vic. Zaparkowałam za lśniącym mercedesem typu SUV w alejce podjazdowej prowadzącej do domu i wysiadłam z samochodu. Białe, duże litery, naklejone na

tylną szybę mercedesa, tworzyły napis: KU PAMIĘCI KOCHANEJ CLARY PESCHEL.

Zupełnie nie rozumiem tej mody motoryzacyjnych inskrypcji nagrobnych. W jaki sposób zakup dobrego samochodu ma czczyć pamięć bliskiej osoby, która zmarła? Takie napisy widzę niemal wyłącznie na samochodach sportowych albo SUV-ach gabarytów największego lotniskowca. Czy uczynienie ze swojego porsche lub hummera pędzącego nagrobka ku czci zmarłego członka rodziny usprawiedliwia w czymkolwiek nieodpowiedzialne, pozbawione umiaru spalanie paliwa? A może takie „motonagrobki” mają uwiecznić pamięć osób, które właściciel nieszczęśliwie zabił swoim wehikułem?

Dla mnie takie napisy to coś jeszcze głupszego niż żółte znaki z napisem JEDZIE Z NAMI DZIECKO, które zdają się sugerować, że z chęcią roztrzaskałbyś się o taki pojazd, gdyby jednym z jego pasażerów nie było niewinne dzieciątko.

Zresztą mercedes Peschelów również miał taki żółty znak, a w środku dostrzegłam dwa foteliki dla dzieci.

- Clara była żoną Billa - wyjaśnił Stottlemeyer, który zauważył, że przyglądam się napisowi.

- Ale dlaczego zadedykował jej samochód?

- Może córka dostała go w spadku i chciała w ten sposób wyrazić podziękowanie za podarunek — wyraził przypuszczenie kapitan.

- Bardzo dziwne - mruknęłam. - Więc co to za przyjaciel, którego przyjechaliśmy odwiedzić?

- Bill był jednym z moich najlepszych informatorów - powiedział Stottlemeyer. - Kiedyś prowadził spelunkę w Tenderloin. Dziesięć lat temu sprzedał interes, przeniósł się na emeryturę do Sarasoty, ale

potem, po śmierci żony, przeprowadził się tutaj, aby zamieszkać z córką i jej rodziną.

Monk przykucnął przy trawniku i podziwiał w zachwycie jasnozielone, idealnie przystryżone źdźbła trawy.

- Muszę poznać nazwisko ich ogrodnika — powiedział.

- Przecież pan nie ma ogrodu — zauważyłam.

- Chciałbym mu tylko pogratulować tak misternej roboty.

Odwrociłam się do kapitana.

- Często odwiedza pan Billa?

- Staram się wpadać do niego raz na miesiąc.

- Ze wszystkimi informatorami utrzymuje pan tak zażyłe kontakty?

- Dzięki jego pomocy udało mi się rozwiązać kilka naprawdę poważnych spraw - powiedział Stottle-meyer. — Gdyby nie on, być może nie byłbym dzisiaj kapitanem.

Spojrzałam na Mońka.

- Pan go znał?

- Nie korzystałem z konfidentów.

- Bo nie musiałeś — stwierdził Stottlemeyer.

Wycelowałam w niego palec.

- Proszę. O to właśnie mi chodziło wczoraj wieczorem podczas naszej rozmowy.

- Widzieliście się wczoraj wieczorem? - zapytał Monk.

Zlekceważyłam to pytanie i tłumaczyłam dalej, o co mi chodzi.

- Wciąż czyni pan pod swoim adresem deprecjo nujące uwagi, jak choćby te na temat umiejętności detektywistycznych. To obnaża pańskie prawdziwe odczucia i kompleks niższości.

- Wolę myśleć, że to po prostu stwierdzanie suchych faktów, w sposób chłodny i szczery - odpowiedział Stottlemeyer i odwrócił się do Mońka. - Tak. Poszliśmy wczoraj razem na kawę.

- Dlaczego to zrobiliście?

- Ponieważ lubię kawę i lubię się spotykać z przyjaciółmi - wyjaśnił kapitan. - Istota ludzka często robi coś takiego, wiesz, Monk? To się nazywa „utrzymywanie kontaktów towarzyskich”. Też powinieneś tego kiedyś spróbować.

- Kontaktów z innymi ludźmi?

- O to właśnie chodzi - powiedziała.

Monk pokręcił głową.

- W taki sposób przenosi się choroby. Utrzymywanie kontaktów towarzyskich powinno się odbywać wyłącznie pod ścisłą kontrolą lekarzy i tylko w sterylnym środowisku.

- Brzmi zachęcająco - powiedział Stottlemeyer, ruszając w kierunku domu.

To przypominało mi rodzinne zdjęcia ze Święta Dziękczynienia z dzieciństwa Mońka, które przyprawiły mnie zawsze o ciarki na plecach; stół w jadalni, na krzesłach i podłodze ochronna folia, a matka nakłada zimne kawałki pieczonego indyka szczypcami, które trzyma przez gumowe rękawiczki, jakby mięso, a może dzieci, było radioaktywne.

- Oczywiście, że zachęcająco, ale co ważniejsze, jest to higieniczne — stwierdził Monk i poszliśmy wszyscy za kapitanem.

Stottlemeyer zadzwonił do drzwi i po chwili otworzyła je kobieta o jakże swojskim wyglądzie, jednoznacznie wskazującym na wczesne macierzyństwo. Rozpozna je każda mama, ponieważ swego czasu sama tak wyglądała. To mieszanina przemęczenia,



zagubienia i rozdrażnienia, mająca źródło w usilnych próbach robienia piętnastu rzeczy naraz, bez spuszczenia przy tym z oka dzieci, które mają niespożyte siły, wiecznie się czegoś domagają i są nie do upilnowania.

Carol Atwater miała niewiele ponad trzydzieści lat, była szczupłą, choć może nieco puciołowata, wciąż dźwigała tych parę upartych kilogramów przebytej ciąży. Miała na sobie zwykłe, codzienne ubranie, ale dobrej marki, prawdopodobnie zbyt drogie, aby rzeczywiście było codzienne.

- Witam, kapitanie - powiedziała.

- Proszę, Carol, mów mi Leland - odparł Stottlemeyer i skinął w naszym kierunku głową. - To moi przyjaciele, Adrian Monk i Natalie Teeger.

- Muszę was ostrzec, że od rana mamy tu mały dom wariatów. - Westchnęła. - Właściwie jest tak od czasu, kiedy wprowadził się tata.

- Może mógłbym w czymś pomóc? - zapytał kapitan.

- Pomagasz samą obecnością i odciągnięciem go ode mnie na kilka minut - powiedziała Carol, odsuwając się i wpuszczając nas do środka. - Wspaniale, kiedy do niego wpadasz, ty czy inni policjanci. Ja mogę tylko siedzieć z nim i pić przez cały boży dzień.

- Rozumiem. - Stottlemeyer pokiwał głową.

Ja jednak nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam. Co prawda znałam ją dopiero od pięciu sekund, ale Carol nie robiła wrażenia kobiety, która siedzi przez cały dzień z ojcem i popija z nim drinki.

- Tato jest tam gdzie zawsze - powiedziała, wskażąc ręką przed siebie.

Z holu wchodziło się wprost do pokoju dziennego zarzuconego dziecięcymi zabawkami. Był tam rów-

niez kominek, duży telewizor z płaskim ekranem przytwierdzony do ściany, a w jednym z narożników wiklinowy kosz, z którego wysypywały się kolejne zabawki. Rozsuwane, dwuskrzydłowe drzwi wychodziły z pokoju dziennego na ogród na tyłach domu, gdzie z daleka dostrzegłam basen otoczony niewysokim ogrodzeniem z kutego żelaza oraz fontanny wody tryskające w kilku miejscach z podziemnych spryskiwaczy, które zraszały nieprawdopodobnie zieloną trawę.

Na kocyku na środku pokoju siedziała dziewczynka w T-shircie i pieluszcze, wgryzając się łapczywie w gumowego pączka. Śmiała się wesoło i śliniła. Miałam ochotę wziąć ją na ręce i zabrać ze sobą do domu.

Monk trzymał się od niej z dala, jakby dziecko było groźnym wściekłym psem.

Pokój dzienny oddzielał od kuchni długi barek, przy którym stały cztery wysokie krzesła.

Za kontuarem stał Bill Peschel, który wycierał ściereczką kieliszki. Na mój gust mógł mieć jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Jego zapadniętą klatkę piersiową i nieco wydęty brzuch przykrywał kuchenny fartuch. Na jego niemal łysej głowie sterczały pojedyncze kępki włosów niczym uschnięte, przerośnięte chwasty. Zniszczone nikotyną zęby miały niemalże taki sam kolor jak ogorzała skóra.

Za plecami Billa, na przeciwległym kontuarze kuchennym przy ścianie, stał rząd wypełnionych wodą butelek bez etykietek. Peschel zaprosił nas do baru zamaszystym ruchem chudej, kościstej ręki.

- Wchodzić, wchodzić, nie próżnować! - wołał. - Przy barze jest mnóstwo miejsca, ale możecie też usiąść przy stoliku.

Peschel podniósł niedbale rękę mniej więcej w kierunku dziecka.

Carol wzięła na ręce córeczkę, powąchała pieluchę i skrzywiła się niemilosierdzie.

Monk jęknął ze zgrozą.

- Czy pani oszalała?

- Ten stary pijaczyna znowu się zmoczył? - zapytał Bill Peschel. - Proszę, pokaż jej drzwi, Bev. Odstrasza mi klientów.

Powiedział to takim tonem, jakby żartował. Ale miałam dziwne przeczucie, że mówił poważnie. Poza tym zwrócił się do córki „Bev”, a przecież ma na imię Carol.

- Przewinę ją i zobaczę, czy nie uda mi się położyć jej na krótką drzemkę - oznajmiła kobieta.

- Nie śpiesz się — powiedział do niej Stottlemeyer, usiadł na jednym z wysokich krzeseł przy barze i uśmiechnął się do Peschela. — Dżin z tonikiem. Dla mojego partnera piwo.

- Nie ma mowy, kapitanie. Ty jesteś na służbie, a ja w ogóle nie piję - powiedział zaskoczony Monk. - Jedyny alkohol, jaki przekracza granicę moich warg, to płyn do płukania ust, ale natychmiast go wypluwam.

Stottlemeyer starał się uciszyć go gestami dłoni.

- Znowu przydzielili ci żółtodzioba? - zapytał Stottlemeyera Peschel.

- Obawiam się, że tak — westchnął kapitan.

Spomiędzy niemowlęcych butelek i pojemniczków stojących na ociekaczu w zlewie Peschel wydobył kubek, napełnił go wodą z kranu i postawił przed Monkiem, który zdawał się wyjątkowo nic nie rozumieć.

- Pij, pij, harcerzu - powiedział Peschel. - Niech ze wyrosną ci wreszcie włoski na klatce piersiowej.

- Nie chcę mieć włosków na klatce piersiowej, nie mówiąc już o innych miejscach - odgryzł się Monk. - Poza tym to nie jest piwo. To zwykła kranówka.

Peschel uśmiechnął się szeroko do Stottlemeyera.

- Dzieciak gra twardziela, a nie widziałem, żeby coś łyknął. Coś na popitkę, harcerzu?

- Nie trzeba, da radę. - Stottlemeyer mrugnął okiem do Mońka, próbując wciągnąć go do gry.

Ale zabawa w udawanie nie należała do mocnych stron Adriana Mońka.

Usiadłam na krześle obok mojego szefa, wypiłam z kubka haust wody, a potem wolnym ruchem ręki starłam z wargi wymyśloną pianę po piwie.

- Mnie smakuje - powiedziałam.

Peschel uśmiechnął się do mnie.

- Jesteś dziewczyną pracującą, moja droga?

- Nie — odpowiedziałam. - Samotną i spragnioną.

- Nie mam nic przeciwko twojej profesji — stwierdził. - Ale z każdego numerku, jaki u mnie ustrzełisz, należy mi się dziesięć procent.

Mrugnął do mnie i przesunął się do Stottlemeyera.

- Jak idzie interes? — zapytał kapitan.

- Marnie.

Peschel sięgnął za siebie po jedną z butelek, nalał wprawnym ruchem małą porcję wody do szklanki, a potem dodał porcję z innej butelki i wymieszał. Następnie rozłożył przed Stottlemeyerem serwetkę i postawił na niej szklankę.

- Poza tym śliniącym się, starym pijaczną nikt tu dzisiaj nie wpadł.

- Więc ściągnąłeś mnie na darmo — powiedział Stottlemeyer. - Chyba że po to, aby się trochę napić.

- Tego bym nie powiedział - odparł Peschel. - Wczoraj wieczorem zajął do mnie Hy Conrad, gęba mu się nie zamykała, przechwalał się tym włamaniem u jubilera.

- To fidrygalki, teraz robię w wydziale zabójstw — powiedział Stottlemeyer, sącząc wolno „drinka”, jakby delektował się jego smakiem. - Takie informacje nie są warte tych paru rozwodnionych procentów, które serwujesz w tej spelunie.

- Dopiero się rozgrzewam — powiedział Peschel. — Co powiesz na to, że zjawiała się niedawno pewna elegancka dama i rozpytywała o kogoś, kto mógłby sprzątnąć jej bogatego męża i zrobić to tak, aby sprawa wyglądała na wypadek?

- Dlaczego miałyby przyjść właśnie do pana? — zainteresował się Monk.

- Prowadzę tu bar od bardzo dawna, harcerzu — odpowiedział Peschel. — Znam wielu ludzi, którzy znają wielu ludzi.

- W tej eleganckiej dzielnicy? To nie może być legalne. Ma pan licencję na sprzedaż alkoholu w prywatnym domu?

- Prowadziłem tu bar, kiedy ty jeszcze ciągnąłeś mleko z cyca mamy - stwierdził Peschel.

Z twarzy Mońka odplynęła krew.

- Nigdy czegoś takiego nie robiłem! Jak w ogóle można opowiadać tak niesmaczne i potworne rzeczy? Kapitanie, niech pan arestuje tego człowieka.

Stottlemeyer dał mi znak, żebym wyprowadziła gdzieś Mońka, więc pociągnęłam go szybko za rękaw.

- W korytarzu widziałam krzywo wiszące obrazy, panie Monk - powiedziałam. - Może mógłby je pan wyprostować?

- Jego chciałbym wyprostować - mówił Monk, kiedy wsunęłam mu rękę pod ramię i odciągnęłam od kuchni. - Ten człowiek jest szalony.

Peschel puścił za mną oko.

- Tylko nie zapomnij o mojej prowizji, kiciu.

Kiedy już wyszliśmy na korytarz, gdzie gospo-  
darz nie mógł nas słyszeć, powiedziałam:

- Bill Peschel choruje na chorobę Alzheimera lub coś w tym rodzaju. Wydaje mu się, że wciąż jest barmanem, a jego dom to knajpa, którą kiedyś posiadał. Musi pan trochę udawać.

- Nie wiem jak.

- Cóż, przede wszystkim niech mu pan nie zaprzecza - poradziłam.

- W takim razie w jaki sposób dowie się prawdy?

- Nigdy się nie dowie, panie Monk. Jego prawda to ten dom.

- Smutne - zasepił się Monk, spojrzał z daleka na Peschela, a potem na mnie. - Przynajmniej wie, kim jest.

W tym momencie uświadomiłam sobie, dlaczego Stottlemeyer mnie tu ściągnął. Wcale nie po to, żebym mu pomogła. Zrobił to dla mnie. Chciał, żebym zobaczyła swoje problemy z innej perspektywy.

Peschel wiedział, kim jest — miał zawód, do którego czuł zamiłowanie — ale poza tym był człowiekiem zupełnie zagubionym. Nie znał swojego miejsca w czasie i przestrzeni ani nawet nie wiedział, z kim w danej chwili przebywa. Pewność miał tylko co do tego, że jest barmanem. Jestem jednak przekonana, że gdyby mógł, zamieniłby tę pewność na całą resztę rzeczy, które czyniły niegdyś jego życie bujnym i bogatym, a których teraz nie miał. Mia-

łam wszystko, czego Peschelowi brakowało. Więc na co narzekam?

Myślę, że Stottlemeyer próbował mi powiedzieć, że powinnam być wdzięczna za to, co mam. Może próbował mi powiedzieć, że jestem mazgajem, który za bardzo sobie pobraża. A może chciał mi powiedzieć coś zupełnie innego?

## 6 Monk i

### wielka zmiana

Kiedy tyle rozmyślałam nad tym, dlaczego Stottle-meyer chciał, żebym poznała Billa Peschela, Monk szedł korytarzem i metodycznie prostował wiszące na ścianie obrazy, o których mogłabym powiedzieć wszystko, tylko nie to, że krzywo wisiały.

Dołączyłam do niego, gdy przechodził obok otwartych drzwi do sypialni synka Carol. Zajrzałam do wnętrza. Chłopczyk miał łóżeczko w kształcie samochodu wyścigowego, na podłodze ciągnęły się rozłożone plastikowe tory wyścigowe, a każda wolna powierzchnia w pokoju zastawiona była samochodzikami różnych rozmiarów. Patrząc na zabawki i piżamkę, która leżała na podłodze, domyśliłam się, że chłopak ma jakieś pięć, sześć lat.

Pokój po drugiej stronie korytarza należał do jego młodszej siostrzyczki. Ściany jej sypialni obwieszane były obrazkami przedstawiającymi postacie z kreskówek, a na podłodze wokół łóżeczka poukładane były pluszaki.

Carol stała przy przewijaku, dociskając samoprzylepne końcówki świeżej jednorazowej pieluchy na wierzącym się bobasie.

- Ma pani słodziutką córeczkę - powiedziałam. - To cudowny wiek.

- I tak, i nie. Nie mogę się doczekać dnia, w któ-



rym będę mogła się wreszcie wyspać i włożyć bluzkę, na której nie będzie śladów po wymiocinach.

- Przynajmniej nie prosi o pozwolenie na zrobie nie sobie tatuażu - powiedziałam. - I może ją pani tulić do woli, a ona nie będzie się wymykać.

- Ma pani ochotę wziąć ją na ręce?

Wyciągnęłam ramiona.

- Ogromną.

- Powinnaś założyć rękawiczki — powiedział Monk. - I maskę ochronną. Wszyscy powinniśmy je założyć.

- Dlaczego? - zdziwiła się Carol.

- Chodzi o dziecko.

- Och, dziecku nic nie będzie - zapewniła go.

- Nie o dziecko się martwię - wyjaśnił **Monk**. - Martwię się o nas.

- Jednak zaryzykuję - stwierdziłam.

Carol podniosła córeczkę i podała mi. Dziecko roztaczało ten cudowny, niemowlęcy aromat talku, odżywek i czystej, słodkiej sympatii, która wywołuje instynktowną falę ciepła. Spojrzałam w jasne oczka i potarłam pieśczośliwie nosem nosek, za co zostałam nagrodzona szerokim, bezzębnym uśmiechem.

Monk wzdrygnął się i odwrócił w drugą stronę. Jego wzrok padł na jakieś urządzenie stojące na podłodze koło przewijaka. Monk przechylił głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, próbując odgadnąć, na co patrzy.

Był to biały plastikowy pojemnik przypominający kształtem duży termos. Oczywiście rozpoznałam go natychmiast, jak zapewne zrobiłby każdy rodzic.

- Co to jest? - zapytał Monk.

- To pojemnik na zużyte pieluszki jednorazowe — wyjaśniła Carol. - Wkłada się do środka brudną

pieluszkę, przekręca pierścieniem pod wieczkiem, a pielucha zostaje ściśnięta i automatycznie zamknięta w szczelnym woreczku plastikowym.

Miałam taki pojemnik, kiedy Julie była mała. Dzięki niemu nie musiałam prać za każdym razem te-trowych pieluch, jak robiła to moja mama, czy mieć stale do czynienia z workiem pełnym brudnych jednorazowych pieluszek. Nawet opróżnianie nie było nieprzyjemne. Wystarczyło otworzyć dno pojemnika nad kubłem na śmieci, a pieluchy zamknięte w szczelnych woreczkach wpadały tam długim łańcuchem, przypominającym pęto serdelków.

W pewnym sensie moja córka zawdzięcza też temu pojemnikowi nieco swojej nieśmiertelności - jej brudne pieluchy przetrwają stulecia na jakimś wysypisku śmieci, zapewne na użytek przyszłych antropologów i archeologów żadnych wiedzy, jak Julie sobie żyła.

- Mocne są te woreczki? - zainteresował się Monk.

- Są zrobione z potrójnej warstwy zgrzewanej folii, aby zatrzymać odór i zarazki - mówiła Carol, podając mu wkład ze świeżą partią woreczków. - Dla matek to prawdziwy dar boży.

- Dla nas wszystkich. — Monk był zachwycony. Studiował uważnie wkład z woreczkami, otwierając szeroko oczy w zadziwieniu. - Proszę mnie poprawić, jeśli źle rozumiem. Według tego, co pani mówi, każda rzecz, którą tu wrzucamy, zostaje ściśnięta i szczelnie zamknięta w woreczku, tak?

Carol przytaknęła.

- Ja używam pojemnika tylko do pieluszek i zużytych chusteczek higienicznych.

- Ale do innych rzeczy też może go pani używać, prawda? - indagował Monk.

- Na przykład jakich?
- Na przykład codziennych odpadów.
- Dlaczego miałabym tego używać do odpadów?
- Zaoszczędziłoby to pani mnóstwo czasu traconego na ręczne separowanie śmieci i wkładanie każdej pojedynczej sztuki do woreczka.
- Któż by robił coś takiego? — zdziwiła się.
- Któż by tego nie robił? - zdziwił się Monk i wyciągnął do mnie rękę. - Chusteczka.

Ponieważ trzymałam w ramionach dziecko, Ca-rol podała mu świeżą chusteczkę z pudełka stojącego na przewijaku.

Monk wytarł dokładnie ręce, wrzucił chusteczkę do otwartego woreczka w pojemniku, zamknął go, przekręcił pierścień pod wieczkiem, który automatycznie zamknął szczelnie woreczek i otworzył następny.

Oczy Mońka zaiskrzyły z radości.

- Wow... - powiedział cicho i wyciągnął rękę po kolejną chusteczkę.

Carol wręczyła mu całe pudełko i dała mi znak, żebym wyszła za nią na korytarz.

- Teraz rozumiem, dlaczego kapitan tu panią przyprowadził.

- Dlaczego?

Zerknęła na Mońka, który wytarł dłonie i wrzucił do plastikowego pojemnika następną chusteczkę.

- Musi pani sobie radzić z tym samym problemem co ja - orzekła.

Pokręciłam głową, przypadkowo trącając nosem bobasa.

- Pan Monk nie cierpi na demencję. Jest po prostu ekscentryczny.

- Kiedyś tak samo mówiliśmy o tacie. Wydaje

mu się, że wciąż prowadzi bar. Większość policjantów, których kiedyś znał, odkłada słuchawkę, gdy dzwoni do nich w środku nocy ze swoimi informacjami. Ci, którzy go odwiedzili, rzadko kiedy przychodzą po raz drugi, bo wizyty są zbyt przygnębiające.

- Co z dawnymi klientami z baru?

- Albo nie żyją, albo siedzą, albo są to ludzie, których nigdy nie wpuściłabym pod dach swojego domu.

Przypomniałam sobie, jak Bill Peschel wziął dziecko za starego pijaczynę, a mnie za prostytutkę. Jeśli tak wyglądała niegdyś jego klientela, to niechęć Carol do tego, aby zaprosić ich do domu, była całkowicie zrozumiała.

- Musi być pani ciężko, ma pani dzieci na głowie i jeszcze ojca.

Dzieciak chwycił mnie za nos i lekko ścisnął. Zrobiłam do niego śmieszny minę i zachichotałam wesoło.

- Przedpołudnia nie są takie złe. Do lunchu synek jest w przedszkolu. Dopiero kiedy z nim przyjeżdżam, w domu robi się menażeria - powiedziała. - Najtrudniej jest w porze obiadu. Przygotowanie obiadu w kuchni, gdzie tato nieustannie obsługuje bar i prowadzi rozmowy z ludźmi, których nie ma przy nim od dwudziestu lat, to istne piekło. Choć dzieciakom to się podoba.

- Jak sobie z tym radzi pani mąż? - zapytałam, podczas gdy mój nos znowu znalazł się w zaskakująco mocnym uchwycie niemowlęcej rączki.

- Świetnie. Phil siada przy kontuarze i przez cały wieczór pozwala sobie podawać drinki. Oboje jednak wiemy, że niebawem ojciec stanie się dla nas zbyt dużym obciążeniem i będzie potrzebował cało-

dobowej pomocy. Na szczęście wciąż napływają spore dywidendy z udziałów ojca w spółce InTouchSpace.

- Jak wszedł w posiadanie akcji takiej spółki? - zapytałam zaskoczona.

- Dostał cynk od jednego z klientów - odpowiedziała Carol. - Kupił pakiet akcji, zanim InTouchSpace stało się największym portalem społeczno-ściowym w sieci.

To tak, jakby wejść w posiadanie akcji Microsoftu, Starbucksu i Google'a, kiedy nikt jeszcze o nich nie słyszał. Nic dziwnego, że na emeryturze Peschel mógł wyjechać z żoną na Florydę.

Dołączył do nas Monk, promieniując uśmiechem i wyciągając do Carol ramiona.

- Czy mogę panią uścisnąć?

W szoku niemal nie wypuściłam dziecka z rąk. Monk nigdy z nikim się nie uściskał.

- Dlaczego? - zapytała zdziwiona Carol.

- Bo zmieniła pani moje życie - oświadczył Monk.

Carol zerknęła na mnie ukradkiem, a ja skinęłam głową, dając do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

- No dobrze - powiedziała z wahaniem. - Myślę, że może mnie pan uścisnąć.

Monk ostrożnie położył dłonie na jej ramionach i nieznacznie, niemal niezauważalnie, wspiął się na palcach w jej kierunku. Było między nimi dobre trzydzieści centymetrów wolnej przestrzeni i żadnego fizycznego kontaktu, jeśli nie liczyć rąk Mońka. To był najdziwniejszy uścisk, jaki w życiu widziałam. Z pewnością jeszcze dziwniejszy był dla Carol, która wydawała się oszołomiona.

- Cieszę się, że panią poznałem — powiedział Monk. - Nigdy nie zapomnę tego dnia.

- Ja również — odpowiedziała Carol. W tej chwili wszedł Stottlemeyer.
- Muszę wracać do komendy — oświadczył.
- Dziękuję za wizytę. Wiem, że to dla mojego ojca wiele znaczy.
- Mnie też było miło - odparł kapitan. - Po prostu lubię stare czasy, choć, przyznam, wolałbym je wspominać w przyjemniejszych okolicznościach.
- Wiem, że taka wizyta kosztuje cię więcej niż tylko czas, paliwo i cierpliwość. - Carol sięgnęła do kieszeni i wyjęła parę zmiętych, wyblakłych banknotów. — To dałeś mu podczas ostatniej wizyty.
- Ale to była dobra informacja - powiedział Stottlemeyer nieśmiałym głosem.
- Piętnaście albo dwadzieścia lat temu — stwierdziła Carol i wcisnęła mu pieniądze w dłoń. - Zwróćę wszystko, co dałeś mi dzisiaj, ale tym razem dobrze sprawdzę kieszenie, zanim wrzucę spodnie do pralki.
- Dlaczego? - zapytał Monk.
- Żeby nie wyprać w pralce pieniędzy kapitana.
- Cóż może być w tym złego?
- Banknoty rozmiękną i zbiją się w bryłki.
- Bo po praniu trzeba je wyprasować — powiedział Monk. - Ja zawsze tak robię po czyszczeniu pieniędzy.
- Pan pierze i prasuje pieniądze? - zapytała z niedowierzaniem.
- Pani nie?
- Skąd!
- Na Boga, kobieto, przecież masz w domu dzieci - powiedział Monk. - Pieniądze sąbrudniejsze od niemowlęcych pieluszek. Proszę pomyśleć o plugawych rękach, które je dotykały, o wszystkich miejscach, w których mogły się znaleźć.

Carol spojrzała na mnie.

- Rzeczywiście. Ekscentryczny.

Dałam bobasowi buziaka i niechętnie oddałam go mamie.

- Miło mi było was poznać.

Carol odprowadziła nas do drzwi. Pożegnaliśmy się, a potem kapitan odprowadził mnie i Monka do samochodu.

- Już wiem, dlaczego mnie pan tutaj przyprowadził — powiedziałam.
- Wiesz? - zapytał niewinnym głosem.
- Ja też wiem - wtrącił się Monk. - Mogę cię uścisnąć?
- Nie, nie. - Stottlemeyer odwrócił się szybko i odszedł do swojego crowna,

Monk spojrział na mnie.

- Wiedziałaś, że istnieje coś takiego jak pojemnik na brudne pieluchy?
- Tak - odpowiedziałam. - Nie wiem, czy pan wie, ale wychowałam córkę. Nie urodziła się od razu nastolatką.
- Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś?
- Bo nigdy nie wykazywał pan zainteresowania pieluszkami i niemowlakami - odparłam. - Budzą w panu strach.
- Czy nie przyszło ci nigdy do głowy, że to rewolucyjny wynalazek, który ma dużo większe zastosowanie niż pozbywanie się zużytych pieluszek?
- Miliony ludzi mają w domach taki pojemnik, panie Monk. Nie sądzę, abym ich istnienie utrzymywała w tajemnicy przed światem.
- I nikt nigdy nie wykorzystał potencjału tego wynalazku? To się nie mieści w głowie. To tak, jakby elektryczność wykorzystywać wyłącznie do oświe-

tlenia pokoju. Gdyby kapitan go tu nie odkrył, zapewne nigdy bym się nie dowiedział o jego istnieniu.

—Myśli pan, że właśnie dlatego kapitan nas tu ściągnął? Żeby mógł pan zobaczyć pojemnik na zużyte pieluszki?

- Ależ oczywiście. Z jakiego innego powodu miał by to robić?

—Ma pan rację — powiedziałam. — Jakoś w ogóle o tym nie pomyślałam. Pewnie dlatego to pan jest detektywem, a ja tylko pańską asystentką.

Nie byłam gotowa rozmawiać z Monkiem o moim małym kryzysie tożsamości.

- Wiesz, gdzie można kupić taki pojemnik? - zapytał Monk.

- Tak.

—To będzie nasz następny przystanek — orzekł Monk. - Muszę kupić kilka sztuk.

- Kilka?

—Po jednym do każdego pomieszczenia — wyjaśnił. — I po jednym na zapas.



## Monk dostaje złą wiadomość

Nie był to dobry dzień dla wszystkich rodziców w San Francisco, którzy wybrali się akurat do sklepu kupić pojemnik na zużyte pieluszki lub choćby zapas wkładów z czystymi woreczkami do pojemnika.

Monk zmusił mnie do wizyty we wszystkich sklepach Babie R Us, wszystkich Targetach i Wal-Martach w mieście, aby mógł zaopatrzyć się w pojemniki i niezbędne akcesoria na ten rok i cały następny. Kiedy skończył zakupy, półki w sklepach świeciły pustką, a najbliższe miejsce, gdzie można było nabyć pojemnik, znajdowało się zapewne po drugiej stronie zatoki albo na południe od miasta, gdzieś w Dały City.

Musieliśmy kilka razy schodzić do samochodu, by przenieść wszystko do mieszkania. Kiedy szłam po dwa ostatnie pojemniki, Monk mnie zatrzymał.

—Chciałbym, żebyś zatrzymała sobie te dwa ostatnie pojemniki. To prezent dla ciebie i Julie.

—To bardzo miło z pana strony, panie Monk. Ale nie będą nam do niczego potrzebne.

—Każdemu są potrzebne. Zamierzam głosić tę nowinę.

—Cieszę się, że pan o nas myśli, naprawdę doceniam pański gest, ale nie mamy w domu niemowlaka i żadna z nas nie korzysta już z pieluszek.

—Pojemnik zastąpi wam kosze na śmieci - tłu-

maczył z zapalem. — Na początek jeden pojemnik ustawisz w kuchni, a drugi w pokoju Julie.

- Julie nigdy nie wstawi do swojego pokoju pojemnika na brudne pieluchy

- Dlaczego nie?

- Bo mnóstwo czasu w tym pokoju spędza z przyjaciółmi — powiedziałam. — Co sobie pomyślą, kiedy go u niej zobaczą?

- Że jest czystą i przyzwoitą obywatelką miasta — stwierdził Monk. — I patriotką.

- Pomyślą raczej, że jest w ciąży albo że nie kontroluje oddawania moczu, i plotka rozniesie się po szkole lotem błyskawicy. Julie spali się ze wstydu.

- Przecież wystarczy, jeśli wyjaśni koleżankom i kolegom, że używa pojemnika do zamykania w szczelnym woreczku każdego wyrzucanego odpadu.

- Pomyślą, że jest jakąś stukniętą prymuską.

- Potem mi Julie podziękuje - powiedział Monk.

- Dlaczego miałyby dziękować panu za to, że rówieśnicy będą ją wytykać palcami jako prymuskę?

- Mówisz, jakbyś nie miała pojęcia o życiu nastolatków. Prymus cieszy się prawdziwym szacunkiem.

- Szacunkiem?

- Ja też byłem prymusem.

- Co pan powie.

- Wyjątkowym. W liceum koronowano mnie na Króla Prymusów i to niejednym raz, ale pod koniec każdego kolejnego roku szkolnego - pochwalił się. -To rekord, którego w mojej szkole nie pobito do dzisiaj.

- Wielu było uczniów, którzy marzyli o tytule Króla Prymusów?

- To tak jak zostać królem balu absolwentów, tyl-

ko lepiej, bo nie trzeba chodzić na potańcówki. Nawet cię nie zapraszają.

- Julie lubi tańczyć.

- Powinnaś jej zakazać, zanim sprawy zajdą za daleko - powiedział poważnym tonem.

Nie chciałam już wiedzieć, co „za daleko” może oznaczać w Monkolandzie, więc skończyłam temat.

- Na pewno to zrobię.

Podziękowałam mu za prezent i zaczęliśmy ustawiać pojemniki w każdym z pomieszczeń w domu, nie wyłączając korytarzy i garderób.

Ale to był dopiero początek.

Poprosił mnie także, abym przekazała pojemniki wszystkim mieszkańcom kamienicy, z najlepszymi życzeniami od pana Mońka, nawet temu mężczyźnie z protezą nogi, który mieszkał piętro wyżej (ba, Monkowi zależało, żeby szczególnie on dostał pojemnik).

Monk nie robił tego ze zwykłej szczodrości. Pragnął, aby wszystkie śmieci w jego kamienicy były równie „czyste” jak jego własne.

Nawet nie chciało mi się go przekonywać, że mimo podarunku żaden z sąsiadów nigdy nie będzie w swoim domu zamykał każdego odpadu w szczelnym woreczku i nie będzie ich sortował według Monkowych zaleceń (które Monk spisał, wydrukował i w ciągu ostatnich lat nieraz rozdał je sąsiadom przy wielu okazjach). Niebawem Monk sam się o tym dowie.

Kiedy wróciłam do domu, postawiłam pojemnik w kącie w kuchni, bo wiedziałam, że przy okazji każdej wizyty Monk najpierw będzie się za nim rozglądał. Na szczęście nie musiałam się martwić, czy kiedykolwiek zechce sprawdzić pokój córki, ponieważ Julie wywiesiła na drzwiach ostrzeżenie:

UWAGA NIEBEZPIECZNE ODPADY!, a Monk wołał uwierzyć jej na słowo.

Julie zauważyła pojemnik dopiero, kiedy zaczęłyśmy sprzątać po obiedzie. Patrzyła na niego przez chwilę zaskoczona, a potem rzuciła mi przeciągłe spojrzenie.

- Czy o czymś nie wiem, mam?

- Nie jestem w ciąży, jeśli to masz na myśli, i wciąż jeszcze panuję nad pęcherzem. To prezent od pana Mońka, żebyśmy wykorzystywały pojemnik jako kosz na śmieci.

- Po co?

- Żebyśmy zamykały wszystkie śmieci w szczelnych woreczkach — wyjaśniłam. — Mam też pojemnik do twojego pokoju, jeśli chcesz.

- Nie ma mowy. Wystarczy, że raz już nas obdarował plastikowymi pudełkami na szczoteczki do zębów, bieliznę i skarpetki. Teraz naprawdę przesadził.

- W ten sposób chce nam tylko pokazać, że się o nas troszczy - stwierdziłam. - Ja też chcę mu pokazać, że się o niego troszczymy, i pozwolę mu myśleć, że postępujemy zgodnie z jego zaleceniami.

Julie pokręciła głową, chwyciła ciastko i wyszła do swojego pokoju.

- Za mało ci płaci za takie poświęcenie, mam - powiedziała, odchodząc.

- Uhm, za mało - przyznałam.

Następnego dnia, jak zwykle dokładnie o dziewiątej rano, przyjechałam do Mońka. Czekał na mnie przed drzwiami z dwoma pojemnikami, ślicznie zapakowanymi i obwiązanymi wstążeczką.

- Już mi pan podarował dwa pojemniki - przypomniałam mu. - Dwa następne to nadmiar bogactwa.

- To nie dla was. Są przeznaczone dla kapitana Stottlemeyera i porucznika Dishera. Zawieźmy im prezenty.

Wręczył mi jedno pudło, sam wziął drugie i pomaszzerowaliśmy z powrotem do mojego samochodu, aby pojechać do śródmieścia.

Czuliśmy na sobie zdziwione spojrzenia, gdy przemaszerowaliśmy z pudełkami w rękach przez pokój detektywów, zatrzymując się przed biurkiem Dishera. Kapitan jeszcze nas nie zauważył; drzwi do jego gabinetu były zamknięte, a z daleka było widać, że jest bardzo pochłonięty jakąś papierkową robotą.

Monk postawił prezent na biurku porucznika.

- To dla ciebie — oznajmił.

Disher spojrzał z zaciekawionym.

- Co to jest?

- Pojemnik na zużyte pieluchy - odpowiedział Monk.

Stojący w pobliżu detektywi parsknęli śmiechem. Disher oblał się rumieńcem wstydu i rzucił nam gniewne spojrzenie.

- Jeśli to ma być żart, to nie sądzę, aby był śmieszny. Nie jestem już policyjnym bobasem i nie znoszę, gdy ktoś mnie tak traktuje.

- Randy, za każdym razem kiedy kupujesz piwo, proszą cię o pokazanie dowodu osobistego - powiedziałam. - To samo się dzieje, kiedy idziesz na film dozwolony od osiemnastu lat. Prosiłeś mnie przecież, żebym poszła z tobą na *Mrocznego rycerza*, żeby cię nie legitymowano.

- W takim razie mam wam coś do powiedzenia. Pod tą zwodniczo chłopięcą maską kryje się du-

sza bezwzględnej gliny o zimnym sercu, który stoczył niejedną bój. — Disher wskazał ręką detektywa przy sąsiednim biurku. - Jestem trzy lata starszy od Lansdale'a. Jemu dajcie ten garnek na pieluszki.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Randy. To pojemnik na śmieci - powiedział Monk. - Całkowicie zmieni twoje życie.

- Jak taki pojemnik na śmieci może zmienić czyjeś życie? - zaciekał się Disher.

- Automatycznie zapakuje w woreczek każdy wyrzucony przez ciebie odpad i już nigdy nie będziesz musiał sam tego robić.

- Nigdy tego nie robiłem.

- Wiem, Boże, miej go w swej opiece, wiem. - Monk westchnął, a potem zwrócił się do wszystkich detektywów, w pokoju: — Powinniście zacząć korzystać z takich pojemników. — Detektywi wybałuszyli na niego oczy. — Później mi podziękujecie.

Monk zapukał do drzwi kapitana Stottlemeyera i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. Ruszyłam za nim służbistym krokiem, niosąc przed sobą pięknie zapakowany pojemnik.

Stottlemeyer nie podniósł oczu znad masy papierzyśk na biurku i nadal wystukiwał jakieś liczby na kalkulatorze, tak starym i wysłużonym, że cyfry na jego klawiszach były już niemal niewidoczne.

- Wejdźcie, proszę, czujcie się jak u siebie w domu - powiedział. — Nie pozwólcie, żeby zamknięte drzwi albo ciężko pracujący facet zmacili wam sielankę.

- Mam dla ciebie prezent - oznajmił Monk i dał mi znak, bym wystąpiła do przodu.

Uroczyście postawiłam pojemnik na biurku Stottlemeyera, jakby był zrobiony ze złota i wysadzany diamentami.

- Kapitan podniósł wreszcie głowę i spojrzał na pudło.
- Czy wiecie coś, o czym ja nie wiem?
  - Nie rozumiem - powiedział Monk.
  - O ile mi wiadomo, nie ojcuję niemowlakom — wyjaśnił Stottlemeyer. - Nawet nie mam żadnych w swoim najbliższym otoczeniu.
  - Nie udawaj głupiego. - Urażony Monk wskazał palcem pojemnik. - To był przecież powód, dla którego nas zabrałeś na spotkanie z tym zgrzybiałym barmanem.
  - Pojemnik na zużyte pieluszki?
  - Chciałeś mi pokazać to cudowne urządzenie, bo wiedziałeś, że tylko ja potrafię docenić jego niespotykane możliwości.
  - To bardzo dziwny „skok naprzód”, Monk, nawet jak na ciebie - stwierdził kapitan. - Czy doktor Bell przepisał ci jakieś nowe medykamenty?
- Monk pogroził mu palcem.
- Uważaj, potrafię cię przejrzyć na wylot.
  - Naprawdę? - Stottlemeyer wstał i zamknął drzwi do gabinetu. - W takim razie zapewne wiesz, co mam ci do powiedzenia.
- Nie podobał mi się ton jego głosu, gdy zamykał drzwi, ani mina na jego twarzy, gdy się do nas z powrotem odwrócił.
- Chcesz podziękować mi już teraz, a nie później - domyślił się Monk. - Ale nie musisz. Wystarczającym podziękowaniem będzie radość z wejścia w posiadanie tego cudownego pojemnika.
  - Chciałem o tym porozmawiać z tobą później, ale skoro już tu jesteś, to myślę, że każda pora jest zła.
  - O ile się nie mylę, poprawnie powinno się powiedzieć „każda pora jest dobra”.

- Nie na to, co chcę powiedzieć - stwierdził kapitan.  
- Departament obciął mi budżet do minimum. Od tygodni myślę, jak wydawać coraz mniej pieniędzy w taki sposób, żeby nie odczuli tego detektywi. Ale już mi się skończyły pomysły na kreatywne kompromisy i muszę podjąć parę trudnych decyzji.

- Jestem pewien, że ludzie to rozumieją— powiedział Monk.

- Chodzi o ciebie. Obawiam się, że muszę wypowiedzieć naszą umowę w sprawie konsultacji.

Nic na niebie i ziemi nie wskazywało do tej pory, aby kontrakt Mońka był zagrożony, a teraz nagle, ledwie dzień po tym, jak Braddock wykorzystał sukcesy Mońka do publicznego upokorzenia Stottleme-yera, okazało się, że kontrakt ma wygasnąć. Trudno było mi wierzyć w zwykły zbieg okoliczności.

Czułam, jak zaczynam się czerwienić ze złości.

Monk zamrugał.

- Nie wykonuję dobrze swojej pracy?

- Ależ tak. Nawet wyjątkowo dobrze.

- Więc dlaczego chce się pan go pozbyć? - zapytałam.

- Ponieważ muszę myśleć o moich detektywach - wyjaśnił kapitan. - Jak by to wyglądało, gdybym trzymał Mońka, a chłopakom obcinał nadgodziny i płatne urlopy?

- Wyglądałoby to tak, że działa pan w najlepszym interesie mieszkańców San Francisco — powiedziałam.

- Chyba że już pan zapomniał, że pan Monk jest lepszym detektywem w sprawie morderstw niż wszyscy pańscy detektywi razem wzięci.

Cios poniżej pasa, ale zasłużył sobie. Zresztą była to prawda, z której Stottlemeyer doskonale zdawał sobie sprawę, i właśnie dlatego Monk miał stra-



cię pracę. A ja razem z nim. Bo jeśli Monk nie dostanie wypłaty, ja także jej nie dostanę.

Stottlemeyer wbił we mnie zimny wzrok. Śledczy często tak robią, aby onieśmielić podejrzanego. Ale wytrzymałam presję jego spojrzenia. Powiedziałam sobie w duchu, że na mnie takie metody nie podziałają.

- Może to i prawda, ale rzeczywistość jest taka, że moi detektywi są policjantami na etacie, a Monk nie — stwierdził. — I powiem coś jeszcze. Gdy parę lat temu chłopcy pikietowali pod ratuszem, Monk w pocie czoła pracował za biurkiem. Może już tego nie pamięta, ale oni zapamiętali to sobie na całe życie.

- Najwyraźniej pan też to sobie zapamiętał - sarknęłam. - Przyszedł czas odpłaty, tak?

Staliśmy już tak blisko siebie, że nasze nosy niemal się stykały.

- Mówię tylko tyle, że nie wolno mi wyciągać pieniędzy z ich kieszeni i wkładać do kieszeni Mońka. Po prostu nie mogę tego robić.

- Och, niechże pan sobie daruje. Tu wcale nie chodzi o dawny strajk ani o cięcia w budżecie. Chodzi o to, co się stało wczoraj na konferencji - walnęłam prosto z mostu. - Chodzi o pańską urażoną dumę.

- Rozczarowałem się tobą — powiedział Stottlemeyer. — Myślałem, że znasz mnie lepiej.

- Ja też myślałam, że lepiej pana znam.

Przez kilka chwil mierzyliśmy się groźnym wzrokiem. Żadne z nas nie mrugnęło. Widziałam w jego oczach krągły zarys szkielek kontaktowych.

Monk chrząknął głośno, aby zwrócić na siebie uwagę i przypomnieć, że on też tam jest.

- Kapitan ma rację - powiedział.

- Wcale nie ma - odparłam, nie odwracając wzroku.

Od tego niemrugania zaczęły mnie szczypać oczy.

- Zatrudnianie mnie było dobroczynnym aktem litości - mówił cicho Monk. - To luksus, na który dzisiaj policji nie stać.

- Nigdy tak nie było, Monk - zaprzeczył Stottlemeyer.

Odwrócił wzrok i spojrzał na Mońka, a ja wykorzystałam ten moment, aby zamrugać kilka razy na wypadek, gdyby znowu przyszło nam się zewrzeć spojrzzeniami.

- Zatrudniłem cię, bo jesteś najlepszym detektywem, jakiego znam. Niestety w obecnej chwili najlepszy detektyw jest poza naszym cenowym zasięgiem.

- W zupełności rozumiem - powiedział Monk. - Dlatego będę pracował za darmo, dopóki departamentu policji nie będzie na mnie stać.

- Nie mogę na to pozwolić, Monk - powiedział Stottlemeyer.

- Ja również nie — stwierdziłam.

Kapitan spojrzał na mnie z ukosa.

- Miło wiedzieć, że choć w jednym się zgadzamy.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do gabinetu do słownie wpadł porucznik Disher.

- W parku Golden Gate strzelano do sędziego Clarence'a Stantona — powiedział. — Nie żyje.

- Co z napastnikiem? — zapytał Stottlemeyer.

- Zwiął.

- Cholera — warknął kapitan.

- Zbierz wszystkich ludzi, jakich masz pod ręką. Trzeba będzie przesłuchać każdego, kto mógł coś wiedzieć.

- Pojedziemy z wami - zaproponował Monk.
- Nie, nie pojedziecie - nie zgodził się Stottlemeyer. - Nie słyszałeś, co przed chwilą mówiłem?
- Mówiłeś, że potrzebni są wszyscy, których masz pod ręką. Jestem pod ręką.
- Nie za taką cenę. Przykro mi.

Kapitan wybiegł z gabinetu z Disherem, a za nimi wszyscy detektywi. Monk spojrzał na mnie.

- Mam ochotę na spacer po parku - oznajmił. -A ty?
- Zwolniono pana, panie Monk. Nie będzie pan mile widziany na miejscu zbrodni.
- To przecież park otwarty dla publiczności. Nadal jestem członkiem naszej miejskiej społeczności.
- Naprawdę odradzam, panie Monk.

Ale wiedziałam, że nic nie będzie w stanie go powstrzymać.

## 8

### Monk idzie na spacer po parku

Miejsce popełnienia przestępstwa znajdowało się na parkowej ścieżce do biegania, między niedużym jeziorem a gęsto zalesioną częścią parku Golden Gate, który swego czasu, zanim pod koniec dziewiętnastego wieku zamieniono go w bujną, pięknie zaprojektowaną oazę zieleni, był wielohektarową połącią piaszczystej jałowej ziemi omiatanej przez wiatr.

Dzisiaj, ze swoimi gęstymi sosnowymi i eukaliptusowymi gajami, kilkoma jeziorami, tysiącami kwietników i rozległymi, trawiastymi błoniami, park stanowił idealne miejsce na krótką ucieczkę od stresów miejskiego życia - można tu było pobiegać, pograć w piłkę, pojeździć na rowerze, pouprawiać miłość, urządzić piknik czy zabić człowieka. Muszę szczerze powiedzieć, że w ciągu lat spędzonych w San Francisco wszystko to - poza jedną rzeczą — udało mi się w tym parku zrobić.

Zanim jeszcze doszliśmy do zwłok, silny wiatr od oceanu przywiał do nas woń krwi i kordy tu. Na miejscu musiało być mnóstwo krwi i mnóstwo łusek po pociskach.

Policjanci, którzy zabezpieczali miejsce przestępstwa, przyzwyczaili się już do obecności Mońka, więc przepuścili nas, uprzejmie unosząc żółtą taśmę policyjną, o nic nie pytając i nie prosząc o dowody też-

samości. Najwyraźniej nie dotarła jeszcze do nich wiadomość, że skreślono nas z listy płac.

Ofiara zabójstwa miała na sobie T-shirt i sportowe spodenki do joggingu. Mężczyzna leżał na plecach w potężnej kałuży krwi na ścieżce do biegania, a jego ciało podziurawione było kulami jak sito. Sądząc po nielicznych zmarszczkach na twarzy i siwych pasemkach we włosach, mógł mieć ponad pięćdziesiąt lat, choć dobrze widoczna muskulatura mogłaby wskazywać, że jest dużo młodszy. Oczy miał otwarte, matowe jak kamień.

- Dwóch świadków widziało, jak drobna, smukła osoba w ciemnych okularach, z nasuniętym na twarz dużym kapturem wychodzi spomiędzy drzew i wypróżnia na oślep magazynek, mierząc w sędziego - mówił Disher, zaglądając do notatek. - Potem napastnik wbiegł z powrotem między drzewa.

- Po drugiej stronie lasu biegnie ulica, którą można wyjechać z parku - tłumaczył Stottleme-yer. - Zapewne miał tam zaparkowany samochód, a może ktoś na niego czekał.

Kiedy podeszliśmy, Stottlemeyer i Disher stali odwróceny do nas plecami i dostrzegli Mońka dopiero wtedy, gdy zaczął obchodzić ciało, wyciągając przed siebie dłonie, jakby szukał najlepszego ujęcia.

- Dlaczego napastnik nie wyrzucił pistoletu do jeziora? — zapytał Monk.

- Wokół byli świadkowie, a zapewne chciał się pozbyć broni w takim miejscu, gdzie nikt jej nie znajdzie - odpowiedział Disher.

- Dlaczego z nim rozmawiasz? - Stottlemeyer fuknął na porucznika. - Monk nie ma prawa tu przebywać.

- Czy jednak większym ryzykiem nie jest możli-

wość wpadki z bronią w rękę? - zapytał Monk, jakby kapitan nic nie powiedział.

- Nie omieszkamy go o to zapytać, jak go złapiemy - obiecał Stottlemeyer. - Wynos się stąd, Monk.

- Sędzia został trafiony w ramię, klatkę piersiową, udo, szyję i ramię - wyliczał Monk, kucając przy ciele. — Jakby napastnik strzelał w dzikiej furii lub nie umiał strzelać.

- Albo się zezłościł, albo gdzieś się śpieszył - dodał Disher. - Sędzia Stanton przewodniczył wielu rozprawom w sprawach kryminalnych i z pewnością miał mnóstwo wrogów. Może któryś z nich wyszedł właśnie z więzienia.

- Powiedziałem ci, żebyś z nim nie rozmawiał - odezwał się znowu Stottlemeyer. - Monk, albo odejdziesz, albo zawołam dwóch policjantów, żeby zabrali cię stąd siłą. Decyzja należy do ciebie.

Monk oderwał wzrok od ciała, spojrzał na pobliski lasek, a potem znowu na ofiarę.

- To park publiczny - powiedział. - Nie możesz mnie wyrzucić.

- Po parku możesz sobie spacerować, ile dusza zapagnie, ale, jak każdemu innemu, nie wolno ci przekraczać taśmy policyjnej - rzekł stanowczo Stottlemeyer. - Idź już. I nie chcę cię widzieć na następnym miejscu zbrodni, jeśli cię nie wezwę. Ale na twoim miejscu nie siedziałbym przy telefonie. Kryzys finansowy nieprędko minie.

- Nie musi siedzieć i czekać przy telefonie - powiedziałam. - Jak tylko rozniesie się wieść, że Monk nie ma zobowiązań, wszystkie miasta będą się dobijały z prośbą o jego pomoc.

- Mam taką nadzieję. Naprawdę.

- Chodźmy, panie Monk.

Pociągnęłam go delikatnie za rękaw i odprowadziłam do taśmy. Podniosłam ją, żeby mógł przejść. Monk obejrzał się jeszcze na ciało ofiary, potem spojrzął znowu na las i wskazał palcem jakieś miejsce.

- Żeby w tym miejscu natknąć się na sędziego, napastnik musiał wyjść stamtąd - powiedział.

- Pan nie prowadzi tej sprawy, panie Monk. Nikt panu za to nie zapłaci. Nie ma powodu, żeby się w to mieszać.

- Kapitan mnie potrzebuje.

- Kapitan nie chce pana widzieć.

- Nie stać go na mnie. To różnica - odparł Monk.

- Tu nie chodzi tylko o pieniądze.

Monk ruszył przez łączkę w kierunku lasu. Wszędzie kwitł łubin, opinając pnie wysokich sosen żywymi kolorami.

W pewnym miejscu kwiaty kładły się na ziemi, zdeptane czyimiś nogami. To z pewnością tutaj zabójca ukrył się tuż przed atakiem na sędziego.

Monk wszedł między drzewa i z uwagą zaczął się przyglądać ziemi.

- Od ulicy do lasu i z powrotem prowadzą ślad dyrowy - oznajmił.

Obszedł ostrożnie cały teren, uważając, aby nie naruszyć niczego w nowej części miejsca przestępstwa. Szłam za nim. Monk przechylał głowę to w prawo, to w lewo, kuczał, wstawał, znowu kuczał, wracał tą samą drogą, którą szedł, by po raz kolejny przejść swoim śladem. Jeszcze trochę, a dostałabym zawrotów głowy.

- Zabójca nie był mężczyzną - oświadczył w końcu. - To była kobieta.

- Jak może pan to stwierdzić, oglądając ziemię? -

zdziwiłam się. — Niech mi pan nie mówi, że domyślił się pan z odcisku podeszwy jej buta. Potrząsnął głową.

- Patrząc na wzór podeszwy, mogę tylko powiedzieć, że były to sportowe buty do biegania. Nie jestem w stanie rozstrzygnąć, czy należały one do mężczyzny czy do kobiety. Ale na pewno potrafią to zrobić technicy policyjni, którzy poszukają odpowiednika w swojej obuwniczej bazie danych.

- Zatem skąd pan wie, że to była kobieta?

- Tu przewrócił się jej rower — powiedział, pokazując palcem, jakieś ślady na ziemi. — Na tym kamieniu widać drobny odprysk różowej farby. Róż uważany jest za damski kolor. Mężczyzna nie chciałby się pokazać na rowerze takiego koloru.

- Jesteśmy w San Francisco, panie Monk. Może będzie to dla pana szokiem, ale musi pan wiedzieć, że mieszka tu mnóstwo mężczyzn o damskich skłonnościach, którzy nie wzbraniają się ich okazywać.

Monk wzdrygnął się cały od stóp do głów. Nie sądzę, aby był homofobem *per se*. Po prostu w ogóle był fobem. Jego poczucie porządku mówiło mu, że jeśli coś zaprojektowano dla kobiety lub w sposób bezpośredni wiąże się z kobiecością, to powinna tego używać wyłącznie kobieta. Po prostu czułby silny wewnętrzny niepokój, gdyby kobieta nosiła męski krawat lub zamiast perfum używała wody po goleniu.

Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, to kobieta używająca wody po goleniu budziłaby wewnętrzny niepokój również we mnie.

- Jeszcze coś - powiedział Monk; u niego zawsze jest „jeszcze coś”. - Rower zostawił na ziemi więcej śladów. Tu widać odcisnięty kształt siodełka, a tu-



taj odpowiadający mu ślad kierownicy. Kobiety różnią się od mężczyzn pod względem anatomicznym.

—Naprawdę? Myślałam, że jeszcze pan tego nie zauważył.

—Staram się nie zauważać. Jednak te różnice uwidaczniają się również w projektowaniu damskich rowerów. Kobiety mają szersze biodra niż mężczyźni, zatem ich siodełka są nieco większe. Mają też krótszą górną część tułowia i dłuższe nogi, co widać w odległości między siodełkiem a kierownicą roweru. Z tego samego powodu damski rower nie ma górnej ramy.

—Zawsze myślałam, że brak górnej ramy w damce wywodził się z założenia, że w czasie jazdy kobieta musi gdzieś pomieścić suknię - powiedziałam.

—To też — przyznał Monk. - Możesz zrobić zdjęcia?

Miałam telefon komórkowy z aparatem fotograficznym, więc zrobiłam kilka zdjęć śladów na ziemi.

—Skąd pewność, że to nie mężczyzna jechał na damskim rowerze? — zapytałam.

—Zabójca nie ryzykowałby ściągnięcia na siebie uwagi przypadkowych osób.

—Jeszcze raz przypomnę panu, że jesteśmy w San Francisco. Mężczyzna na damskim rowerze nie byłby tutaj niczym niezwykłym, nawet gdyby jechał w sukience.

Monk znowu się wzdrygnął.

—Muszę zawiadomić kapitana o tym, co już wiem.

—Sam się wszystkiego domyśli z analizy śladów i odprysku różowej farby.

Odwrociłam się i zobaczyłam, że kapitan Stottlemeyer rusza właśnie z policjantami w naszym kierunku.

- Tak sądzisz?
- Jestem więcej niż pewna - odparłam, choć wcale nie byłam pewna.

Ale to już doprawdy nie nasz problem, czy kapitan coś zauważy czy nie. Nie płacono nam, więc nie ma powodu, abyśmy mieli się o to martwić.

- Ja bym nie był taki pewny - stwierdził Monk. Musiałam szybko podjąć jakieś drastyczne kroki.
- Ma pan na bucie trochę natury - powiedziałam. - Wydaje mi się, że to żywica z sosny.

Monk wydał z siebie zduszony krzyk i puścił się biegiem w kierunku ulicy. Nie śpiesząc się, poszłam jego śladem. Zastanawiałam się, czy po powrocie do domu będziemy musieli spalić jego buty, czy też wystarczy, jeśli wrzucimy je do pojemnika na zużyte pieluszki. Może jedno i drugie.

Nie będę was utrzymywała w niepewności. Zrobiliśmy jedno i drugie. Potem resztę dnia Monk spędził w mieszkaniu, zapamiętałe szukając każdego pretekstu, by wrzucić coś do pojemnika, mogło to być cokolwiek, i zamknąć szczelnie na wieki.

Robił bałagan tylko po to, żeby móc coś posprzątać i coś wyrzucić. „Przypadkowo” upuścił na podłogę torebkę z kawą, pudełko płatków śniadaniowych, a nawet dwie filizanki.

Wysłałam opróżnić pojemnik do kontenera na śmieci, a kiedy wróciłam, zobaczyłam że Monk potajemnie rozmawia przez telefon w kuchni.

- Nazywam się Anonim i w żadnym razie nie mam nic wspólnego z Adrianem Monkiem - mówił niskim głosem. - Uwaga, mam ważną informację. Osoba, która zastrzeliła sędziego Stanton w parku Golden

Gate, była kobietą. Można to stwierdzić po śladach, jakie zostawił jej rower na...

Wyrwałam kabel telefoniczny z gniazdka w ścianie.

- Co pan robi?

- Dzwonię na gorącą linię, żeby przekazać anonimową informację. Bez obaw, nigdy się nie domyśla, kim jestem.

- To bez znaczenia, czy się domyśla. Panie Monk, wyrzucili pana z pracy, a teraz pozwala pan im za darmo korzystać z pańskiej wiedzy.

- Nie wszystko ma swoją cenę — powiedział.

- Ale pańskie usługi konsultingowe mają swoją cenę, a policja nie ma zamiaru płacić. Sam pan sobie wyrządza krzywdę — przekonywałam.

- Ale pomagam złapać mordercę.

- I co pan z tego ma?

- Po prostu nie mogę na to pozwolić - powiedział Monk. - Taki już jestem, tym się zajmuję. Będę to robił za darmo.

- Już pan to robi za darmo.

- Ale oni nic nie wiedzą- stwierdził. - To nam daje przewagę w negocjacjach.

- Nie będzie żadnych negocjacji, jeśli dalej będzie pan tak postępował.

- Nie chciałbym, żeby kapitanowi spadła średnia zamkniętych śledstw.

- Jeśli nie spadnie, nie będą mieli bodźca, żeby pana z powrotem zatrudnić.

- Ale on jest doskonałym detektywem i ludzie powinni o tym wiedzieć - upierał się Monk.

- Ma pan słuszość i wspaniale, że chce mu pan pomóc, ale jeśli nadał będzie pan gratisowo prowadził śledstwa dla policji, to gdzie pan będzie zarabiał na życie? Z czego wypłaci mi pan pensję?

- Też taka jesteś i tym się zajmujesz — powiedział.
- Będziesz to robić za darmo.
- Nie będę - odparłam.
- Tak. Będziesz.
- Jestem pana asystentką, to moja praca i bardzo ją lubię, ale wcale taka nie jestem, nie jest to dla mnie jakaś paląca potrzeba, którą za wszelką cenę muszę zaspokoić.
- Tylko tak mówisz, ale palisz się do tej pracy.
- Ja nie żartuję, panie Monk - oznajmiłam. -Jeśli mi pan nie będzie płacił, to będę musiała poszukać sobie innej pracy. A co z doktorem Bellem? Z czego mu pan zapłaci za terapię?
- Będzie mnie przyjmował za darmo, *pro publi-co bono*.
- Dlaczego miałby to robić?
- Bo jestem fascynujący - powiedział skromnie Monk. - Ty również powinnaś dla mnie pracować *pro publico bono*.
- Jednak nie będę i doktor Bell również nie, więc na pana miejscu przestałabym gratisowo prowadzić śledztwa i znalazła kogoś, kto dobrze zapłaci.
- Na przykład kogo?
- Na przykład departamenty policji z innych miast. Jutro wrócimy na konferencję i zrobimy mały „pijar”.
- Mały co?
- Pogawędzimy sobie z ludźmi o wszystkim i o niczym, żeby ich lepiej poznać - wyjaśniłam. — Ale co ważniejsze, żeby oni lepiej poznali pana.
- Teraz dopiero zrobił z troską minę.
- Czy to rzeczywiście konieczne?
- Poznać pana to pokochać pana - oświadczyłam.
- Weź ze sobą mnóstwo chusteczek - powiedział zrezygnowany.

## Monk dostaje propozycję

Morderstwo sędziego Stantona znalazło się następnego ranka na tytułowej stronie „San Francisco Chronicle”. Artykuł opisywał kilka głośniejszych spraw sądowych prowadzonych przez Stantona i podawał, że znany sędzia miał wkrótce przewodniczyć procesowi, w którym głównym oskarżonym był mafioso Salvatore Lucarelli, najbardziej wpływowego gangstera Zachodniego Wybrzeża.

Poza tym w mieście doszło tego dnia do innych przestępstw wartych wzmianki w prasie, jak na przykład śmierć przechodnia w dzielnicy portowej pod kołami samochodu, którego kierowca uciekł z miejsca wypadku, czy napad rabunkowy na Union Square w samym centrum, w którego wyniku zginął sprzedawca sklepu.

Kapitan Stottlemeyer z pewnością ma ręce pełne roboty. Gdyby zatrzymał Mońka, większość spraw zostałaby prawdopodobnie rozwikłana jeszcze dzisiaj przed lunchem.

Jeśli przemawia przede mną gorzko, to dlatego, że istotnie ją odczuwam. Moim zdaniem, kapitan nie tylko niesprawiedliwie potraktował Mońka, ale również odwrócił się ode mnie. Jeszcze niedawno siedział naprzeciwko mnie w Starbucksie i twierdził, że nie żywi do niego żadnej urazy. Albo okła-

mywał siebie, albo okłamywał mnie, albo jedno i drugie.

Nie miałam cienia wątpliwości, że prędzej czy później Stottlemeyer wróci do Mońka na kolanach; pytanie tylko, co padnie pierwsze, kapitański honor czy moje konto bankowe.

Ale istniało inne, całkiem dobre wyjście. Monk mógł podpisać lepiej płatny kontrakt z departamentem policji innego miasta, być może nawet gdzieś w pobliżu, w Oakland, Berkeley czy San Mateo.

Zdawałam sobie sprawę, że to ja będę musiała prowadzić większość rozmów na konferencji, więc ubrałam się nieco inaczej niż zwykle, wybierając rzeczy, które, wstyd mi to przyznać, podkreślają moje krągłości (jakie są, takie są) i pokazują trochę ciała.

W końcu będę miała do czynienia głównie z mężczyznami, więc przyda się każdy dobry argument. Wiedziałam, że nie mogę liczyć na wsparcie ze strony Mońka. Na szczęście dla nas obojga, lwią część roboty wykonał już Braddock, chwając podczas dyskusji panelowej jego znakomite statystyki.

Kiedy przyjechałam rano do Mońka i weszłam do jego mieszkania, usłyszałam, jak rozmawia w kuchni przez telefon.

— Jestem absolutnie anonimową osobą, która wie, że świadek wypadku w dzielnicy portowej kłamie -mówił Monk. - Powiedział policji, że gdyby nie uskokzył w ostatniej chwili, to samochód potraciłby również jego, a następnie podał dokładny rysopis kierowcy, wspominając nawet o mostku dentystycznym, który jak twierdził, zauważył, bo kierowca patrzył wprost w niego.

Zaniepokojona weszłam do kuchni i zobaczyłam

rozpostarte na blacie przed Monkiem „San Francisco Chronicle”. Gazeta była otwarta na artykule opisującym zdarzenie w porcie, po którym kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Oparłam się o ścianę, założyłam ręce i wbiłam groźne spojrzenie w Monka, który powoli odwrócił się do mnie plecami.

- To jednak niemożliwe, aby mógł to zobaczyć. Gdyby to, co mówi, było prawdą, to reflektory samo chodowe świeciłyby mu w oczy i oślepiały. Jestem przekonany, że to sam świadek był tym kierowcą, który uciekł z miejsca wypadku, a teraz mylnymi informacjami próbuje zwieść policję na fałszywy trop. - Monk odwrócił się w moją stronę, ale tylko po to, żeby znowu spojrzeć w gazetę. - Mam również anonimową informację w sprawie napadu ra bunkowego na sklep ze sprzętem elektronicznym na Union Square...

Nie mogłam już tego wytrzymać. Wyłączyłam telefon z gniazdzka.

- Skoro pan nie zamierza zrobić czegoś dla siebie, to po co ja mam sobie tym głowę zawracać? - stwierdziłam. - Zapomnijmy o tej konferencji. Niech pan sobie dzwoni na gorącą linię, a ja wykorzystam ten czas na rozpoczęcie poszukiwań nowej pracy.

Włączyłam z powrotem telefon, sięgnęłam poirytowana po gazetę i zabrałam ją na stół do pokoju dziennego. Potem otworzyłam ją na rubrykach z ogłoszeniami i odszukałam dział z ofertami pracy.

- To niesprawiedliwie i bardzo nieamerykańskie karać kogoś za to, że stara się być dobrym obywatelem — stwierdził Monk. — Poinformowanie policji o wszystkim, co wiem, to mój obowiązek wobec narodu.

- O, to wygląda interesująco, sklep Macy's ma po-

sadę dla zawodowego doradcy w zakupach - powiedziałam, zakreślając kółkiem ogłoszenie. - Mam olbrzymie doświadczenie w robieniu zakupów i uwielbiam to robić. Napisze mi pan list polecający?

- Nie.
- Nie sądzi pan, że to nieco małostkowe?
- Masz za wysokie kwalifikacje na taką pracę.
- Dlaczego? Dla pana też robię mnóstwo zakupów.
- Właśnie. Nigdy żaden klient nie będzie w stanie spełnić moich rygorystycznych standardów robienia zakupów - stwierdził Monk. - Będziesz marnować swój talent dla byle kogo. To tak, jakby neurochirurg specjalizujący się w operacjach mózgu chciał pracować jako salowy.

Pomyślałam, że jak na niego było to bardzo daleko idące porównanie. Praca u Mońka to oczywiście nie operacja mózgu, choć czasem mam wrażenie, jakby ktoś bez znieczulenia wiercił mi dziurę w głowie. Nie powiedziałam mu tego jednak. Niewykluczone, że ten list polecający będzie mi jeszcze potrzebny.

Monk podniósł słuchawkę i zaczął wybierać jakiś numer.

- O, niech pan patrzy, radiotaxi poszukuje taksówkarzy - powiedziałam. - To mogłabym robić. Potrafię prowadzić, mam żywą osobowość i świetnie znam swoje miasto.

- To zbyt niebezpieczne - stwierdził Monk, odkładając słuchawkę.

- Wie pan, ile razy byłam bliska śmierci, pomagając panu złapać mordercę? — Taksówka to z pewnością bezpieczniejsze zajęcie.

- Zapominasz o potwornych zarazkach, na któ-



rych działanie będziesz wystawiona w obrzydliwie brudnej taksówce. Przy mnie nie grozi ci żadna infekcja.

- Ani żaden zarobek.

W tej chwili zadzwonił telefon. Monk się poderwał i podniósł słuchawkę. Posłuchał. Zamrugał. W końcu pokiwał głową.

- Spełniam tylko swój obywatelski obowiązek... — powiedział, ale najwidoczniej rozmówca się rozłączył, bo Monk odłożył wolno słuchawkę.

- Kapitan Stottlemeyer? - zapytałam.

Monk przytaknął.

- Powiedział, żebym przestał nagrywać anonimowe wiadomości na gorącej linii i że poradzi sobie z tymi sprawami bez mojej pomocy.

- O to właśnie chodzi — stwierdziłam.

- Skąd wiedział, że to ja telefonowałam? - zdziwił się Monk.

- Jest detektywem.

- Ale przecież nagrywałam się anonimowo.

- Policja dysponuje dzisiaj supernowoczesnym sprzętem do identyfikowania osoby dzwoniącej i natychmiast zna jej tożsamość. Wiedzieli, kim pan jest, w chwili, gdy odebrali pański telefon.

- Będę musiał telefonować z różnych aparatów. Nie mógłbym skorzystać z twojego telefonu?

- Nie, nie mógłby pan.

- Dlaczego?

Czy nie dotarło do niego ani jedno słowo z tego, co mówiłam? Czy naprawdę myślał, że użyję mu własnego telefonu, żeby mógł dzwonić tam, gdzie nie chcę, by dzwonił? Jak to możliwe, aby ktoś tak genialny przejawiał taką niewiarygodną tępotę? Oczywiście nie zadałam mu tych pytań. Miałam dla nie-

go o wiele lepszą odpowiedź. Taką, która powinna dać mu więcej do myślenia.

- Ponieważ telefon będzie mi potrzebny do umawiania się na rozmowy kwalifikacyjne.

Monk wydał z siebie cichy jęk zdenerwowania. Jeden zero dla Natalie.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Monk spojrział na mnie zdziwiony. Ja spojrzałam na niego.

- Otworzysz? - zapytał.

- Będzie pan dalej dzwonił na policyjną gorącą linię?

- Nie w tej chwili.

Wstałam, przeszłam na korytarz i otworzyłam drzwi. W progu stał świetnie ubrany mężczyzna z wielkim uśmiechem na twarzy, wielką kłatką piersiową i wielkimi dochodami. Miał na sobie szary pulower z trójkątnym dekoltem marki Hermes, włożony na biały T-shirt; wszystko na tyle luźne, by okazać swobodny, niezobowiązujący styl, ale nie aż tak, aby nie móc się dopatrzeć wysportowanej sylwetki. Dżinsy marki True Religion opinały go tak ciasno, że patrzyłam na nie z niemal religijnym uwielbieniem. Jeśli dodać do tego półbuty od Armaniego, okulary słoneczne Ray-Ban i zegarek na rękę Omega Seamaster, to mogę powiedzieć, że facet miał na sobie mój roczny zarobek.

Zdjął okulary, odsłaniając szmaragdowe oczy. Trzymałam otwarte drzwi i robiłam wszystko, żeby nie omdleć.

- Nazywam się Nicholas Slade — przedstawił się mężczyzna. - Czy zastałem pana Adriana Mońka?

Nie, ale jestem ja, pomyślałam.

- W jakiej sprawie?

- Sprzedaję prenumeratę czasopisma i jeśli sprze-

dam jej odpowiednio dużo, będę mógł wygrać wycieczkę do Meksyku - odparł, figlarnie mrużąc oko.

- Och, skoro tak, to oczywiście, proszę wejść — odpowiedziałam i cofnęłam się o krok, żeby go prze puścić.

Slade wszedł do środka, taksując mnie po drodze śmiałym wzrokiem. Całe szczęście, że ubrałam się z myślą o konferencji i nie miałam na sobie swojego zwykłego, codziennego stroju.

W pokoju dziennym dołączył do nas Monk.

- To pan Nicholas Slade. Sprzedaje czasopisma - przedstawiłam gościa. - Czy może harcerskie wypieki, bo już nie pamiętam?

- Szczere mówiąc, rozdaję darmowe egzemplarze „Strażnicy” - stwierdził. - Aby ludzie byli na bieżąco informowani o wszystkim, co dotyczy nieśmiertelności ich duszy.

Monk pobladł. Ja się uśmiechnęłam.

- To żart, panie Monk.

- Może mały flirt, pani Teeger? Nie potrafię się powstrzymać w obecności pięknych kobiet. - Slade odwrócił się do Monk. — Chociaż to pana chciałem uwieść, panie Monk, w sensie zawodowym rzecz jasna.

- Czym mogę panu służyć?

- Tym, co robi pan lepiej od wszystkich innych - odparł Slade i podał Monkowi wizytówkę. - Jestem dyrektorem generalnym i założycielem Intertectu, firmy detektywistycznej i ochroniarskiej z siedzibą w San Francisco. Chciałbym pana zatrudnić jako agenta, jako konsultanta, jako wielkiego maga sztuki śledczej, co pan sobie życzy. Zależy mi tylko, żeby wszedł pan do mojego zespołu.

- Niestety, nie jestem wolny - odparł Monk.

- Czyżby ktoś zdążył mnie uprzedzić? Wiedziałem, że powinienem być przyjść już wczoraj wieczorem, ale uznałem, że byłbym zbyt nachalny - powiedział Slade. - Przebiję ofertę, którą panu złożono.

- Skąd pan wiedział, że pana Mońka nie łączy już kontrakt z policją San Francisco? - zapytałam i zaprosiłam Slade'a gestem, by usiadł na kanapie.

- Marny byłby ze mnie detektyw, gdybym nie wiedział - odpowiedział, siadając.

Monk usiadł w miękkim fotelu naprzeciwko niego, a ja stanęłam u jego boku jak posłuszna asystentka, którą przecież byłam.

- Mam w departamencie wiele źródeł - ciągnął Slade. - Kiedyś sam tam byłem zastępcą detektywa, ale dziesięć lat temu w końcu zmądrzałem i założyłem prywatną firmę. Wczoraj zaproszono mnie jako gościa na panel dyskusyjny krajowej konferencji detektywów i tak się złożyło, że mogłem wysłuchać rozmowy z panem Monkem. Patrząc na tę klęskę, od razu pomyślałem, że Leland zechce dokonać zmian w umowie.

- Naprawdę? - rzuciłam Monkowi znaczące spojrzenie, próbując podkreślić wagę słów Slade'a.

- Wpadło ci coś do oka? - zapytał Monk.

- Nie, nic mi nie wpadło. Słyszał pan, co pan Slade mówił?

- Prysnał ci śliną w oko, gdy to mówił?

- Nie.

- Bo niektórzy ludzie tak robią - powiedział Monk. — Plują, gdy mówią. Trzeba ich powstrzymać. Ktoś może przez nich zginąć.

- Z moimi oczami wszystko jest w porządku - zapewniłam.

- Więc dlaczego je tak wybałuszałaś?

- Wcale ich nie wybałuszałam. Zostawmy już to, dobrze?

- Wybałuszałaś - powtórzył Monk i spojrzął na Slade'a. - Pan nie mógł tego zobaczyć, bo stała odwrócona do pana plecami. Tylko ja to widziałem.

- Niemal intymna wymiana spojrzeń między dwiema osobami - powiedział Slade.

- Niemal - stwierdził Monk. - Ale raczej chodziło o to, że coś jej wpadło do oka. Nie prysnął jej pan śliną w oko? Czy pan pluje w czasie mówienia?

- Nie sądzę.

- To ulga. Bo akurat nie mam przy sobie gogli ochronnych.

- Od dawna czekałem na sposobność, by pozyskać pańskie usługi, panie Monk.

- Cóż pana dotąd powstrzymywało? - zapytałam. - Pana Mońka nie obowiązywał kontrakt na wyłączność.

- Nie chciałem wchodzić Lelandowi w drogę. Bardzo go szanuję. Popenił jednak wielki błąd, zwalniając pana. Jeśli zgodzi się pan pracować dla mnie, Leland będzie mógł winić wyłącznie siebie - tłumaczył Slade.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami.

- Nie sądzę, bym dobrze się czuł w środowisku korporacyjnym.

- Pan w żadnym środowisku nie czuje się dobrze - zauważyłam.

- Jeśli pan nie chce, w ogóle nie będzie pan musiał przychodzić do biura — obiecał Slade. — Możemy przesyłać dokumentację przez kuriera lub pocztą internetową. Możemy komunikować się osobiście, przez telefon, faks czy wideokonferencję, jak pan woli. Może pan dowolnie przebiegać w sprawach na-

szych klientów. Będzie pan miał dostęp do wszystkich środków, jakimi dysponujemy, a są one niemałe. Mam na myśli kwerendy, analizy naukowe, działania operacyjne i zasoby ludzkie. Zapewnimy panu każdą potrzebną pomoc.

- Ja już mam asystentkę.

Slade uśmiechnął się do mnie.

- Oczywiście. Moja propozycja nie pomija osoby pani Teeger, z całym pakietem naszych świadczeń socjalnych.

- Świadczeń socjalnych? - Wydawało mi się, że głos nieco mi się załamał, kiedy wypowiadałam te słowa.

- Ubezpieczenie zdrowotne, ubezpieczenie dentystyczne, dla pani i córki - wyliczał. — Wiem, że pracuje pani również jako kierowca pana Mońka, więc naturalnie opłacimy też kilometrówkę, ubezpieczenie auta i wydatki służbowe. Albo też, jeśli pani woli, możemy przekazać pani w użytkowanie samochód z naszej firmowej floty.

Chciało mi się płakać. Jedynym świadczeniem socjalnym, jakie zapewniał mi Monk, był niekończący się zapas środków dezynfekujących.

Slade odwrócił się do Mońka.

- Oczywiście ubezpieczenie pokryje również pańską opiekę psychiatryczną.

- W czym tkwi haczyk? - zapytał wprost Monk.

- Będzie pan pracował wyłącznie dla Intertextu - oznajmił Slade. — Jeśli jednak obawia się pan braku intelektualnego urozmaicenia, to niech mi będzie wolno pana uspokoić. Prowadzimy różnego rodzaju śledztwa zarówno dla indywidualnych klientów, jak i spółek. Morderstw nie wyłączając.

Chrząknęłam i próbowałam zrobić pokerową minę.

- Tyle pan mówił o świadczeniach socjalnych, panie Slade, a nie wspomniał pan o pensji, którą pan proponuje. Jeśli pan Monk byłby gotów użyć panu swojej znakomitej międzynarodowej reputacji i wysokiej średniej zamykanych śledztw, to z pewnością będzie oczekiwał zapłaty gwarantującej współ udział w sukcesach, które niechybnie osiągnie pańska firma.

Slade wyjął z kieszeni wizytówkę i sięgnął do stolika po długopis. Napisał coś na jej odwrocie i podał Monkowi.

- To wysokość miesięcznego wynagrodzenia - oświadczył. - Na dobry początek. Chętnie przystąpię do negocjacji w sprawie klauzuli dotyczącej podwyżek, które będą oczywiście powiązane z pewnym, przyjętym obustronnie, poziomem efektów pracy.

Zerknęłam Monkowi przez ramię na kwotę wynagrodzenia. Musiałam spojrzeć raz jeszcze, aby się upewnić, że nie mam omamów. Był to potężny skok w górę w porównaniu z tym, co Monk dostawał w departamencie policji.

On jednak pokręcił głową.

- Nie będę mógł spokojnie żyć, jeśli przyjmę taką sumę — oznajmił.

W ogóle nie będzie żył, jeśli pozwoli, aby taka propozycja wymknęła mu się z ręki. Osobiście go zamorduję w chwili, gdy Slade opuści próg jego mieszkania.

- Zatem jaka suma pana zadowoli? - zapytał Slade.

- Parzysta.

Slade wziął z powrotem wizytówkę i zaokrąglił liczbę w górę, zapisując okrągłątką, tłusciutką, piękną sumkę z wieloma zerami na końcu.

- Twardy z pana negocjator, panie Monk - po-

wiedział Slade. - Czy teraz możemy zawrzeć u-mowę?

Spojrzałam na Mońka, który westchnął żałościwie.

- Tak.

Slade się uśmiechnął. Ja również. Mężczyzna miał bardzo ładny uśmiech. Julie i mnie będzie teraz stać na równie piękne uśmiechy. Zapamiętałam sobie, aby przy najbliższej okazji poprosić o adres jego dentysty.

- Jestem bardzo zadowolony. — Slade wyciągnął rękę.

Monk uściśnął mu dłoń i dał mi znak, bym podała mu chusteczkę higieniczną.

- Pani pozwoli.

Slade podniósł rękę, a potem sięgnął do kieszeni, wyciągnął podróźne opakowanie chusteczek Wet Ones i podał jedną z nich Monkowi.

Och, proszę, jaki pan Slade jest ugrzeczniony.

- Jak pan myśli, kiedy mógłby pan zacząć? - za pytał.

Monk wytarł ręce i spojrzał na zegarek.

Slade tymczasem wyjął z kieszeni foliowy woreczek Baggie, otworzył go i podsunął Monkowi, który wrzucił do środka zużyta chusteczkę.

Slade zamknął szczelnie woreczek. Wzięłam go od niego, wrzuciłam do pojemnika na pieluchy i przekręciłam wieczko, umieszczając woreczek w drugim szczelnie zamykanym woreczku. Miałam nadzieję, że archeolodzy, którzy za kilka stuleci przystąpią do badania jego zawartości, z wdzięcznością docenią ten wysiłek.

- Cóż za znakomite urządzenie—powiedział Slade, podziwiając pojemnik. - Muszę kupić coś takiego do swojego biura.



Musiałam oddać, że powiedział to z prawdziwie szczerym wyrazem twarzy. Jednak obawiałam się, że przedobrzył i nawet Monk doszuka się w jego słowach obłudy.

Ale Monk zrobił coś niebywałego.

Uśmiechnął się.

— Mogę zacząć jeszcze dzisiaj — oznajmił.

## 10

### Monk idzie do pracy

Siedziba Intertectu mieściła się na dwudziestym piętrze jednego z wieżowców w dzielnicy finansowej. Pojechałam tam jak najszybciej, żeby od razu wypełnić wszystkie formularze wymagane do zatrudnienia, ubezpieczenia i wpisania na listę płac.

Idąc długim korytarzem, zauważyłam, że każdy pokój ma okno z widokiem na okno wieżowca z naprzeciwka, ale pomyślałam, że lepszy taki widok niż żaden. Według moich szacunków Intertect zatrudniał co najmniej trzydziestu detektywów -w każdym razie takich, którzy mieli tu swoje biuro.

Zaprowadzono mnie do pustego biura zarezerwowanego dla Mońka, gdyby kiedyś go jednak potrzebował, chociaż wątpię, by kiedykolwiek zechciał wejść tak wysoko, żeby je obejrzeć, chyba że w środku znajdowałyby się czyjeś zwłoki.

Biuro wyposażone było w lśniący komputer, lśniące meble i jeszcze bardziej lśniącą sekretarkę, która liczyła sobie niewiele ponad dwadzieścia lat i nazywała się Danielle Hossack.

Sekretarka powiedziała mi, że skończyła psychologię na uniwersytecie McGill w Montrealu, mówi trzema językami i posiada czarny pas w taekwon-do. Poza tym natura obdarzyła ją ciałem modelki, która *może* reklamować damską bieliznę. Tego już

mi nie powiedziała. Wynikało to w sposób oczywisty z tego, co na sobie miała, a co kwalifikowało się bardziej jako bielizna niż zwykłe ubranie.

Zresztą wszystkie kobiety, które widziałam w Intertekcie, były młode, bosko piękne i skąpo odziane.

Slade'a spotka rozczarowanie, jeśli oczekuje, że będę się tak samo ubierać.

W czasie rozmowy u Mońka nie wspomniał nic o mojej pensji, a ja zapomniałam zapytać. Kiedy jednak na jednym z moich formularzy zobaczyłam wysokość wynagrodzenia, zdumiona zamrugalam kilka razy, mając nadzieję, że to nie fatamorgana. Ale nie.

Niemal słyszałam, jak Ricardo Montalban szepcze mi do ucha: Witaj w *Wybrańcach fortuny*.

- Coś nie tak? — zaniepokoiła się Danielle.

Byłam zahipnotyzowana wysokością pensji i w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że sekretarka wciąż stoi obok biurka.

- Nie, skąd, wszystko wygląda cudownie - powiedziała i mówiłam to szczerze. - Długo tu pracujesz?

- Dwa lata.

Ciekawiło mnie, czy zarabia tyle samo, ile ja miałam zarabiać, czy może więcej, ale nie odważyłam się zapytać.

- Podoba ci się tutaj?

- Bardzo. Sporo się tu nauczyłam. Nick to niesamowity człowiek.

- Z pewnością - przyznałam. - Mnóstwo policjantów rzuca służbę, żeby otworzyć prywatne biuro detektywistyczne, ale tylko nielicznym udaje się coś osiągnąć. Jaka jest tajemnica jego sukcesu?

- Kapitalizacja majątku i nieodparty urok osobisty - odpowiedziała. - Dziesięć lat temu Nick do-

konał mądrej inwestycji na giełdzie papierów wartościowych, a zyski przeznaczył na uruchomienie firmy. Nauczyłam się tutaj, że sukces w branży detektywistycznej to połączenie determinacji, intuicji i umiejętności wydobywania od ludzi tego, co chce się uzyskać. Nick świetnie zna się na ludziach. Potrafi przekonać do siebie każdego.

- Nie wątpię - powiedziałam.

Spojrzała na mnie znacząco.

- Jeśli chodzi pani po głowie flirt, to ostrzegam, że Nick jest słodkim i wspaniałym kochankiem, ale to wolna dusza. Monogamia z pewnością nie leży w jego naturze. Lubi się delectować obfitym bufe tem możliwości, jaki podsuwa życie.

Jej słowa zabrzmiały jak dosłownie przytoczony cytat.

- Czy podobną filozofię stosuje przy zatrudnianiu nowych pracowników?

- Chce mnie pani zapytać, czy sypia z każdą nowo zatrudnioną kobietą?

Wzruszyłam ramionami.

- Wszystkie panie są tu młode i atrakcyjne.

- I niegłupie - dodała Danielle. - Nie ma tu kobiety, agentki czy sekretarki, która poza podwiązką nie miałaby jednego lub dwóch fakultetów.

- Kobiety noszą tu podwiązki? - zdziwiłam się.

Uprzejmie zignorowała to pytanie.

- Noc z Nickiem nikomu nie zapewni ani zatrudnienia, ani awansu, ani specjalnego traktowania, oczywiście... poza tym w łóżku, które jest naprawdę wyjątkowe.

Podniosłam brew.

- Więc w sprawach damsko-męskich dajesz mu piątkę?

- Jeśli trafi pani do jego łóżka, nie pożałuje pani.  
- Nie przepadam za obfitymi bufetami, czuję się potem objedzona - stwierdziłam. - Ale dzięki za informację. Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona twoją otwartością.

- Bo nie wstydę się rozmawiać o seksie?

- Bo o intymnych i niekoniecznie pochlebnych szczegółach dotyczących własnego szefa rozmawiasz otwarcie z kimś, kogo dopiero poznałaś - wyjaśniłam. — Nie jesteś trochę za mało dyskretna?

Danielle się uśmiechnęła.

- Jestem pracownikiem Intertectu, ale teraz pracuję dla pana Mońka. Muszę być wobec pani uczciwa, jeśli mamy zbudować między sobą zaufanie. Zresztą gdyby Nick miał coś przeciwko temu, abym rozmawiała o jego życiu osobistym, na pewno bym tego nie robiła. Ale to otwarty człowiek.

- Bardziej niż można to sobie wyobrazić - dodałam.

- Nie musi się pani martwić, że zdradzę sekrety dotyczące pani i pana Mońka — zapewniła. — Teraz jestem lojalna przede wszystkim wobec was. Nick jasno mi to powiedział i nie mam nic przeciwko temu. Uważam, że praca z wami to zaszczyt. Od dawna jestem pełna podziwu dla waszych osiągnięć.

- Chyba masz na myśli osiągnięcia pana Mońka. — Wręczyłam jej plik wypełnionych formularzy.

- Bez pani Monk niewiele mógłby działać - stwierdziła. - Proszę nie umniejszać swoich dokonań.

Tego mi brakowało: porady w kwestii poczucia własnej wartości od dwudziestolatki z dyplomem uniwersyteckim i ciałem, które roztopiłoby posąg Dawida. Cóż ona mogła wiedzieć o niepewności?

Danielle mówiła dalej, tłumacząc, że będzie na

każde nasze skinięcie i wezwanie, o każdej porze dnia i nocy, przez siedem dni w tygodniu, i postara się spełnić każdą naszą prośbę.

Innymi słowami, miałam dostać moją własną Natalie.

Nie chciałam, żeby któregoś dnia uciekła z krzykiem na ustach, więc postanowiłam ją uprzedzić o fobiach i zaburzeniach obsesyjno-kompulsywnych Mońka.

Jak się okazało, Danielle zdążyła się już zapoznać z listajego „specjalnych potrzeb”, które w żadnym razie jej nie zniechęciły. Jak dodała, jednym z powodów, dla których Slade właśnie ją wybrał do pracy z Monkem, było przygotowanie w dziedzinie psychologii.

Danielle podeszła do biurka, wrzuciła moje formularze do przegródki z dokumentami gotowymi do dalszego obiegu i przyciągnęła do siebie coś w rodzaju wózka z szufladami do przechowywania akt.

- Co to jest? — zapytałam.

- Sprawy, które przygotowaliśmy dla pana Mońka - odpowiedziała. - Mile widziana będzie każda uwaga, jaką pan Monk mógłby przekazać prowadzącym je detektywom. Jeśli zechce, będzie mógł całkowicie przejąć każdą z tych spraw.

To mi wyglądało na ogrom pracy, ale zważywszy na to, ile mają płacić Monkowi, trudno się dziwić, że już w pierwszym tygodniu chcą go zarzucić trudnymi dochodzeniami.

Danielle pojechała z wózkiem pod windę, potem zjechałyśmy na dół i przeszłyśmy na podziemny parking, gdzie stał mój samochód. Jednak Danielle skierowała się do nowiutkiego lexusa typu SUV, który stał zaparkowany obok mojego auta. Wózek z akta-

mi terkotał po betonowej posadzce niczym nosze na kółkach. Zatrzymała się łagodnie przed bagażnikiem lexusa. Danielle wyciągnęła rękę i pomachała przede mną kluczykami.

- To pani samochód służbowy - oznajmiła, upuszczając kluczyki w moją dłoń i wręczając mi po chwili kartę kredytową. - To karta na paliwo i niezbędne wydatki.

- Co z moim samochodem?

Kiwnęłam głową w kierunku buicka lucerne, obłego płata blachy w kształcie suma, do jazdy którym trzeba być członkiem krajowego stowarzyszenia emerytów i rencistów. Dostałam go w prezencie od mojego niemającego o niczym pojęcia ojca, który dorzucił mi jeszcze wspaniałomyślnie płytę Ferrantego i Teichera, żebym mogła, tu cytuję: „Podkręcić hi-fi w samochodzie i zmusić stereo do prawdziwego wysiłku”.

- Może pani teraz odwieźć samochód do domu, a ja pojedę za panią lexusem — zaproponowała. - Albo vice versa. Jak pani woli.

- Myślę, że w Intertekcie będzie nam jak u pana Boga za piecem — stwierdziłam z zadowoleniem i wręczyłam jej kluczyki do buicka.

Miałam nadzieję, że z przyjemnością słuchała słynnej melodii *Rozjaśniasz mi życie* Ferrantego i Teichera w rockującej wersji na fortepian. To był ulubiony kawałek Mońka.

Jeszcze tego samego popołudnia Monk zabrał się do pracy. Podobnie Danielle, która po odstawieniu mojego samochodu została już z nami. Usiedli po przeciwnych stronach stołu w jadalni. On przeglą-

dał kolejno akta, a ona zajęła się lekturą zindeksowanej listy osobistych fobii Mońka i robiła mnóstwo notatek. Ja tymczasem czytałam instrukcję obsługi lexusa i czasopismo „People”.

- Sprawa zaginionych diamentów to robota od wewnątrz — mówił Monk, zamykając jedną z teczek i puszczając ją po stole w kierunku Danielle, która zdumiona podniosła wzrok.

- Kto? Sprzątaczką? Facet od czyszczenia basenu? Ich syn uzależniony od gier internetowych? Jej podstępny były mąż? Jego zgorzkniała była żona? Może dekorator, który instalował kino domowe?

- Nikt z nich - odparł Monk.

Nie znałam ani jednego szczegółu tej sprawy, ale nie musiałam. Bardziej ciekawiła mnie reakcja Danielle na pierwsze zetknięcie z metodami pracy Mońka, które miały wiele wspólnego nie tyle z dedukcją, ile raczej z dostrzeganiem nieładu.

- Kto został?

- Trener psa.

- Ale w tym czasie trener szkolił psa w ogródku za domem - przypomniała Danielle. - Nie miał dostępu do domu.

- Pies miał dostęp. Trener nauczył psa, jak wykraść diamenty i zakopać je w ogródku - stwierdził Monk.

- Psa? - zapytała z niedowierzaniem.

- To wyjaśniałoby, skąd na podłodze w domu wzięły się ślady błota - powiedział Monk. - To błoto nie dawało mi spokoju.

- To ci niespodzianka — mruknęłam.

- Nie pamiętam, żebym widziała jakieś ślady błota - powiedziała Danielle.

- Było parę drobin.



- Drobin? - zapytała.
- Pan Monk potrafi dojrzeć drobiny błota, których nie można zobaczyć gołym okiem - wyjaśniłam. - Ani nawet pod elektronicznym mikroskopem elektronowym.
- Trener zamierza wykopać diamenty podczas następnej sesji zajęć z psem - dokończył Monk i zerknął na zegarek. — Czyli za dwie godziny.
- Niewiarygodne. - Danielle sięgnęła po telefon komórkowy. - Muszę zadzwonić do Nicka, żebyśmy mogli przyłapać trenera na gorącym uczynku.
- Skoro już będziesz z nim rozmawiać, powinnaś też powiedzieć panu SladeWi, że towarzystwo ubezpieczeniowe ma rację; ten zawodowy tenisista symuluje kontuzję ramienia - powiedział Monk, pchając ku niej kolejną teczkę. - Na temblaku ma prawą rękę.
- Ponieważ upadł właśnie na prawą rękę, kiedy potknął się na nierównościach klubowego parkingu - wyjaśniła Danielle. - Nie może jej w pełni zgiać ani wyprostować. Lekarz twierdzi, że łokieć jest unieruchomiony pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.
- Ale na zdjęciach operacyjnych zrobionych przez detektywów wyraźnie widać, że tenisista ma klucze w prawej kieszeni spodni — powiedział Monk. - Jak może po nie sięgnąć, skoro prawą rękę ma podobno unieruchomioną?
- Danielle otworzyła teczkę i mrużąc oczy, przyjrzała się zdjęciom. Obie wpatrywałyśmy się w fotografię. Gdybym miała bioniczne oko, może też zauważyłabym klucze.
- Jak mogliśmy tego nie zauważyć? — dziwiła się Danielle.
- Zobaczysz, że przy panu Monku takie pytanie będziesz powtarzać bez końca - pocieszyłam ją. -

Choć jest pytanie, które będziesz powtarzać jeszcze częściej...

Monk sięgnął po kolejną teczkę.

- I powiedz panu Slade'owi, że szpiegiem w Jo-ha Helicopters, który sprzedaje konkurencji tajemnice handlowe firmy, jest Ulrich Sommerlik, niepełnosprawny inżynier.

- Skąd pan wie?

- Właśnie o to pytanie mi chodziło - wtrąciłam. - Myślę już o tym, żeby napisać je na tabliczce i podnosić ją po prostu przy każdej kolejnej okazji.

Monk otworzył teczkę i podniósł fotografię szczupłego mężczyzny w rozpinanym swetrze siedzącego na zwykłym wózku inwalidzkim.

- Twierdzi, że jeździ na wózku, odkąd uległ wypadkowi helikopterowemu przed czterema laty. Ale na tym zdjęciu, zrobionym do dowodu tożsamości, kiedy go zatrudniano pół roku temu, ma na rękach zwykłe bąble. Gdyby przez wszystkie te lata poruszał się na swoim wózku, miałyby zrogowacenia.

Znowu przyjrzałyśmy się fotografii. Nie widziałam żadnych bąbli, ale wiedziałam, że w kwestii ran otwartych Monk wykazuje się prawdziwie sokolim wzrokiem.

- Moim zdaniem inżynier wykorzystuje ukryte w wózku schowki do potajemnego wywożenia z firmy schematów, dysków i wszystkiego, na czym tylko uda mu się położyć swoje owrzodzone łapy - powiedział z obrzydzeniem Monk, wkładając zdjęcia z powrotem do teczki.

- Zadzwoń do szefa ochrony w Joha i powiem, żeby zatrzymali Sommerlika i zarekwirowali jego wózek inwalidzki — powiedziała Danielle. - Rozbierzemy go na drobne kawałki.

- Poinstruuuj go również, że cały zakład należy ewakuować i poddać dezynfekcji.

- Dlaczego? - zdziwiła się Danielle.

- Ponieważ Sommerlik ma rany na rękach. Bóg jeden wie, czego dotykał. Całe to miejsce prawdopodobnie ocieka jego płynami ustrojowymi.

Danielle wpatrywała się w niego tępo, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Trudno było ją winić. Z pewnością robiłam takie same miny w pierwszych dniach pracy z Monkiem.

- Pan jest niesamowity, panie Monk - wykrztusiła w końcu. - Wylapuje pan szczegóły, których nikt inny nie widzi. Musi mnie pan nauczyć, jak to robić.

- To dar. I przekleństwo - ostrzegł ją Monk.

- Zgadzam się na wszystko - odpowiedziała z uśmiechem, lekko, choć wyraźnie, zalotnym.

Uśmiech był przemiły i z pewnością wyrachowany. Flirtowanie z Monkiem to strata czasu, ale schlebianie mu wcale nie.

Podał jej teczkę, a Danielle położyła ją na stos poprzednich. Wzięła je wszystkie na ręce i wyszła zadzwonić do Slade'a. Monk odwrócił się do mnie i powiedział:

- Myślę, że w Intertekcie będzie nam bardzo do brze.

## Monk rozwiązuje zagadkę kryminalną

Kiedy wieczorem zajechałam przed dom lexusem, Julie o mało nie zemdląła. Natychmiast chciała go prowadzić. Pozwoliłam jej usiąść za kierownicą i jeździłyśmy po San Francisco z zamkniętymi oknami, ponieważ nie chcieliśmy tracić ani jednego tchnienia woni nowego samochodu.

Julie uparła się także, żebyśmy przez dobrą godzinę jeździły główną ulicą naszej dzielnicy, licząc na łut szczęścia, że zobaczy ją ktoś z koleżanek i kolegów.

Był to nasz pierwszy samochód, w którym Julie nie wstydziła się pokazać publicznie, więc bardzo chciała, żeby ktoś nas zobaczył. Zresztą ja również. Miałam nadzieję, że po okolicy szybko rozniesie się wieść o lexusie, co odwlecze plany wypędzenia mnie z Noe Valley, jeśli ktoś takie plany czynił.

- Błagam, mam, nigdy nie trać tej pracy - mówiła Julie, przejeżdżając po raz dwunasty naszą ulicą.

- Teraz, gdy mamy dwa samochody, buick może być tylko dla ciebie.

Spojrzała na mnie przerażona.

- Dlaczego ty nie możesz jeździć buickiem, a ja lexusem?

- Ponieważ to jest służbowy samochód - odpowiedziałam. - Praktycznie rzecz biorąc, w ogóle nie powinnaś go prowadzić, ale dzisiaj mam miękkie serce.

- Prędzej pójde do szkoły pieszo, niz pojedę buickiem - zarzekła się. - Równie dobrze mogłabym się tam pokazać w podomce babci, przyciskając do brzucha plastikowy woreczek do kolostomii.

- Babcia nie ma kolostomii.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Drocę się tylko, kochanie - powiedziałam. - Doskonale rozumiem twoje zakłopotanie. Ja też nie przepadam za buickiem. Cóż, nie jest to samochód, który sprawia, że mężczyźni uważniej ci się przyglądają.

- Chyba że podjeżdżasz pod dom emerytów.

- Będę odwozić cię do szkoły lexusem — obiecałam. - Buicka zostawimy sobie na nagłe przypadki.

- Na przykład jakie?

Wzruszyłam ramionami.

- Może babcia będzie chciała go pożyczyć, jadąc na randkę, żeby zrobić wrażenie na jakimś faciecie.

- Babcia jeździ bmw - uświadomiła mi Julie.

- Miałam na myśli faceta w jej wieku.

- Ty może tak, tylko czy babcia też takiego ma na myśli?

Bałam się pytać Julie, co chce przez to powiedzieć albo czy wie coś więcej o życiu osobistym swojej babci, więc zamilkłam.

Czasami naprawdę lepiej nie wiedzieć.

Kiedy następnego ranka weszłam do mieszkania Mońka, wózek do akt był niemal pusty, a stół w jadalni zasłany był fotografiami. Mój szef studiował uważnie każde zdjęcie, przechodząc metodycznie od jednego do drugiego.

Zerknęłam na zdjęcia. Zobaczyłam na nich mar-

twego mężczyznę siedzącego w skórzanym fotelu w swojej bibliotece. W jego piersi tkwił zatopiony po rękojeść nóż. Mężczyzna był już po czterdzieście, a w życiu wiodło mu się dobrze, sądząc po koszuli z monogramem i pięknej drewnianej boazerii w bibliotece, w której został zabity.

- Przejrzał pan wszystkie teczki, które przyniosła panu Danielle — stwierdziłam zdziwiona.

- To ostatnia.

- Musiał pan zacząć wcześniej rano.

- W ogóle nie przestawałem pracować. - Monk patrzył wciąż na fotografię, przechylił głowę to w jedną, to w drugą stronę.

- Nie kładł się pan spać?

- Miałem mnóstwo pracy.

- Nie wyznaczono panu żadnego terminu - powiedziałam. - Nie było powodu, aby zarywać pan noc.

- Próbowałem się położyć, ale wręcz fizycznie czułem te wszystkie nierozwikłane sprawy - tłumaczył. - Nie mogłem ich zostawić.

- Czuł pan, że to tak jakby pozostawić po sobie nieposprzątany bałagan.

Przytaknął. Będę musiała porozmawiać z Danielle, żeby dawała Monkowi najwyżej kilka spraw dziennie. W takim tempie w ciągu kilku dni opadnie z sił.

Wskazałam ręką zdjęcia na stole.

- Wyglądają na oficjalne zdjęcia z miejsca popełnienia przestępstwa.

- Są oficjalne.

- Skąd Slade je ma? Monk wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Musi mieć dobre wejścia.

- Co to za sprawa?

- Rabunek z włamaniem i morderstwo pół ro ku temu na Skyline Boulevard w Oakland. Zabójcy uciekli z biżuterią wartości około dwustu tysięcy do larów. Podejrzanych wciąż nie zatrzymano, choć po licja twierdzi, że wie, kto to zrobił. Ofiara napadu, Lou Wickersham, był dłużnikiem wielu wrogo wo bec niego nastawionych osób. Zdaniem policji, ci lu dzie stracili cierpliwość i postanowili odebrać dług.

Wśród zdjęć były zbliżenia rany w piersi Wicker-shama, noża, małego zranienia na ręce, zakrwawionej chusteczki do nosa leżącej na podłodze, zbitej szyby w oknie, odłamków szkła na dywanie i przetrząśniętej biblioteki. Było też kilka zdjęć z innych części domu splądrowanego przez napastników.

- Dlaczego więc nie zatrzymają osób, którym Wickersham był winny pieniądze? - zapytałam.

- Nie mają dowodów. Z noża starto odciski. Sprawa utknęła w martwym punkcie. Wdowa po Wickershamie, która przebywała w Europie, gdy doszło do morderstwa, zleciła śledztwo detektywom z In-tertectu.

- Jaka jest pańska hipoteza?

Zanim Monk zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Poszłam otworzyć. W progu stała Danielle, a obok niej wózek z kolejną partią teczek z aktami.

- Dzień dobry pani Teeger - powiedziała i minęła mnie, pchając przed sobą wózek.

- Danielle! — zawołałam, idąc za nią. — Nie możesz codziennie przyjeżdżać z wózkiem pełnym nowych spraw.

- Ale to pan Monk prosił, żebym przywiozła więcej - odpowiedziała.

- Bo już się skończyły - wyjaśnił Monk.

- Ale pan nawet oka nie zmrużył — mówiłam. — Nie *może* pan tak pracować, panie Monk. Musi pan wejść w jakiś rytm, bo się pan zagrzeje i zacznie robić błędy.

Zignorował moją uwagę i odwrócił się do sekretarki.

- Zdobyłaś informacje na temat sprawy sędziego Stantona?

- Oczywiście, panie Monk. - Danielle wyjęła z jednej szuflad w wózku jakiś notes i zaczęła szukać odpowiedniej strony.

- Pan nie powinien się wtrącać do tej sprawy, panie Monk - fuknęłam na niego ze złością.

- To tylko zawodowa ciekawość, nic poza tym - odparł.

Podeszłam do wózka z nowymi aktami.

- Mało ma pan spraw na głowie?

- Chciałem się tylko upewnić, czy kapitan idzie dobrym tropem.

- Już pan u niego nie pracuje, panie Monk - przypomniałam mu. - Obowiązuje pana wyłączny kontrakt z Intertectem.

Danielle zaczęła relacjonować, czego się dowiedziała.

- Na podstawie rodzaju roweru, którym posłużył się sprawca, oraz analizy śladów podszew, policja ustaliła, że zabójcą jest kobieta. Ustalono też, że były to buty do biegania marki Nike, które sprzedaje się w tysiącach sklepów jak kraj długi i szeroki, zatem śledztwo utknęło. Natomiast na podstawie dokładnych pomiarów śladów opon i głębokości odcisków stóp udało się ustalić wagę ciała i wzrost zabójczym.

Monk pokiwał głową. Był pod wrażeniem, choć



nie byłam pewna, czy imponował mu postęp w śledztwie czy to, że Danielle tak szybko potrafiła zdobyć poufne informacje.

- Są jacyś podejrzani?-zapytał.

- Policja koncentruje się na groźnych przestępcach, których sędzia Stanton posłał za kratki, a którzy w ostatnim czasie wyszli na wolność — odpowiedziała Danielle. - Bierze też pod uwagę możliwość, że został zabity na zlecenie Salvatore Lucarellego, aby uniknąć procesu.

Monk zmarszczył brwi.

- Dlaczego mieliby zlecać zabójstwo kobiecie?

- Kobiety zabijają nie gorzej od mężczyzn - stwierdziłam.

- Może to była matka, dziewczyna albo córka kogoś, kogo Stanton skazał — zasugerowała Danielle.

- To możliwe — zgodził się Monk z lekkim przytaknięciem.

A moja hipoteza nie była możliwa?

Monk nigdy nie przyznał, że moja hipoteza może być możliwa. Ale ja nie byłam gorącą dwudziestolatką, która powtarza mu ciągle, że jest niesamowity.

- Tę drugą sprawę również załatwiłaś? - zapytał Monk.

Danielle przewróciła parę kartek w notesie.

- Ze wszystkich kategorii Nagrody Nobla najchętniej, jak mi się wydaje, widziałby pan pokojową - odpowiedziała.

- Pan uważa, że zasłużył sobie na Nagrodę Nobla? - zdumiałam się.

- Ja nie. John Hall.

- Kto to jest?

- To wynalazca **pojemnika na zużyte pieluszki** - wyjaśnił Monk.

- Naprawdę uważa pan, że skonstruowanie pojemnika na brudy wystarczy, aby zasłużyć na pokojową Nagrodę Nobla?

- Naprawdę - zapewnił mnie. - Ty tak nie uważasz?

- Niestety, pańskie zdanie nie wystarczy, panie Monk - dodała Danielle. - Jedynymi osobami, które mają prawo wysuwać nominacje do nagrody, są profesorowie nauk społecznych, prawa i filozofii, a ponadto przywódcy polityczni, szefowie organizacji pokojowych, członkowie Komitetu Noblowskiego oraz laureaci nagrody z poprzednich lat.

- Znamy jakiegoś laureata Nagrody Nobla? - zapytał nas Monk.

- Żadnego - odparłam.

- To może jakiegoś profesora?

- Znamy profesora Cowana - rzuciłam lekceważąco.

- Świetny pomysł - ucieszył się.

- Panie Monk, właśnie pan mu udowodnił, że popełnił zbrodnię, prawda? Wątpię, żeby miał chęć spełnić pańską prośbę.

- Ale to dla wyższego dobra.

- Nawet gdyby się z panem zgadzał w tej kwestii, to wątpię, aby Komitet Noblowski zaaprobował nominację wysuniętą przez mordercę.

- W takim razie stwórzmy organizację pokojową - zapalił się Monk. - Przecież to chyba żaden problem?

- Zorientuję się - obiecała Danielle, zapisując coś w notesie.

Założę się, że zapisała coś w rodzaju: „Monk ma niezłego szmergla”.

- Wierzę w pokój - zapewnił Monk, pokazując

palcami pacyfkę. - Nie ma pokoju bez czystości!  
Pojemnik na zużyte pieluchy zjednoczy świat!

- Udało się coś panu znaleźć w sprawie rabunku z włamaniem? - zapytała Danielle.

- To nie było włamanie - powiedział Monk. - **Ani** morderstwo.

Danielle spojrzała na niego osłupiała.

- W takim razie co to było?

- Samobójstwo.

Dał nam znak, żebyśmy podeszły do stołu, i wskazał na fotografię.

- Spójrzcie, Lou Wickersham miał zostać pchnięty nożem w serce, gdy siedział na swoim fotelu. Ale to bez sensu.

- Dlaczego? - zapytałam.

- Gdyby Wickersham natknął się na rabusiów w domu, a oni by go zaatakowali, to leżałby gdzieś na podłodze, a nie siedział w fotelu. Jeśli natomiast zbliżyli się do niego od przodu, dlaczego nie odniósł żadnych ran w czasie szamotaniny?

- Jest rozcięcie na rękę - zauważyłam.

- Na wierzchu dłoni - uściślił Monk. - Gdyby wyciągnął rękę do napastnika, to nóż wbiłby się we wnętrze dłoni. Zresztą to powierzchowna rana.

- Mówi pan, że Wickersham sam siebie pchnął nożem w pierś? - zapytała Danielle.

- Tak. Usiadł w ulubionym fotelu w ulubionym pokoju i wbił sobie nóż w serce.

- Dlaczego więc na rękajeści nie ma jego odcisków palców?

- Ponieważ trzymał nóż przez chusteczkę, która leży na podłodze. Policja uznała, że to zabójcy trzymali nóż przez chusteczkę i że plama krwi pochodzi z rany w piersi. Ale nie. Krew pochodzi z rany na rękę.

- W takim razie kiedy zranił się w rękę? - zapytałam.

- Kiedy zbił szybę w rozsuwanych drzwiach prowadzących z ogrodu do biblioteki. Oto, co się stało. Najpierw splądrował dom, chcąc ukryć fakt, że sprzedał biżuterię żony i inne wartościowe rzeczy z domu, aby pod jej nieobecność spłacić wierzycieli. Ale to było za mało i dobrze o tym wiedział. Udało mu się tylko kupić trochę więcej czasu. Wickersham liczył na to, że przynajmniej zdoła zabezpieczyć żonie wygodne i spokojne życie. Upozorował więc włamanie do domu, a samobójstwa dokonał tak, aby wyglądało na morderstwo. W ten sposób żona miałaby otrzymać odszkodowanie z ubezpieczenia.

- Poświęcił się dla niej - powiedziałam. Monk przytaknął.

- Na darmo. Żona nie zobaczy ani centa.

- Niekoniecznie — skonstatowała Danielle.

- Firma ubezpieczeniowa nie wypłaca odszkodowania w przypadku samobójstwa.

- Ale dowie się, że było to samobójstwo tylko wówczas, jeśli tak postanowi pani Wickersham - powiedziała Danielle.

- My ich powiadomimy.

- Nie wolno nam tego robić. Zatrudniła nad wdowa i wiąże nas z nią kontrakt, który mówi o poszanowaniu jej prywatności — tłumaczyła Danielle. -Nick wręczy jej nasz raport, a co się z nim dalej stanie, będzie zależało tylko od niej.

- Jeśli nie zawiadomi policji i weźmie odszkodowanie, to staniemy się współnikami przestępstwa — mówił Monk.

- Niekoniecznie. Zresztą policja musiałaby odkryć prawdę - upierała się Danielle. - Tymczasem

tylko pan uważa, że to nie było morderstwo. Z całym szacunkiem, ale muszę zapytać, co, jeśli się pan myli?

- Pan Monk nigdy się nie myli w kwestii morderstw — powiedziałam.

- O tym zadecyduje nasza klientka. Nick stale powtarza, że my tylko dostarczamy informację, a klient podejmuje decyzję, co z nią zrobić.

- Nie mogę na coś takiego przystać - oponował Monk.

- Może więc Intertect nie jest dla pana odpowiednim miejscem?

Przed oczami stanęła mi nagle przerażająca wizja, jak w ciągu jednego dnia ulatnia się mój lexus, moja służbowa karta kredytowa, moje ubezpieczenie zdrowotne i moja piękna, tłusta pensja.

- Nie przesadzajmy - powiedziałam spokojnym głosem do Danielle i odwróciłam się do Mońka. - Nie wykonujemy pochopnych ruchów. Jestem pewna, że uda się nam z panem Slade'em wyjaśnić tę kwestię tak, że wszyscy będą zadowoleni.

W tej chwili zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę. O wilku mowa, a wilk za drzwiami. Jednak zanim zdążyłam poruszyć temat naszych rozterek moralnych, Nick Slade odezwał się pierwszy.

- Zginął kolejny sędzia. Wynajęto nas do śledztwa, ale klient zażyczył sobie, aby poprowadził je osobiście Adrian Monk.

- Kto jest klientem? - zapytałam.

- Sab/atore Lucarelli.

- Ten mafioso?

- Tego mu przed sądem nie udowodniono, a sędzia, który miał o tym rozstrzygnąć, właśnie zginął.

- Chwileczkę - powiedziałam. - Sądziłam, że to

John Stanton, sędzia, który zginął w parku Golden Gate, miał przewodniczyć rozprawie.

- Owszem, miał - przyznał Slade. - Ale następny na liście był sędzia Carnegie, co w tej chwili stawia Lucarellego na pierwszym miejscu wśród podejrzanych, i właśnie dlatego chce, aby Monk udowodnił jego niewinność.

- Pan Monk nigdy nie będzie pracował dla Lucarellego - stwierdziłam stanowczo, zerkając na swojego szefa, który na dźwięk nazwiska gangstera nadstawił uszu.

- Widzę, że nie zna pani tak dobrze swojego szefa, jak się pani wydaje. Pan Monk już kiedyś pracował dla Lucarellego. Właśnie dlatego nasz klient znowu chciałby go zatrudnić.

Jeszcze raz zerknęłam na Mońka i z samego wyrazu jego twarzy wiedziałam już, że Slade mówi prawdę.

## Monk i ojciec chrzestny

Trudno było mi uwierzyć, aby Monk pracował kiedyś dla mafii. Ale istotnie tak było. W drodze do więzienia okręgowego, do którego jechaliśmy naszym nowym lexusem, wszystko mi szczegółowo opowiedział.

To było tuż przed tym, jak zostawiła go poprzednia asystentka, Sharona Fleming, i jak zatrudnił mnie. Jakiś człowiek wpadł do zakładu fryzjerskiego, który był przykrywką dla hazardu i wymuszania haraczy przez Lucarellego, i zabił wszystkie przebywające tam osoby.

Lucarelli ze swoimi ludźmi pałał chęcią zemsty, ale jednocześnie nie chciał wzniecić wojny gangów, więc porwał z ulicy Mońka i przymusił go do wyświadczenia mu usługi, czyli znalezienia sprawcy masakry.

Monk przyjął zlecenie, ponieważ bał się odmówić, ale również dlatego, że federalni, którzy od dłuższego czasu mieli Lucarellego na oku, dostrzegli idealną okazję, aby wpuścić w struktury mafii własnego człowieka.

Kazali Monkowi założyć krawat, w który wszyte było misterne urządzenie podsłuchowe, i posłali go w samo serce gangsterskiego San Francisco.

Monk schwytał zabójcę i ustalił, że masakra nie miała nic wspólnego z Lucarellim i jego operacjami

prania brudnych pieniędzy, ale to długa historia, którą być może opowiem wam innym razem.

Monk zapobiegł wojnie gangów w mieście, ale federalni byli wściekli. Nie dlatego, że nie udało mu się zdobyć dowodów przeciwko znanemu gangsterowi. Do istnej białej gorączki doprowadziło ich to, że Monk wyprał i wyprasował „podśluchowy” krawat, niszcząc go doszczętnie. Skoro cena deski se-desowej na wojskowych lotniskowcach jest zwykle liczbą czterocyfrową, to można sobie wyobrazić, ile musiał kosztować męski krawat z tajnym przekaźnikiem dźwięku.

Kiedy zbliżaliśmy się do więzienia na Siódmej Ulicy, pokrótce zdałam Monkowi relację z tego, co powiedział mi Slade. Sędzia Alan Carnegie został zastrzelony podczas codziennego porannego spaceru z psem. Po śmierci sędziego Stanton’a właśnie Carnegie był następnym sędzią wyznaczonym do przewodniczenia rozprawie Lucarellego, co czyniło gangstera głównym podejrzanym w sprawie obu morderstw. Proces Lucarellego został bezterminowo odroczone, a następny sędzia wyznaczony do tej sprawy, otrzymał ochronę policyjną.

Zostawiliśmy samochód na parkingu i weszliśmy do więzienia okręgowego. Budynek, z niezwykle falistą fasadą, matowymi, podłużnymi oknami i olbrzymią odznaką szeryfa na ścianie przy wejściu, robił wielkie wrażenie. Bardziej przypominał nowoczesne centrum handlowe niż więzienie, ale wystarczyło wejść do środka, by pozbyć się złudzeń, że może to być cokolwiek innego. Wewnątrz więzienie wyglądało dokładnie tak, jak można się było tego spodziewać.

Musielśmy przejść przez ciąg rozmaitych bramek



bezpieczeństwa, odbywając męczący rytuał, który przypominał mi przejście Maxwella Smarta przez niekończący się szereg drzwi, przesuwanych, wahadłowych i opuszczanych, na początku każdego odcinka serialu *Dorwać Smarta*. O ile się nie mylę, w wersji kinowej zrobili to samo.

Kiedy weszliśmy do sali widzeń, Salvatore Lucarelli już na nas czekał. Był łysiejącym mężczyzną z podwójnym podbródkiem i zapadniętą twarzą. Bardziej pasował do wyobrażenia sympatycznego ojca chrzestnego jakiegoś brzdąca, ale nie gangstera budzącego największy strach na zachód od Missisipi. Ani trochę nie czuło się przy nim realnego zagrożenia.

Ubrany był w kombinezon więzienny, ręce i nogi miał skute kajdankami, przypiętymi do łańcucha, który był przykuty do metalowego ucha zatopionego w betonowej posadzce. Mdlawe światło, rzucane przez spiralne energooszczędne żarówki, nadawało jego cerze chorobliwy żółtawy odcień.

Stanęliśmy z Monkiem naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu, na wypadek gdyby zerwał łańcuchy, rzucił się na nas i usiłował przegryźć nam krtań zębami.

- Dziękuję, że zgodził się pan mnie odwiedzić, panie Monk — zaczął Lucarelli.

- Nie chciałem. Ale bałem się, co może mi się przytrafić w razie odmowy - odpowiedział Monk.

- Nigdy bym pana nie skrzywdził - odparł mafioso. - Zasłużył pan sobie na mój najwyższy szacunek.

- Ale innych pan krzywdzi.

Lucarelli wzruszył ramionami od niechcenia i spojrzał na mnie.

- Widzę, że ma pan nową, śliczną asystentkę.

- Czy to groźba? - zapytał Monk.
- Sądzi pan, że chcę jej coś zrobić, by mieć pana w garści? Co by mi z tego przyszło? Zdenerwowałby się pan i nie mógł nad niczym skoncentrować. To równie absurdalny pomysł jak ten, że to ja miałbym załatwić tych sędziów.
- Czyżby? — odezwałam się. — Obaj mieli prowadzić proces przeciwko panu. Teraz żaden sędzia nie chce się podjąć tego obowiązku. Pański adwokat już woła, że dobór ławy przysięgłych i składu sędziowskiego odbywał się w beznadziejnie skorumpowany sposób i przeprowadzenie uczciwego procesu jest niemożliwe, jeżeli w ogóle powinno do niego dojść.
- A ja cały ten czas spędzę w celi, a młodzień, jak sądzę, nie będę — dokończył Lucarelli. — Gdybym chciał ustawić proces, nie zabijałbym sędziów, a raczej pozbyłbym się świadków, prokuratora lub ludzi im bliskich. W ten sposób proces szybko by się skończył, a ja wyszedłbym na wolność.
- Może tak właśnie będzie - powiedziałam.
- Mówilem wyłącznie hipotetycznie. Od wielu lat oglądam *Rodzinę Soprano* - stwierdził Lucarelli. — Jestem restauratorem. Jeśli zabijam, to najwyżej homary.
- Monk przechylił głowę i przyjrzał mu się uważnie.
- Jeżeli jest pan winny tych morderstw, udowodnię to i zawiadomię o wyniku śledztwa policję, bez względu na to, ile pan zapłacił Intertectowi.
- Wiem. Niech więc postawi pan sobie takie pytanie, panie Monk: Jeśli to ja zabiłem sędziów, czy popełniałbym takie głupstwo i wciągał do tej sprawy właśnie pana?

Sędzia Alan Carnegie mieszkał w dzielnicy Sunset, której nazwa, podobnie jak w wypadku North Beach, nijak ma się do rzeczywistości. W North Beach nie ma dzisiaj nawet namiastki plaży, natomiast w Sunset owszem jest plaża, ale słońca niewiele.

Dzielnicę, sąsiadującą od zachodu z Pacyfikiem, od północy z parkiem Golden Gate, a od wschodu ze wzgórzami Twin Peaks, niemal nieustannie spowija mgła i dzisiaj nie było inaczej.

Najdalej na zachód wysunięty fragment Sunset, gdzie mieszkał sędzia, był płaskim terenem ciągnącym się nad samym morzem, z długą plażą, kawiarenkami, sklepami ze zdrową żywnością, kramami ze sprzętem do surfowania, winiarniami i niskimi, bielonymi domkami z lekkich pustaków i drewna, z którego ustawicznie schodzi farba.

Turyści chcący poczuć atmosferę lat sześćdziesiątych odwiedzają Haight Ashbury, ale powiedziałabym, że odwiedzają niewłaściwe miejsce. Tak naprawdę, jeśli jeszcze gdzieś żyją lata sześćdziesiąte, to właśnie w Sunset, gdzie wszyscy mają na nogach sandały bądź japonki i gdzie chodzą w wyblakłych T-shirtach lub sportowych bluzach. Choć podobnie jak w wypadku nazwy dzielnicy, także tu pozory mylą. Wielu tutejszych „plażowych hipisów” wiedzie podwójny żywot i zajmuje wysoko płatne stanowiska, aby pozwolić sobie na luksus takiego beztroskiego stylu życia.

Zaparkowałam lexusa tuż przy żółtej taśmie policyjnej na jednej z ulic. Wyszliśmy z samochodu i zaczęliśmy przepychać się przez tłum dziennikarzy i gapiów. Niech będzie mi wolno uściślić: ja się przepychałam łokciami, torując drogę drepczącemu za mną, skulonemu Monkowi, który trzymał ręce ciasno przy ciele, aby o nikogo się nie otrzeć.

Podniosłam taśmę, oczekując groźnych okrzyków ze strony stojących nieopodal policjantów, ale nikt nie krzyczał. Albo nas nie zauważyli, albo, jak policjanci w parku Golden Gate, nie otrzymali w sprawie Mońka żadnych instrukcji.

Sędzia Alan Carnegie leżał na chodniku w nienaturalnej pozycji, jego ciało, ręce i nogi ugięte były pod dziwnymi kątami, co przywodziło na myśl upuszczoną przez kogoś marionetkę. Myślałam, że tak się właśnie dzieje, kiedy człowiek dostaje nagle sześć kul i pada na ziemię, nie zastanawiając się, jak wylądować. Oczywiście wówczas sędzia w ogóle się już nad niczym nie zastanawiał.

Mężczyzna był mocno opalony, a włosy miał po-farbowane na odcień brązu, którego trudno by szukać w naturze. Ubrany był w sportową bluzę, dżinsy z krótko obciętymi nogawkami i sandały. Ciekawe, czy to samo nosił w czasie rozpraw pod sędziowską togą.

Nadgarstek sędziego wciąż oplątywał koniec smyczy, a na podstawie wyprostowanej jak struna ręki i ciągnącej się za nim krwawej smugi można by wywnioskować, że pies przeciągnął swojego pana o ponad metr. Jednak psa nie było nigdzie widać.

Stottlemeyer i Disher byli zajęci rozmową z kilkoma policjantami i technikami, więc Mońka zauważyli dopiero wtedy, gdy kucał już nad ciałem ofiary.

Wystarczyło jednak, aby kapitan go spostrzegł, a natychmiast ruszył energicznym krokiem w naszym kierunku, czerwony na twarzy ze złości.

Podeszłam do niego szybko, aby uprzedzić jego interwencję.

- To nie tak, jak pan myśli - powiedziałam.
- To znaczy nie przyjechaliście na miejsce zbrodni i Monk nie oglądał ciała zabitego, tak?

Teraz ja poczułam, że ze złości stajami włoski na karku. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że mam tam jakieś włoski.

- Niczego nie naruszyliśmy, kapitanie. Wykazujemy taki sam profesjonalizm jak na każdym innym miejscu popełnienia przestępstwa.

- Do tej pory byliście oficjalnymi konsultantami, ale to się skończyło. Jesteście teraz cywilami, którym nie wolno przekraczać taśmy policyjnej — powiedział. - Raz już was ostrzegałem. Niepotrzebna nam w tej chwili pomoc Mońka, choćby nie wiem jak bardzo chciałby ją okazać.

Zerknęłam za siebie i zobaczyłam, jak Monk przygląda się krwawej smudze za ciałem. Postanowiłam grać na zwłokę.

- Pan Monk nie ma zamiaru się z wami dzielić żadną informacją ani spostrzeżeniem - zapewniłam. — Został zatrudniony przez kogoś, kto potrafi docenić jego talent i traktuje go z szacunkiem. Mając na uwadze jego wieloletnią lojalną służbę, mam nadzieję, że da mu pan parę minut i udostępni miejsce przestępstwa do oględzin, choćby na zasadzie zawodowej uprzejmości.

- Nie sądzisz, że trochę się zagalopowałaś z tymi pochwałami?

Wzruszyłam ramionami.

- Mam wrażenie, że często trzeba o tym panu przypominać.

- Kto go zatrudnił?

- Ja - rozległ się czyjś głos.

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy zbliżającego się

do nas Nicka Slade'a. Miał na sobie perfekcyjnie skrojoną marynarkę Brioni, luźne spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę. Wyglądał jak milion dolarów, a nawet jeśli nie on, to tak wyglądał pojazd Slade'a. Kabriolet Bentley stał przy samej taśmie policyjnej, a stojący obok dwaj policjanci patrzyli na niego w niemym zachwycie, jakby była to modelka w stroju bikini rodem z Hawajów.

- Po co w ogóle zwracamy sobie głowę zabezpieczaniem terenu taśmą? - zapytał Stottlemeyer, kręcąc głową. — Świetnie wyglądasz, Nick. Jak zawsze zresztą.

- Też mógłbyś tak wyglądać, gdybyś przyjął wreszcie moją ofertę pracy - stwierdził Slade. - Ładny krawat.

Stottlemeyer uniósł swój krawat w żółto-biało--niebieskie paski.

- Continental. Najprawdziwszy poliester. W Wal-Marcie za dziesięć dolarów można kupić dwa. Ciebie prawdopodobnie byłoby stać na cztery.

- Nie wiem, co cię trzyma w tej policji - powiedział Slade.

- Lubię nosić na pasku odznakę policyjną.

- Jeśli tylko tyle, to dam ci taką odznakę.

- Jednak chodzi o coś więcej.

- Oczywiście. Chodzi o liczbę zer na czeku z wypłatą— stwierdził Slade. — Chodzi o wolność w wykonywaniu zawodu bez wchodzącej w paradę polityki i biurokracji. Chodzi o nieograniczone dysponowanie wszelkimi środkami potrzebnymi do tego, aby dobrze wykonać swoją robotę.

- Łatwizna, brakuje wyzwania. - Stottlemeyer uśmiechnął się szeroko.

Porucznik Disher chrząknął głośno.

- Ja nie otrzymałem jeszcze pańskiej oferty pracy — powiedział.

Slade odwrócił się w jego kierunku, najwyraźniej widząc go po raz pierwszy w życiu.

- Czy ja pana znam? - zapytał.

- Niebawem pan o mnie usłyszysz - odparł tajemniczo Disher.

- Ponieważ niebawem ma pan rozwiązać większą sprawę i trafić na czołówki gazet? - zapytał Slade, wyciągając rękę na powitanie.

- Ponieważ wyślę panu swoje CV - odparł porucznik, chwytając z całych sił dłoń Slade'a.

Na twarzy Dishera widziałam prawdziwy wysiłek; Slade nie okazywał najmniejszego.

- Porucznik Randall Disher, wydział zabójstw.

- Miło mi - powiedział Slade, głosem tyleż uprzejmym, co wymijającym. Potem spojrzął na Stottlemeyera i skinął lekko głową w kierunku porucznika. - Prawa ręka? - zapytał.

- I lewa - dodał Disher, zanim kapitan zdążył odpowiedzieć. — Niech się pan nie da zwieść mojemu chłopięcemu wyglądowi, bo popełni pan ten sam błąd co wielu groźnych miśków siedzących dziś w celi śmierci. Jestem hardym twardzielem, bezwzględny i zaprawionym w bojach.

- Nie wiedziałem, że szukasz pracy — odezwał się zdziwiony kapitan.

- Jak każdy człowiek czynu. Stale jestem otwarty na nowe wyzwania. - Disher puścił dłoń Slade'a i potrząsnął ręką, by przywrócić w niej krążenie. — W przeciwnym razie człowiek się rozleniwia, a jego zmysły tępieją, a ja chcę mieć zmysły ostre jak brzytwa.

- Może w takim razie wyostrz zmysły, zwracając

uwagę tym policjantom, żeby przestali się gapić na samochód Nicka i przypilnowali, żeby już nikt więcej nie wszedł na miejsce przestępstwa.

—Z całą przyjemnością przywołam ich do porządku - powiedział Disher, strzelając okiem w kierunku Slade'a. - Szeregowi funkcjonariusze nie tylko czują wobec mnie respekt, ale również strach. Wie pan, jak to jest.

Disher ruszył w kierunku policjantów pewnym siebie, sztywnym krokiem. Sądzę, że próbował wyglądać jak hardy twardziel, ale wyglądał raczej tak, jakby nagle rozbolewały go hemoroidy.

Slade pokręcił głową.

- Proszę, zastanów się jeszcze nad moją propozycją, Leland. W Intertekcie będziesz pracował z najlepszymi fachowcami w branży.

- To oczywiste - powiedział Stottlemeyer. - Przecież zatrudniłeś Adriana Mońka.

Slade spojrzał ponad głowę kapitana na Mońka, który kiwał się wolno z boku na bok, wyciągnąwszy przed siebie wyprostowane ręce. Nie bardzo wiedziałam, czy zмага się właśnie z sennością, czy też próbuje spojrzeć na wszystko z innej perspektywy.

—Ten facet to istny geniusz, przerósł moje oczekiwania - powiedział Slade. - Nie uwierzyłybyś, ile spraw nam rozgryzł w ciągu zaledwie jednego dnia.

—Uwierzyłybym. Powiedz, kto jest twoim klientem.

Slade się uśmiechnął.

- Normalnie wygłosiłbym wzruszającą przemowę o obowiązującej mnie zasadzie poufności. Ale z własnych źródeł sam się szybko dowiesz, kto to jest. Salvatore Lucarelli.



Stottlemeyer pomyślał przez chwilę nad tym, co usłyszał.

- Zapomniałem wspomnieć o jeszcze jednej korzyści wynikającej z pracy w policji. Nie trzeba całować gangsterów w tyłek, żeby znaleźć robotę.

- Sam przyszedł. Ja jestem jak adwokat, Leland. Nie osądzam swoich klientów. Po prostu wykonuję dla nich najlepszą pracę, na jaką mnie stać. Lucarel-li uważa, że ktoś go wrabia, i zatrudnił mnie, abym to udowodnił. Albo to mi się uda, albo nie. Nie widzę w tym nic niemoralnego, nic nieetycznego ani niezgodnego z prawem.

- Sam dobrze wiesz, że za tym stoi Lucarelli. Sędzia Stanton i sędzia Carnegie mieli prowadzić jego proces — mówił kapitan. - Na obu dokonano egzekucji w mafijnym stylu.

- I miałyby to zrobić kobieta? — zapytał Slade. — Słyszałeś kiedyś o przypadku, żeby do czarnej roboty szef mafii wynajmował kobietę?

- Na jakiej podstawie twierdzisz, że to była kobieta?

- Na tej samej co ty - odparł Slade. — Wiem wszystko, co wiesz ty, Leland.

Slade obejrzał się przez ramię na Mońka, który obchodził powoli zwłoki, chyląc się to w jedną, to w drugą stronę i kręcąc piruety jak balerina w pozytywce.

- Może nawet więcej - dodał, a Stottlemeyer po dążył za jego wzrokiem. — Co powiesz na małe „coś za coś :

Kapitan westchnął ciężko, kiwnął na zgodę głową i podeszliśmy wszyscy do Mońka. Dołączył da nas także Disher, wciąż starając się zachować pew ny siebie, sztywny chód.

- Witaj, kapitanie - powiedział Monk.  
Oczy miał podkrążone i wyglądał na bledszego niż zwykle.
- Wyglądasz okropnie - powitał go Stottlemeyer. - Spisz w ogóle?
- Nie sędzę. - Monk się uszczypnął. - Nie, nie śpię. Chociaż przez chwilę miałem wątpliwości. Dzięki za czujność. Możesz mi powiedzieć, co się tu wydarzyło?
- Niewiele więcej ponad to, co sam widzisz. - Stottlemeyer skinął na Dishera, który z przesadnym zamachem wygarnął z kieszeni notes.
- Około ósmej rano sędzia Alan Carnegie, jak każdego ranka, wyprowadził psa na spacer. Sąsiedzi twierdzą, że około ósmej piętnaście usłyszeli strzały. Gdy wyszli na ulicę, zobaczyli leżącego na chodniku sędzię i ciągnącego go psa. Chcieli podejść do sędzięgo, ale pies warczał i szczekał, nie dopuszczając nikogo do pana. Pierwszy patrol policji wezwał ludzi ze schroniska dla zwierząt, którzy już mieli uspokoić zastrzykiem psa, gdy pojawiła się żona zabitego. Pies sam się uspokoił, a kobieta zabrała go do domu.
- Stottlemeyer pokręcił głową.
- Policjanci powinni byli kazać ludziom ze schroniska odurzyć psa i nie dopuścić, aby żona zobaczyła ciało męża w takim stanie. Biedna kobieta przechodzi traumę. Co oni sobie myśleli?
- To para żółtodziobów - orzekł karcącym głosem Disher.
- ...którzy, jak tylko się uwiniemy, zgłoszą się zaraz do mnie na dywanik z głowami pod pachą — dorzucił kapitan.
- Byli świadkowie strzałów? - zapytał Monk. Disher zaprzeczył ruchem głowy.
- Ale był to prawdopodobnie ten sam zakapturzo-

ny napastnik. Jedna z kul na wylot przeszła ciało sędziego i została odnaleziona przez techników. Naszemu ekspertowi od balistyki gołym okiem wystarczyło spojrzeć na pocisk, aby nabrać pewności, że pochodzi z broni, której użyto do zabójstwa sędziego Stanton. Mają to potwierdzić oficjalnie natychmiast po dokonaniu analizy laboratoryjnej. Monk poruszył niezgrabnie ramionami.

- Dlaczego zabójca miałby używać tej samej broni?
- Ponieważ to jego broń - odparł Disher.
- Jej — poprawił go Monk.

- Salvatore Lucarelli śle jasny komunikat - powiedział Stottlemeyer. - Chce mieć absolutną pewność, że wiemy, iż oba zabójstwa łączy jedna i ta sama osoba, i jeśli nie wypuścimy go na wolność, nastąpią kolejne morderstwa. Dla człowieka w jego wieku nawet najniższy wyrok za to, co ma na sumieniu, oznaczałby dożywocie. Umrze za kratkami.

- Gdzie mieszka sędzia Carnegie? - zapytał Monk.

Disher wskazał ręką ponad jego ramieniem.

- Na końcu ulicy, tuż za rogiem.

Monk jeszcze raz spojrział na ciało. Ja również. I raptem olśniło mnie, co znaczy krwawa smuga na chodniku.

- Pies próbował zaciągnąć swojego pana z po wrotem do domu - powiedziałam. - Boże, to wzruszające.

Monk odwrócił się do Dishera.

- Czy ktoś słyszał coś poza strzałami?
- Nikt nie słyszał żadnych krzyków ani pisku opon, jeśli o to panu chodzi.

Monk przytaknął i wyprostował nieznacznie plecy. W tej chwili wiedziałam, że zagadka została rozwiązana. Nie pytajcie skąd. Po prostu wiedzia-

łam. I nie tylko ja. Rzuciłam okiem na Stottlemeyera i zobaczyłam, że on również to wie.

- Co? - zapytał Slade, dostrzegając dziwną wymianę spojrzeń między nami. - Czy coś mi umknęło?

- Monk wie, kto zabił sędziego Carnegie - powiedział Stottlemeyer.

- I sędziego Stantona — uzupełnił Monk beznamiętnym głosem.

Slade nachylił się do Monka.

- Proszę mi szepnąć do ucha, kto to zrobił.

- Co z naszym małym „coś za coś”? - zapytał Stottlemeyer.

- Nigdy nie szepczę nikomu do ucha.

- Dlaczego? - zdziwił się Slade.

- Bo przypadkowo mogę się nawdychać woskowiny - wyjaśnił Monk. - I umrzeć.

- Od woskowiny nie można umrzeć.

- Ja mogę - stwierdził mój szef i ziewnął szeroko.

Disher podsunął Monkowi notesik i długopis.

- Proszę napisać na karteczce. Stottlemeyer wytrącił notesik z ręki Dishera.

- Randy, my też chcemy poznać to nazwisko.

- Poznalibyśmy - zapewnił porucznik, podnosząc notes. - Słowo, które Monk zapisałby na kartce, odbiłoby się pod spodem. Delikatnie zarysowałbym ołówkiem drugą kartkę i w ten sposób odkrył, co jest napisane. To sztuczka stara jak świat. Nauczyłem się jej na okrutnej ulicy.

- Chyba Sezamkowej - mruknął Stottlemeyer.

- Nie mogę jeszcze powiedzieć, kto jest zabójcą — stwierdził tymczasem Monk. - Aby się utwierdzić w swoim przekonaniu, muszę jeszcze coś wiedzieć, a jedyną osobą, która może mi udzielić odpowiedzi, jest wdowa po sędzim Carnegie.

- Jej męża właśnie zamordowano na ulicy - odezwał się Stottlemeyer. - Biedna kobieta jest zdruzgotana. Nie mógłbyś znaleźć innego sposobu?

- Muszę z nią porozmawiać — upierał się Monk.

- Koniecznie teraz? Nie może to poczekać do jutra? — zapytał z nadzieją kapitan.

Monk potrząsnął głową. Nie wiem, czy nie zgadzał się z kapitanem, czy też starał się po prostu nie zasnąć.

Stottlemeyer wywarczał cicho zgodę i ruszył w kierunku narożnika ulicy, a my poszliśmy za nim.

- Czasem nienawidzę zawodu policjanta - mruknął.

- To rzuć ten zawód i pracuj u mnie - powiedział Slade. — Razem z Monkiem i Natalie tworzylibyście fantastyczny zespół.

- Specjalną Jednostkę Nieparzystą - dodałam.

## Monk gryzie bez ostrzeżenia

Rzędy domów na ulicy, przy której mieszkał sędzia Carnegie, podobnie jak domów na następnej ulicy i na kolejnej, były w zasadzie identyczne. Ich jednolitość łamały jedynie różne linie poziomów pięter i drobne dekoracje na fasadach, mające imitować różnorakie style architektoniczne, od francuskiej prowincji po współczesny styl ery kosmicznej.

W latach trzydziestych ubiegłego wieku, kiedy domy wybudowano, sprzedano je pierwszym właścicielom po cztery tysiące dolarów, a dzisiaj ich ceny dochodziły do ośmiuset tysięcy, a nawet więcej, jeśli dom utrzymany był w dobrym stanie. Dom państwa Carnegie, w kolorze soczystej mięty, utrzymany był idealnie.

W tych domach i ich żywej kolorystyce było coś ze świata kreskówek. Jeszcze bardziej bajkowego nastroju przydawały temu miejscu ceramiczne wiewiórki, króliczki, jelonki i ogrodowe krasnale, którymi usiany był frontowy ogród państwa Carnegie.

Stottlemeyer zapukał do drzwi. Niemal natychmiast usłyszeliśmy ujadanie, warczenie i drapanie, a potem odgłos pazurów jadących po podłodze, gdy ktoś próbował odciągnąć psa. Miałam nadzieję, że państwo Carnegie nie mieli w holu nowego parkietu.

Chwilę później szczekanie stało się przytłumione

i odleglejsze, a drzwi się otworzyły i stanęła w nich zapłakana kobieta. Miała na sobie dzinsy i zapinany sweterek, którego połami, obejmując się wpół, opinała ciasno koszulę. Oczy miała zaczerwienione. Jej włosy były pofarbowane na dokładnie ten sam odcień brązu co włosy męża. Musieli korzystać z tej samej farby do włosów. Prawdziwie małżeńska intymność. Wciąż słyszałam psa, który szczekał i drapał w jakieś drzwi w głębi domu, i nie mogłam się powstrzymać, by nie spojrzeć na podłogę. Podłoga pełna była zadrapań po psich pazurach.

- Szanowna pani Carnegie - zaczął Stottlemeyer. - Jest mi niezmiernie przykro, że musimy panią niepokoić w takiej chwili. Mam nadzieję, że potrafi mi to pani wybaczyć. Chcemy jednak zadać jeszcze jedno pytanie, które nie mogło czekać.

Kobieta kiwnęła głową i pociągnęła nosem.

- Proszę, to żaden problem, kapitanie. Zrobię wszystko, abyście złapali drania, który zabrał mi męża.

- Czy pani pies zawsze tak szczeka? - zapytał Monk.

- Tylko przy obcych. Wobec osób, które zna i którym nauczył się ufać, jest słodki jak miód - odpowiedziała, a jej dolna warga zaczęła drżeć. - Dzięki Bogu, że ocalał. Jest dla nas jak dziecko. Nie mogłabym żyć, gdybym miała stracić Alana i Słodziutkiego.

Pani Carnegie zaczęła dygotać i zanosła się płaczem. Stottlemeyer spojrzał na Mońka.

- Pośpiesz się, Monk. Pytaj, o co chcesz zapytać.

- Przecież już zapytałem. Stottlemeyer popatrzył na niego spode łba.

- Kazałeś nam tu pędzić bez zwłoki i zakłócać

prywatność pani Carnegie tylko po to, żeby zapytać o pieska?

- Nie. Pomyślałem też, że dobrze byłoby od razu ją aresztować i zabezpieczyć mieszkanie, zanim pani Carnegie wpadnie na pomysł pozbycia się do wódów winy.

Pani Carnegie wyprostowała się zdumiona i patrzyła szeroko otwartymi oczami.

Zszokowany Slade odwrócił się do Mońka.

- Pan twierdzi, że to ona zabiła obu sędziów?

- Ona - odparł niewzruszenie Monk.

Pani Carnegie zaczęła w gniewie zamykać ciężkie drzwi, ale Stottlemeyer napał na nie ramieniem, aby się nie zatrasnęły.

- Pani Carnegie, jestem pewien, że nie chce pani tego robić — powiedział kapitan, a w jego głosie nie brzmiała już nuta żalu i troski. - Będzie lepiej, jeśli zechce pani wyjść przed dom.

Była to propozycja nie do odrzucenia i kobieta zdawała sobie z tego sprawę. Z ociąganiem wyszła na taras przed domem.

- Mój mąż, miłość mojego życia, przed chwilą został zamordowany niemal pod drzwiami naszego domu, a pan chce, abym znosiła takie traktowanie? — pytała. — Kim jest ten okropny człowiek?

- To ktoś, kto jeszcze nigdy się nie pomylił w kwestii morderstwa — odpowiedział Stottlemeyer i odwrócił się do Mońka. - Dlaczego zabiła męża?

- Nie mam pojęcia.

- To niewiele nam pomoże, Monk - stwierdził kapitan.

- Mogę wrócić do domu czy chcecie mnie dalej torturować? - zapytała pani Carnegie.

- Ale wiem, dlaczego zabiła sędziego Stantona -



oświadczył Monk. - Wiedziała, że jej mąż w zastępstwie został wyznaczony do prowadzenia procesu Lucarellego, na wypadek gdyby Stantonowi coś się stało. Chciała, żeby zabójstwo jej męża wyglądało jak wykonanie wyroku mafii.

- Pan jest szalony. - Zapłakana wdowa odwróciła się do Stottlemeyera. — Powinien się pan wstydzić, kapitanie.

- Mam nadzieję, że masz mocne dowody, Monk — powiedział Stottlemeyer.

- Masz na myśli jakieś inne poza tymi, że jej wzrost odpowiada wielkości roweru i ma na sobie sportowe buty do biegania Nike, które odpowiadają śladom na miejscu zbrodni?

Wszyscy z uwagą przyjrzelśmy się pani Carnegie. Nie tylko spostrzegłam, że to, co mówił Monk, nie mija się z prawdą, ale zdawało mi się również, że lzy kobiety dziwnie szybko obeschły, a na jej twarzy, dotąd zdjętej bólem, pojawiła się z trudem hamowana wściekłość.

- W San Francisco mieszkają tysiące kobiet, które mają dokładnie tyle samo wzrostu co ja i noszą identyczne buty - stwierdziła sucho. — Jest pan żaloszny, mały człowieczku.

- To prawda - przyznał Monk. — Ale mamy naocznego świadka.

- Kto to jest? - zapytał porucznik Disher.

- Słodziutki. Sąsiedzi zeznawali, że słyszeli strzały, ale nie wspominali o ujadaniu psa - powiedział Monk.

- Tylko nie „słodziutki” - obruszył się Disher. - Jestem hardym, bezwzględny, zaprawionym w bojach twardzielem.

- Pan Monk miał na myśli psa - wyjaśniłam.

- Jeśli pies zawsze szczeka na obcych ludzi - ciągnął dalej Monk - to dlaczego nie szczekał, kiedy sędzia Carnegie został napadnięty i zastrzelony?

- Ponieważ napastnik nie był dla niego obcy - uzupełnił Stottlemeyer i spojrzał na panią Carnegie. - Pies wcale nie próbował odciągnąć swojego pana z miejsca zbrodni. Próbował pójść za swoją panią do domu.

- Zwierzak nie szczekał, dopóki pani nie zniknęła i nie pojawili się przy nim obcy przechodnie - tłumaczył Monk. — Potem szczekał aż do pani powrotu.

Kobieta parsknęła drwiąco.

- Nic więcej nie macie?

- Zostaje pani zatrzymana - oznajmił Stottlemeyer. - Poruczniku, proszę odczytać zatrzymanej jej prawa.

Disher odczytał prawa i wyciągnął kajdanki.

- Kapitanie, przez dwadzieścia trzy lata byłam żoną sędziego. Znam ich sposób myślenia - mówiła, gdy Disher zakuwał jej na plecach ręce. - To żaden dowód. To niepodparta niczym spekulacja. Nie ma pan podstaw, by zatrzymać mnie na dłużej niż parę godzin.

- Owszem, ale to prawdopodobnie wystarczający powód, aby uzyskać nakaz rewizji — powiedział kapitan. - Rower i bluza z kapturem zapewne już zniknęły, ale nie miała pani jeszcze możliwości, żeby pozbyć się broni. Będą trzymać panią w celi, a my w tym czasie ustalimy motyw zabójstwa.

Pani Carnegie zaniemówiła i otworzyła szeroko oczy, co było równie wymowne jak przyznanie się do winy. Stottlemeyer na pewno znajdzie broń.

Disher odprowadził panią Carnegie do radiowozu. Slade dał mi i Monkowi znak, żebyśmy odeszli

za nim na chwilę na bok, zostawiając kapitana samego przed domem.

- Jest pan niezwykle, panie Monk - powiedział. - Postaram się, żeby na pana spłynęło całe uznanie, na które pan sobie zasłużył.

- Przy okazji zrobi pan trochę reklamy samemu sobie - stwierdziłam kąśliwie.

- Firmie Intertect, waszemu pracodawcy. Prowadzimy biznes, reklama przyciąga klientów. — Slade

zwrócił się do Mońka: - Za rogiem stoi mnóstwo dziennikarzy. Trudno o lepszą okazję. Co pan powie na udział wraz ze mną w zaimprovizowanej konferencji prasowej, żeby wykorzystać wielką chwilę?

- Wolałbym nie - odpowiedział Monk, zerkając w stronę Stottlemeyera, który wciąż stał na tarasie przed domem państwa Carnegie.

Slade podążył za jego wzrokiem.

- W zupełności rozumiem. Postaram się nie kompromitować Lelanda i departamentu policji. Ale prawdę mówiąc, sami są sobie winni, że zwolnili pana z pracy.

W tym względzie musiałam przyznać Slade'owi rację, ale przedstawienie całej historii w taki sposób, aby nie zakończyła się upokorzeniem Stottlemeyera przed mediami, wydawało się po prostu niemożliwe.

Jasne, efekt całej sprawy to tylko kolejny dowód na to, w jak wielkim błędzie i jak małostkowy był kapitan, zrywając umowę z Monkiem, ale czułabym się wstrętnie, gdybym miała mu w jakikolwiek sposób zaszkodzić. Być może nasze nowe posady, dobry samochód i pełny plan ubezpieczenia zdrowotnego zdążyły już złagodzić mój gniew i wyzwolić nieco sympatii dla kapitana.

Slade pośpiesznym krokiem ruszył za Dishorem

i podejrzaną. Chciał dopilnować, aby do gazet i telewizji trafiły zdjęcia całej ich trójki.

Nie mogłam go za to winić, a właściwie winna mu byłam przeprosiny za swoje słowa. Miał rację. Wykorzystywanie każdej dogodnej okazji nie jest głupie i może tylko podnieść reputację Mońka i całej firmy Intertext.

Mimo to nie potrafiłam się pozbyć poczucia, że to Monk jest wykorzystywany, co było jednak niemądre, zważywszy na to, jak szczerze oboje byliśmy wynagradzani za usługi detektywistyczne.

- Przykro mi, kapitanie - powiedział Monk.

- Nie ma powodu, żeby ci było przykro, Monk - odparł Stottlemeyer. - Nick miał rację. To był niezwykle błysk detektywistycznego geniuszu. Mieliśmy szczęście, że się zjawiliś.

- To tylko domysł i łut szczęścia.

- Domysł, który mnie nigdy by się nie przytrafił, w każdym razie nie dzisiaj i nie dzięki spostrzeżeniu, którego dokonałeś. Pomyślałbym o tym dopiero wtedy, gdy wyczerpałyby się już wszelkie możliwe powiązania z Lucarellim, co mogłoby trwać dobre parę tygodni. W tym czasie pani Carnegie mogłaby spokojnie zniszczyć dowody winy i uciec na tropikalną wyspę.

- Doszedłbyś do prawdy wcześniej - zapewnił go Monk.

- Albo może dostał anonimową informację na gorącej linii, hm?

- Rozważa pan powrót pana Mońka do współpracy z policją? - zapytałam i zaraz zastrzegłam: - Nie mówię, że przyjąłby ofertę. Tak tylko pytam.

- Przyjąłbym - powiedział Monk.

Szturchnęłam go mocno łokciem, a on jęknął bo-

leśnie. Sądzę, że wciąż w pełni nie doceniał korzyści, które wiązały się z nową posadą. Za bardzo był zaspany.

Stottlemeyer pokręcił głową.

- Wtedy nie miałem wyboru i dzisiaj go nie mam.

- To się może zmienić, kiedy pański szef obejrzy dziś wieczorne wiadomości - powiedziałam.

- To się może zmienić — przyznał kapitan. - Ale nie sądę, aby ewentualne zmiany dotyczyły Mońka. Raczej będą dotyczyły mnie.

Kapitan odszedł wolno ze zwieszonymi ramionami, a my odprowadzaliśmy go wzrokiem.

- To bardzo dobry detektyw - powiedział Monk.

Kiwnęłam głową.

- Tyle że nie genialny i dobrze o tym wie.

- Może powinienem przejść na emeryturę? - zastanawiał się głośno Monk.

- I co pan by robił?

- Krzewiłbym w narodzie ideę pojemnika na zużyte pieluchy.

- Marnowałby pan wielki talent, a Stottlemeyer by tego nie chciał.

- Ale czyniłbym świat lepszym.

- Teraz robi pan to samo - zapewniłam go.

- Tak sądzisz?

- Daje pan ludziom prawdę i sprawiedliwość — powiedziałam, myśląc o moim mężu i wciąż niejasnych okolicznościach jego śmierci w Kosowie. - Mnie samej wiele z tego by się przydało.

- Mnie też - stwierdził Monk, niewątpliwie mając na myśli wciąż nierozwiązaną sprawę morderstwa swojej żony. - Ale do kogo mamy się zwrócić?

W chwili, kiedy Stottlemeyer miał skrócić za róg, zatrzymał się i odebrał swój telefon komórkowy. Roz-

mowa trwała króciutko, nie mogliśmy słyszeć z niej ani słowa, ale język ciała kapitana mówił nam, że nie była to dobra wiadomość. Jeszcze bardziej zwiesił ramiona i jeszcze niżej spuścił głowę.

Wymieniliśmy z Monkiem spojrzenia i biegiem dołączyliśmy do kapitana.

- Stało się coś złego? - zapytałam.
- Dzwoniła Carol Atwater - odpowiedział Stottlemeyer. - Bill Peschel nie żyje.

## Monk sprząta

Stottlemeyer powiedział, że Carol musiała odwiedzić synka do przedszkola i pojechać z córeczką na wizytę u pediatry. Ojca zostawiła samego w domu. Po powrocie zobaczyła, że ciało ojca unosi się w basenie twarzą do dołu.

Monk uparł się, aby pojechać za Stottlemeyerem do domu Carol Atwater. Chociaż nie znał Billa Pe-schela, to czuł wobec niego dług wdzięczności za wprowadzenie w jego życie cudownego pojemnika na pieluchy.

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, przed domem stał samochód policyjny miasteczka Mili Valley, nieoznakowany crown vic, i furgonetka koronera. Na trawnikach i alejkach podjazdowych pobliskich domów stali sąsiedzi, gapiąc się na posesję Peschelów i czekając na to, co się wydarzy.

Kiedy podchodziliśmy do drzwi, z domu wychodził właśnie policyjny fotograf. Wyszła również do nas Carol, wciąż w mokrych rzeczach.

— Przepraszam, że niepotrzebnie zawracam głowę. Po prostu nie wiedziałam, do kogo zadzwonić.

Zaprosiła nas gestem do pokoju gościnnego, gdzie jakiś detektyw i dwóch umundurowanych policjantów z Mili Valley rozmawiali z kobietą w wiatrówce z napisem na plecach: KORONER.

- Nie miałam pojęcia, jak mam z nimi rozmawiać i o co powinnam pytać.

- Zostaw wszystko mnie - polecił Stottlemeyer. - Powinnas się przebrać w suche rzeczy i usiąść na kilka minut. Na pewno jesteś w szoku. Sanitariusze cię obejrzel, zanim odjechali?

Pokręciła głową.

- Nic mi nie jest, tylko trochę zmarzłam. Nie miałam czasu się przebrać.

- Teraz może to pani zrobić — powiedziałam. — Mogę się zająć dzieckiem.

- Córeczka jest u sąsiadów — wyjaśniła Carol.

Monk niezauważenie przeszedł pod rozsuwane, szklane drzwi i spojrzał na ogród na tyłach domu.

Pod czarnym płotem z kutego żelaza, który okalał basen, na lśniącej w słońcu, mokrej trawie, stało białe plastikowe krzesło. Dwóch asystentów korone-ra wkładało ciało Peschela do czarnego worka. Zdążyłam tylko zauważyć białe skarpetki, zanim asystenci zaciągnęli zamek błyskawiczny, unieśli worek i ułożyli go na noszach na kółkach.

Carol podążyła za naszymi spojrzeniami.

- Zostawiałam go wcześniej w domu i nie było żadnego problemu. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłby próbować wejść do basenu.

- To nie twoja wina - powiedział kapitan.

- Przeszukałam cały dom, zanim pomyślałam, że muszę jeszcze zajrzeć do ogrodu... i tam go znalazłam. Próbowałam go ratować, ale wszystko zajęło mi tyle czasu. Złapałam klucze do furtki, otworzyłam ją i wskoczyłam do wody. Zanim do niego dopłynęłam, było już za późno.

- Za późno było prawdopodobnie już wtedy, gdy



dojechałaś do domu - stwierdził Stottlemeyer. - Nie możesz siebie obwiniać.

Położyłam jej rękę na ramieniu i uściśniłam je delikatnie.

- Powinna pani włożyć na siebie coś suchego. Zrobić pani kawę albo herbatę?

- Herbatę - odpowiedziała. - Dziękuję.

Carol ciężkim krokiem ruszyła przez korytarz. Stottlemeyer spojrział na mnie.

- Cieszę się, że przyjechałaś - powiedział. - W takich sprawach naprawdę sobie nie radzę.

- Więc niech pan idzie zająć się tym, w czym jest pan dobry, kapitanie - poradziłam.

Stottlemeyer westchnął ciężko i ruszył w kierunku grupki policjantów, z daleka pokazując odznakę. Po chwili wszyscy odeszli w odległy narożnik patio, aby omówić, co się zdarzyło.

Ja natomiast przeszłam do kuchni, gdzie na kontuarze, obok rzędu wypełnionych wodą butelek Billa Peschela, znalazłam pudełko herbaty Lipton w torebkach.

Na szczęście Carol miała w kuchni jeden z modnych ostatnio kranów, z którego płynie od razu wrzątek, co ułatwiło mi zadanie. Kiedy sięgnęłam po kubek stojący na ociekaczu i napełniłam go gorącą wodą, zauważyłam na kontuarze ściereczkę kuchenną Peschela i szklankę do drinków ustawioną na serwetce - wszystko przygotowane na wizytę następnego klienta.

To przywołało mi na myśl Billa i zerknęłam na zewnątrz.

Monk stał na patio, w miejscu, gdzie stykało się krawędzią z mokrą, świeżo przyciętą trawą i wpa-

trywał się w basen za ogrodzeniem i stojące tam krzesło. Na betonie obok basenu, tam gdzie przed chwilą leżało ciało Peschela, stała wciąż niewielka kałuża.

Asystenci koronera weszli z ciałem do domu i przeszli przez pokój gościnny, korytarz, ku frontowym drzwiom. Cieszyłam się, że ten smutny widok ominął Carol, ale byłam pewna, że czekający na zewnątrz sąsiedzi dostali dreszczy, widząc, jak z domu wyjeżdżają nosze z czarnym workiem ze zwłokami. Ludzie gotowi są powykręcać sobie głowy, byle zobaczyć taki worek - oczywiście jeżeli w środku nie znajduje się nikt z ich bliskich.

Podeszłam do lodówki, aby poszukać miodu. Drzwi pokryte były rodzinnymi fotografiami, różnymi domowymi pracami plastycznymi, kuponami rabatowymi na zakupy i kalendarzem, na którym Carol odnotowywała swoje spotkania; wszystko to przyciskały do drzwi magnesiki w kształcie liter alfabetu. Także w moim domu lodówka była oblepiona różnymi rzeczami, głównie rodzinnymi zdjęciami i karteczkami z przypomnieniem, aby o czymś nie zapomnieć (moimi i Julie, pisanymi do siebie nawzajem lub tylko sobie), a także interesującymi artykułkami prasowymi, które ja wycinałam dla Julie, a Julie dla mnie.

Co takiego jest w lodówkach, że stają się domowym centrum wymiany informacji w rodzinie lub pamiątkowym albumem fotograficznym? Czy dzieje się tak dlatego, że jest to miejsce, do którego przynajmniej raz lub dwa razy dziennie podchodzi każdy członek rodziny? Czy po prostu dlatego, że jest to duża, pusta metalowa płaszczyna?

Wiele można powiedzieć o rodzinie, patrząc na to,

co zawiesza na drzwiach domowej lodówki. Na przykład na drzwiach lodówki w domu Mońka nie ma nic. Jego lodówka jest tak lśniąca i czysta, że można się w niej przeglądać jak w zwierciadle.

Znalazłam w lodówce słoiczek z miodem, wlałam odrobinę miodu do herbaty, a potem ustawiłam kubek na kontuarze i przygotowałam łyżeczkę i cukiernicę.

W tej samej chwili z góry zeszła Carol w szlafroku i pantoflach i usiadła przed kontuarem na jednym z barowych krzeseł. Oplotła dłońmi kubek, dmuchnęła ostrożnie w gorący napój i wypła mały łyk.

Nic nie mówiła, a ja również nie próbowałam zaczynać rozmowy. Bo o czym tu rozmawiać? Carol wydawała się pogrążona w bólu po stracie ojca albo też, jak podejrzewał Stottlemeyer, była w głębokim szoku. Trudno się dziwić.

Znowu wyjrzałam na zewnątrz i zobaczyłam, jak Monk kuca na patio, podnosi coś z podłogi za pomocą szczypczyków i kładzie to coś na otwartej dłoni drugiej ręki.

Pod pozorem sprawdzania, co tak zafrapowało mojego szefa, wyszłam na zewnątrz. Nie tłumaczyłam się głośno przed Carol, a po prostu wychodząc z kuchni, zachowywałam się tak, by odczytała moje intencje. Prawda była taka, że czułam się niezręcznie, stojąc i patrząc, jak zrozpaczona kobieta popija smętnie herbatę, i chciałam stamtąd uciec.

Spojrzałam na Mońka.

- Co pan robi?

- Pomyślałem, że pomogę Carol posprzątać ten wielki bałagan - odparł.

W jego dłoni zobaczyłam parę żdźbeł trawy i kilka białych granulek nawozu.

- Jeśli w pana mniemaniu tak wygląda wielki bałagan, to wołałabym nie wpuszczać pana do mojego domu.

- Masz woreczek?

Sięgnęłam do torebki i wyjęłam jeden z małych plastikowych woreczków Baggie, które noszę zawsze na zużyte przez Mońka chusteczki lub dowody rzeczowe, które znajdzie.

Wsywał do woreczka, co miał na dłoni, potem wstał i pokiwał do siebie głową.

- To zdejmie ciężar z jej barków — oznajmił. — Jedna rzecz mniej, o którą musi się martwić.

Wzięłam od niego woreczek i podsunęłam mu chusteczkę, zanim zdążył o nią poprosić.

Tymczasem Stottlemeyer, koroner i grupka policjantów z Mili Valley, skończywszy naradę, rozpierzchli się niczym zawodnicy drużyny footballowej gotowi do akcji. Kapitan podszedł do nas, a pozostali wyszli z domu.

- Jak mówi koroner, wszystko wskazuje na to, że Bill Peschel uderzył tyłem głowy o krawędź bałenu - powiedział Stottlemeyer. - Kiedy wpadał do wody, był prawdopodobnie nieprzytomny.

- Przynajmniej nie cierpiał - westchnęłam. Kapitan pokiwał głową i spojrzał w kierunku Carol.

- Może to dla niej lepiej — powiedział.

- Jak to?

- Wołałabym umrzeć, niż stracić rozum przy własnych dzieciach - wyjaśnił kapitan. - Bill na pewno nie chciał skończyć w kuchni córki, serwując wyimaginowane drinki i przekazując policji informacje dotyczące przestępstw sprzed dziesięciu lat. Może doznał jakiejś chwili olśnienia i póki jeszcze mógł, postanowił skończyć z tą torturą, własną i córki.

- Chyba za dużo pan sobie wyobraża. Z pewnością nie czuł się pan przyjemnie, patrząc, jak Bill powtarza scenki z dawnych czasów, ale to nie znaczy, że cierpiał. Mnie wydawał się szczęśliwym człowiekiem.

- Jeśli skończę przy składanym stolczku w garażu syna, myśląc, że znajduję się w swoim gabinecie i kieruję wydziałem zabójstw, to już teraz masz moje pozwolenie, aby mnie odstrzelić. - Kapitan znowu spojrzął na siedzącą przy kuchennym kontuarze Carol. — Lepiej będzie, jak z nią porozmawiam. Wracaj do domu, Monk. Wyglądasz, jakby dramatycznie brakowało ci odpoczynku.

Monk kiwnął głową i wyszliśmy z powrotem na ulicę, obchodząc dom z boku, ścieżką ogrodową wzdłuż grządek warzywnych.

Też czułam się zmęczona. Dość trupów jak na jeden dzień, a przecież ledwie minęło południe.

Pierwsze, co zrobiłam po powrocie do domu Mońka, to złapałam wózek z aktami, wytoczyłam go na zewnątrz i postawiłam przy samochodzie.

- Gdzie z tym idziesz? - krzyknął Monk, goniąc mnie aż do ulicy.

- Zabieram to wszystko do domu.

- Ale ja jeszcze nie skończyłem.

- Robię to dla pana - stwierdziłam, podnosząc klapę bagażnika. - Pracował pan całą noc, a więc dzień będzie pan miał wolny na odpoczynek.

- Nie chcę w dniu wolnym odpoczywać - zaoponował Monk.

- Trudno - stwierdziłam. — Będzie pan musiał. Później mi pan podziękuję.

Złożyłam nogi wózka i wcisnęłam go do samochodu. Był bardzo poręczny. Pomyślałam, że może sprawię sobie taki na domowe zakupy. Zamiast schodzić trzy razy do samochodu, wszystkie sprawunki mogłabym zanieść do domu za jednym razem.

- Co się z tobą dzieje? — zapytał Monk.

- A co ma się dziać?

- To nie ty pracowałaś całą noc. Zatrzymałam się i odwróciłam do niego twarzą.

- Myślę, że ja również zasłużyłam na wolne popołudnie — stwierdziłam.

- Dlaczego?

- Bo tak jest przyjęte. Zresztą cóż to teraz pana obchodzi? Pan już nie wypłaca mi pensji.

Spojrzał na mnie raz i drugi.

- Nie?

- Teraz płaci mi Intertect - wyjaśniłam. Monk się uśmiechnął. Ja również. Myślę, że to

był pierwszy moment, kiedy dotarło do niego, ile zalet ma nowa posada. Postanowiłam podchwycić temat i wyjaśnić wszystko do końca.

- Nie tylko to, panie Monk. Intertect opłaca również terapię u doktora Bella.

- Zatem mógłbym się z nim spotykać cztery razy w tygodniu i nie zapłaciłbym ani grosza?

- Pan nic, ale zapłacić musiałby Nicholas Slade. Sądzę jednak, że uznałby to za niewielki wydatek, jeśli w konsekwencji miałby być pan szczęśliwy i efektywny w pracy.

Uśmiech Mońka zrobił się jeszcze większy.

- W takim razie wiem, jak spędzę resztę dnia - oświadczył.

Jęknęłam. Nie musiałam być genialnym detektywem, żeby odgadnąć, co mu przyszło do głowy.

- Dlaczego pan uważa, że doktor Bell może mieć dzisiaj wolne godziny?
- Jeśli nie ma, to usiądę w poczekalni i złapię go na korytarzu między sesjami.
- Będzie zachwycony...
- Wiem - ucieszył się Monk.

Podwiozłam Mońka do doktora Bella, powiedziałam, żeby zadzwonił do mnie, kiedy będę miała go odebrać, i odjechałam z piskiem opon, zanim zdążyłby wymyślić jakiś pretekst, bym spędziła z nim resztę popołudnia w poczekalni.

Wróciłam do swojego domu, zostawiłam wózek z aktami w samochodzie i postanowiłam zająć się jakimś niezmiernie ważnym próżniactwem.

Zapewne myślicie, że po tylu latach pracy z Monkiem zdążyłam przywyknąć do śmierci. Istotnie, do pewnego stopnia przywykłam. Nie odwracałam już głowy na widok ofiary brutalnego zabójstwa. Mogłam bez zimnych dreszczy czy mdłości dokonywać oględzin ciała, stojąc obok Mońka, Stottlemeyera i Dishera. Jednak po obejrzeniu w ciągu jednego przedpołudnia wyjątkowo krwawego morderstwa i tragicznego utonięcia musiałam trochę ochłonąć.

Oba te zgony niosły ze sobą ciężar, emocjonalny i psychiczny, z którym trudno było się oswoić. Nie chodzi tylko o wrażenie, jakie robiły same zwłoki, ale wszystko, co się z nimi wiązało - widzenie z gangsterem w więzieniu, spotkanie twarzą w twarz z pozbawioną wszelkich skrupułów morderczynią przed jej domem czy pocieszenie kobiety załamanej śmiercią ojca i ogarniętej poczuciem winy.

Dodajcie do tego obciążenie, jakie wiąże się z nie-

ustannym usuwaniem przeszkód stających na drodze Mońka, każdego dnia, o każdej porze, w każdej minucie, a zrozumiecie, dlaczego zwinęłam się w kłębek na kanapie z paczką serowych chrupków, piwem korzennym i nieprzeczytanymi od dawna numerami „Vanity Fair”, „New Yorkera” i „Entertainment Weekly”.

Tak na marginesie, oto cały sekret mojej smukłej figury: obfite zapasy byle jakiego jedzenia plus długie godziny spędzone na czterech literach.

Zatopiłam się bez pamięci w tych ciężkich ćwiczeniach gimnastycznych, aż w końcu, około piątej po południu, zadzwonił Monk, prosząc, abym odwiozła go do domu.

Uparłam się, żeby Monk czekał na mnie ulicy, ponieważ nie chciałam stawać oko w oko z doktorem Bellem, który z pewnością był na mnie wściekły za zostawienie mu Mońka w poczekalni i zwianie na resztę dnia.

Kiedy Monk podchodził do samochodu, zauważyłam, że podskakuje wesoło co drugi krok, co bardzo mnie zdziwiło, biorąc pod uwagę fakt, że od półtora dnia nie zmrużył oka.

- Jak się udało spotkanie z doktorem Bellem? - zapytałam.

- Myślę, że naprawdę mu się podobało - odpowiedział. — Udawał wprawdzie, że jest poirytowany, ale tylko na pokaz przed innymi pacjentami. Nie chciał dać im odczuć, że to ja jestem jego ulubionym pacjentem i że w czasie ich sesji odlicza minuty, nie mogąc się doczekać spotkania ze mną.

- Zapewne ma pan rację - mruknęłam.

- Zawsze mam rację.



## Monk wcześniej zaczyna pracę

Siedziałam na plaży na Rajskiej Wyspie, a Daniel Craig smarował mi nagie plecy kokosowym olejkiem do opalania. Czułam, jak pod jego chłodną dłonią drobniutkie ziarenka piasku łagodnie pieszczą moją skórę. Ręce miał szorstkie, ale dotykał mnie delikatnie i ten kontrast podniecał mnie odurzająco. Robiłam wszystko, aby nie zacząć mrużyć z rozkoszy jak kot. Może nawet mruczałam, jednak mrużenie zagłuszył dzwonek telefonu.

Chwyciłam telefon ze szczerym zamiarem ciśnię-cia go w ocean, ale gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że piękna plaża z białym piaskiem, która rozciągała się stąd do wieczności, jest tylko poduszką koło mojej głowy.

- Halo? — zapytałam, będąc jedną połową świadomości w San Francisco, a drugą na plaży z Danielem Craigiem.

- Dobrze, że jeszcze nie śpisz - usłyszałam głos Monka. - Wiele rozmyślałam nad tymi aktami.

Zerknęłam na zegarek na nocnym stolczku. Była godzina druga dwadzieścia cztery w nocy. I na pewno nie byłam na Bahamach.

- Niech pan idzie spać, panie Monk.

- Wiesz, byłoby miło, gdybyś te akta przywiozła do mnie z powrotem.

- Przepraszam, pan chce, żebym o wpół do trzeciej w nocy wybrała się do pańskiego domu i przywiozła panu wózek z aktami, aby znowu mógł pan nad nimi pracować do rana?

- Nie przesadzaj — powiedział Monk. — Jest dopiero druga dwadzieścia sześć.

- Przepraszam, ale wracam na plażę - stwierdziłam i odłożyłam słuchawkę.

Wtuliłam głowę w ciepły dołek na poduszce, zamknęłam oczy i próbowałam przenieść się z powrotem na Rajską Wyspę.

Po chwili zadzwonił telefon.

Otworzyłam oczy, przewróciłam się na drugi bok i wyrwałam kabel telefoniczny z gniazdka w ścianie. Telefon ucichł. W moim pokoju, ale nie w całym domu.

Parę chwil później drzwi do mojej sypialni otworzyły się szeroko i stanęła w nich Julie w koszuli nocnej, trzymając w ręku swój bezprzewodowy telefon.

- Dzwoni pan Monk - oznajmiła. - Chce, żebyś zawiozła mu jakieś akta.

- Powiedz mu, że nie ma mowy, i wyłącz telefon z gniazdka - poradziłam i nakryłam głowę poduszką.

- Z chęcią mu zawiozę - powiedziała Julie. - Jeśli będę mogła pojechać lexusem.

Odrzuciłam poduszkę i usiadłam na łóżku.

- Naprawdę uważasz, że pozwolę siedemnastoletniej dziewczynie jeździć po mieście o wpół do trze cieją w nocy?

Ze słuchawki dobiegły mnie jakieś pomruki. Julie przyłożyła telefon do ucha, słuchała przez parę sekund, a potem zakryła dłonią mikrofon.

- Pan Monk mówi, że możesz przyjechać ze mną. Zrobimy tosty i urządzimy małe przyjęcie.

Dałam jej znak, żeby podała mi telefon. Julie podała mi telefon, a ja wyłączyłam go i oddałam Julie.

- Dobranoc - oświadczyłam.
- Ciekawe, jak ja teraz zasnę - powiedziała płaczącym głosem.
- Możesz liczyć leksusy.

Wtuliłam twarz w poduszkę z nadzieją, że Daniel Craig wciąż czeka na mnie na Bahamach.

Nic z tego. Kiedy powróciłam do krainy snów, Daniela tam nie było, a Bahamy zniknęły w falach oceanu. Zamiast na plaży znalazłam się w jakimś postapo-kaliptycznym piekle, gdzie mieszkałam w podziemnym bunkrze wypełnionym pojemnikami na pieluchy, chusteczkami Wet Ones i woreczkami Baggie. Do jedzenia miałam tylko krakersy Wheat Thins, a do picia wodę butelkowaną Sierra Springs.

Obudziłam się po godzinie dziewiętej, lepiąc się od potu, z suchym gardłem i odrętwiałą prawą ręką, którą trzymałam pod poduszką w czasie snu, zgiętą pod dziwnym kątem.

Och, cóż za wspaniały poranek.

Wywlokłam się z łóżka. Julie zdołała się jakoś wyprawić do szkoły, zostawiając mi uprzejmie na kuchennym stole miseczkę na wpół zjedzonych płatków śniadaniowych, okruchy po tostach i brudny kubek po kawie - do posprzątania dla mnie lub któregoś z naszych domowych kamerdynerów. Cóż, pewnie sobie na to zasłużyłam, będąc tak marną matką.

Zresztą asystentką też nie byłam najlepszą. Spóźniałam się do pracy i wcale się nie śpieszyłam, aby nadrobić czas. Za moją opieszałość Monk mógł jednak winić wyłącznie siebie.

Nie mogłam dłużej tego czytać. Za bardzo mnie to bolało.

Jeśli w opinii Slade'a tak ma wyglądać łagodne traktowanie i niekompromitowanie kapitana i wydziału zabójstw, to aż drżałam na myśl, jak wyglądałby jego komentarz, gdyby się nie powstrzymywał.

Czując złość na Slade'a za to, co zrobił, jednocześnie nie mogłam go nie podziwiać za zręczne skrojenie całej historii, ukazującej Intertect jako sprawne i skuteczne biuro, wrażliwe na sprawy społeczne, a Lucarellego jako niewinną ofiarę.

Zastanawiało mnie, dlaczego Slade postanowił nie ujawniać, że to właśnie Salvatore Lucarelli wynajął Intertect, chcąc dowieść swojej niewinności w sprawie obu zabójstw.

Być może w obawie, że umniejszy sukces Mońka, jeśli opinia publiczna dowie się, iż motywem jego działania było nie wzburzenie z powodu odrażających zbrodni, lecz sowita zapłata gangstera, który chciał się oczyścić z winy.

Fakt, że kapitan Stottlemeyer nie starał się podważać wersji Slade'a, świadczył tylko i wyłącznie o jego wielkim szacunku dla Mońka, nawet w sytuacji, gdy przychodziło mu za to słono płacić. Z drugiej strony może chodziło tu nie tyle o oszczędzenie Mońka, ile po prostu o dobro śledztwa przeciw pani Carnegie i troskę o to, by nie padł na nie nawet cień wątpliwości. W końcu zarówno Slade, jak i Stottlemeyer byli zgodni co do tego, że Monk miał absolutną rację, i żaden z nich nie chciał, aby panią Carnegie puszczono wolno.

Po przeczytaniu artykułu pomyślałam, że na szczęście zapomniałam obejrzeć wczoraj wieczorem wiadomości telewizyjne. Na wszystkich lokalnych ka-

nałach z pewnością jeździli na kapitanie jak na łysej kobyłe.

Zjadałam chlebek (wmawiając sobie, że jest zdrowy, bo został zrobiony z mąki i cynamonu, które, jak wiadomo, można znaleźć w przyrodzie, a nie wykreowano ich w probówce), wzięłam szybki prysznic, ubrałam się i wyjechałam do Mońka.

Wózek z aktami zostawiłam w samochodzie, wyjęłam z niego tylko cztery najbardziej opasłe teczki i ruszyłam do mieszkania. Postanowiłam racjonalnie śledztwa w niewielkich dawkach.

Możecie więc wyobrazić sobie moje zaskoczenie i wzburzenie, kiedy około wpół do jedenastej wszedłam do jego pokoju i zobaczyłam, że siedzi przy stole w jadalni, u jego boku stoi inny wózek z aktami, a przed nim rozłożone są dziesiątki dokumentów i zdjęć z jakiegoś miejsca przestępstwa. Przy stole siedziała Danielle, która miała przed sobą otwartego laptopa i zapisywała pilnie uwagi detektywa.

Monk ubrany był w te same rzeczy co dzień wcześniej, ale nie musiało to koniecznie oznaczać, że od czasu naszego ostatniego spotkania się nie przebierał. Monk kupował rzeczy hurtowo, aby w każdej chwili móc włożyć na siebie zawsze takie samo ubranie. Jego rzeczy nigdy nie były wygniecione, Monk bowiem nigdy nie dopuszczał, aby się wygniotły.

Mimo to byłam przekonana, że tym razem nie spał i się nie przebierał. Miał za sobą drugą nieprzespaną noc i nic dobrego nie mogło z tego wynikać.

- Dzień dobry państwu - powiedziałam głośno, z fałszywie brzmiącą nutą radości.

- Witaj, Natalie - odpowiedziała Danielle tak pewnie siebie i energicznie, że od razu zapragnę-

łam udusić ją jedną z dwóch identycznych, kwadratowych poduszek Mońka.

Ale nie był to jedyny motyw, jaki krył się za moim zupełnie uzasadnionym pragnieniem pozbawienia jej życia. Bardziej chodziło o drugi wózek z teczkami ze śledztw.

—Wreszcie jesteś — powitał mnie Monk. — Już myślałem, że wyjechałaś na wakacje.

- Gdybym była na wakacjach, dobrze by pan o tym wiedział, panie Monk, ponieważ pan byłby tam razem ze mną, a ludzie padaliby wokół nas trupem.

Bynajmniej nie była to złośliwa uwaga, a szczerza prawda. Jestem zapewne jedynym turystą z Hawajów, Niemiec i Francji, w którego pamiątkowym albumie z podróży są prawie wyłącznie fotografie z rozmaitych miejsc zbrodni. Morderstwo podąża za Monkiem niczym jego ogarnięty obsesją wielbiciel. Moglibyśmy się wybrać na niezamieszkaną krę lodową w okolicach bieguna północnego, a szybko natknęlibyśmy się na tajemniczego osobnika z nożem w plecach.

- Słyszała już pani? - zapytała Danielle. - W domu pani Carnegie policja znalazła pistolet, który eksperci od balistyki uznali za narzędzie zbrodni. Znaleziono też u niej rower i bluzę z kapturem. Sporo ryzykowała, nie pozbywając się tych rzeczy.

—Jak sądzę, w ogóle nie przyszło jej do głowy, że policja zacznie ją podejrzewać - powiedziałam.

—To nie policja. To pan Monk — stwierdziła z dumą Danielle. — Od rana rozwikłał już dziewięć morderstw.

- Dziesięć - poprawił ją Monk, zamykając na stępną teczkę z aktami. — Kidnapierem jest kierowca. Prawdziwy kierowca autobusu z dziećmi zatrzy-

małby się przed przejazdem kolejowym i otworzył drzwi. On tego nie zrobił.

- Jest niesamowity — powiedziała Danielle. — Prawda?

- Powinnaś zobaczyć, jak jednym susem przeskakuje kilka wieżowców — rzuciłam z przekąsem.

- Pani Carnegie miała romans z mężczyzną młodszym o dwadzieścia lat — wyjaśniła Danielle. - Zapewne chciała sobie zaoszczędzić kłopotów, jakie zwykle niesie ze sobą rozwód.

- Istotnie, morderstwo redukuje koszty sądowe. Oczywiście jeżeli człowiek nie da się złapać - powiedziałam i odwróciłam głowę do Mońka. - Skąd pan ma te akta, panie Monk?

- Nie chcieliście mi z Julie pomóc, więc zadzwoniłem do Danielle, która przywiozła mi całe mnóstwo nowych spraw.

- O wpół do trzeciej w nocy?

- Nie. Była druga trzydzieści pięć. Ale Danielle powiedziała przecież, że jest do naszej dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

- I nie było w tym cienia przesady - zapewniła Danielle. — Również pan Slade nie miał nic przeciwko temu, żebym obudziła go i żebyśmy wybrali się do biura po dodatkowe sprawy.

Jakoś mnie to nie dziwiło, zważywszy na sukcesy i darmową reklamę, jaką Monk przyniósł Inter-tectowi w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Danielle, mogłybyśmy przez chwilkę porozmawiać na osobności? - poprosiłam.

- O czym? — zainteresował się Monk.

- Skończyły mi się tampony i pomyślałam, że może Danielle...

Monk zamachał rozpaczliwie rękami, dając mi

do zrozumienia, żebym natychmiast przestała mówić, a potem zakrył uszy dłońmi.

- Wyjdźcie, bo mogę usłyszeć coś, czego nie chcę—jęknął.

Przeszłam do frontowych drzwi, a Danielle ruszyła za mną. Gdy tylko zamknęłyśmy za sobą drzwi, tak na nią naskoczyłam, że dziewczyna się wystraszyła.

- Gdybyś nie miała tego całego czarnego pasa, spralabym cię na kwaśne jabłko - syknęłam. - Co ty sobie myślałaś, znosząc mu w nocy do domu te wszystkie akta?!

- Wykonywałam swoje obowiązki. Pan Monk poprosił mnie o nowe sprawy, więc mu je przywiozłam.

- Nie widzisz, że on w ogóle nie śpi?

- Ponieważ nie może przestać myśleć o wciąż niezamkniętych sprawach - mówiła Danielle. - Pomyślałam, że jeśli mu je przywiozę, to będzie mógł...

- Spać? - przerwałam jej. - Daj spokój, Danielle, mówiłaś przecież, że skończyłaś psychologię. Naprawdę myślałaś, że wystarczyło mu przywieźć te akta, żeby położył się spać? Czy też myślałaś raczej, że Nick będzie bardzo zadowolony, jeśli pan Monk rozwiąże mu przed wschodem słońca kolejne dziesięć zagadek kryminalnych?

Danielle spuściła wzrok, przyznając się do winy, ale nie miałam zamiaru popuszczać.

- Ten człowiek jest wycieńczony — mówiłam. — Potrzebny mu odpoczynek. Właśnie dlatego zabrałam tamten wózek do siebie.

- Ale on zadzwonił i nalegał, żebym przywiozła nowe teczki — broniła się płaczliwym głosem. - Co miałam robić?

- To, co leży w jego najlepszym interesie, nawet



jeśli mu się wydaje, że tak nie jest - rzuciłam ostro. - Jeśli rzeczywiście pracujesz dla pana Mońka, to właśnie taki jest twój podstawowy obowiązek. Najbardziej jest mu teraz potrzebny sen.

- Przepraszam.

- Nie mnie zwiódłś, lecz jego. Jest za późno, by zabrać mu akta, bo już je widział. Prawdopodobnie już je przeliczył i na pewno nie przestanie o nich myśleć tylko dlatego, że znikną z jego mieszkania. Ale już nic więcej mu nie przywoż, jasne? Rozumiemy się?

Danielle przytaknęła.

- Miejmy nadzieję, że po przejrzaniu wszystkich tych teczek będzie tak zmęczony, że w końcu się położy - powiedziałam i wróciłam do Mońka.

Resztę dnia spędziliśmy we troje na przeglądaniu teczek i spisywaniu raportów z tego, co ustalał Monk. Byłyśmy z Danielle jedynymi osobami, które przejawiały oznaki zmęczenia. Monk był na fali, każda rozwiązana sprawa dodawała mu nowych sił do następnej.

Zanim wybiła szósta, rozwikłał wszystkie sprawy z obu wózków, a ja zdołałam jeszcze raz wymusić na Danielle obietnicę, że nie przywiezie mu następnych teczek. Monk jednak nie tracił czasu i od razu zaczął się o nie dopytywać.

- Gdzie reszta? Przynieście mi całą resztę.

- Nie ma więcej spraw, panie Monk - oznajmiła Danielle.

- Tu nie. Przywieź mi resztę teczek z biura.

- W biurze też nic nie ma - stwierdziła. - Rozwikłał pan wszystkie sprawy, panie Monk. Dał pan zajęcie wszystkim naszym detektywom. Musimy czekać na nowe zlecenia.

Mówiła tak przekonująco, że sama niemal jej uwierzyłam. Monk musiał uwierzyć, a może miał już tak otepiałe zmysły ze zmęczenia, że nie potrafił wyczuć kłamstwa, bo nagle dopadło go całe zmęczenie, którego w ogóle nie zauważał w czasie pracy. Ramiona mu obwisły, a powieki stały się ciężkie jak ołów. Po chwili opadł bezwładnie na ulubiony fotel.

—Jestem gotów do pracy — wyszeptał. — Dajcie te zlecenia.

- Gdy tylko się pojawią, będzie pan pierwszą osobą, do której się zwrócimy - zapewniłam go.

Wtedy zadzwonił cholerny telefon. Monk poderwał się i usiadł prosto w fotelu. Możliwość, że to kolejna zbrodnia, którą trzeba rozwikłać, dodała mu świeżej energii.

Miałam ochotę nie podnosić słuchawki, ale stwierdziłam, że jednak będzie lepiej, jeśli się dowiem, o co chodzi. Jeżeli to Nick Slade, czy ktokolwiek inny z nową zagadką dla Mońka, to postanowiłam, że odłożę słuchawkę i nie powiem Monkowi, kto dzwonił.

Ale to nie był telefon w sprawie przestępstwa. Dzwoniła Carol Atwater z zaproszeniem na stypę.

## Monk się budzi

Powrót do domu Carol Atwater, mniej więcej w tej samej porze dnia, w której byliśmy tam dzień wcześniej, budził we mnie jakiś dziwny niepokój.

Podczas pierwszej wizyty Bill Peschel stał za kuchennym kontuarem, uważając go za bar. Podczas drugiej wizyty leżał martwy w ogrodzie, a wokół niego stali policjanci i koroner. Teraz, podczas naszej trzeciej wizyty, Peschela w ogóle nie było, a za kuchennym kontuarem stał ktoś inny, podając z górą dwudziestu przyjaciółom i krewnym prawdziwe wino, piwo i lekkie drinki.

Zastanawiałam się, czy kuchenny kontuar celowo wykorzystywano jako bar, żeby uczcić w ten sposób pamięć o Billu Peschelu, czy też był to po prostu nieco ironiczny zbieg okoliczności. Doszłam do wniosku, że jednak to drugie. Zapewne używano tego miejsca jako baru przy każdej okazji, czy to przyjęcia czy stypy. Niemniej jednak było w tym coś, co przyprawiało o gęsią skórkę, zwłaszcza że nikomu nie przyszło do głowy, żeby zebrać i posprzątać butelki z wodą pozostawione przez Billa.

Niektórzy goście kręcili się i gawędzili na patio. Białe krzesło, jak zauważyłam, usunięto z mokrej trawy, a okalające basen ogrodzenie z kutego żelaza znowu było zamknięte na klucz.

Kiedy dojechaliśmy z Monkiem na miejsce, nie spodziewałam się spotkać tu nikogo znajomego, oczywiście poza Carol Atwater i kapitanem Stottlemeyerem, więc ze zdumieniem zobaczyłam detektywa Paula Braddocka, który, sącząc niespiesznie piwo, gawędził z Nickiem Slade'em. Raz po raz strzelał drwiącym wzrokiem w kierunku Stottlemeyera, który stał sam, popijając dietetyczną colę i wymownie ignorując obu mężczyzn (co oznaczało zapewne, że wcale ich nie ignoruje).

Monk nie czuł się dobrze w tłumie. Gdy przemykaliśmy w kierunku kapitana, szedł za mną, obejmując się rękami, z nisko spuszczoną głową.

- Musiałeś się wreszcie wyspać, Monk - powitał nas Stottlemeyer. - Wyglądasz już prawie jak Adrian Monk.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o panu, kapitanie - stwierdziłam. - Wygląda pan na skrajnie wyczerpanego.

- Bo jestem zmęczony.

- Ciężko w pracy?

- Ani szef, ani burmistrz nie są w najlepszych humorach - przyznał. — Nie oglądałaś wiadomości?

Pokręciłam głową.

- Przecież w ciągu czterdziestu ośmiu godzin zamknął pan trudną sprawę podwójnego morderstwa. Chyba zasłużył pan sobie na pochwałę?

- Nie chodzi o to, że przeprowadziliśmy błyskawiczne dochodzenie i dokonaliśmy trafnego aresztowania. — Stottlemeyer wskazał gestem ręki Monka. - Chodzi o to, że on był nam do tego potrzebny.

- Przepraszam - powiedział Monk.

- Nie masz za co przeproszać — burknął kapitan. - Nigdy nie przepraszaj za to, że jesteś najlep-

szy w tym, co robisz, Monk. Złapaliśmy mordercę. To najważniejsze. Cała reszta to tylko tuman kurzu.

- Kurz może zabić.

- Twoim zdaniem wszystko może zabić - sarknął Stottlemeyer.

- To prawda - zgodził się Monk. - Wymień choć jedną rzecz, która nie jest śmiertelna.

- Kłębek wełny - powiedziałam.

- Wiesz, ile osób rocznie dławi się śmiertelnie kłębkami wełny? - zapytał Monk.

Gdyby to był ktoś inny, odpowiedziałabym, że to czysto retoryczne pytanie. Ale w wypadku mojego szefa byłam pewna, że zna dokładną liczbę tych nieszczęśników, i to nie z ostatniego roku, ale ze wszystkich lat, aż po czasy cesarstwa rzymskiego.

- Który to Phil Atwater? - zapytałam.

Stottlemeyer wskazał mężczyznę, który serwował drinki za kontuarem. Wystarczyło jedno spojrzenie na utapirowane, równo ułożone i wysuszone włosy, aby Rick Springfield zaczął śpiewać w mojej głowie *Jessie's Girl*.

- Nie uważa pan za nieco dziwne, że Carol wyszła za mężczyznę, który właściwie nosi takie samo imię jak jej ojciec? - zapytałam w nadziei, że rozmową uda mi się wyrzucić z głowy natrętą piosenkę. — Nigdy nie wyszłabym za faceta, który ma na imię tak samo jak mój ojciec. Musiałby dać dowód miłości i je zmienić.

- Bill to zdrobnienie od William, a Phil to zdrobnienie od Phillip - zauważył Monk. - Imiona w ogóle nie są podobne.

- Dla mnie Bill i Phil to jedno i to samo - stwierdziłam.

- Ale William i Phillip to zupełnie co innego.

—Ale nie tak na siebie mówią — stwierdziłam.  
- Ale tak brzmią ich imiona - nie ustępował Monk.  
- Nigdy nie rozumiałem, dlaczego Bill jest zdrobnieniem imienia William - włączył się do rozmowy Stottlemeyer. - Skąd się wzięła ta literka „B”?

—Dlaczego Bob jest zdrobnieniem Roberta? — dodałam. — Skąd tutaj ta literka „B”?

—Błędy w pisowni, których nikt nigdy nie poprawił, w wyniku czego trwale skaziły język angielski - wytłumaczył Monk. — Niech to będzie dla nas ostrzeżenie, aby z całą powagą traktować korektę tekstu.

Nikt nie mógłby nam zarzucić, że nie podejmujemy intelektualnych konwersacji na wysokim poziomie.

Podeszła do nas Carol Atwater.

- Dziękuję, że przyszliście.

—Pani ojciec odmienił moje życie - wyjaśnił Monk.

- Naprawdę? - zdziwiła się Carol. - W jaki sposób?

—Towarzysząc tu ostatnio kapitanowi, poznałem pojemnik na zużyte pieluchy i tkwiący w nim olbrzy mi potencjał, by odmienić świat - wyjaśnił Monk. - Dopilnuję, by nazwisko pani ojca zostało wymienione podczas wręczenia Nagrody Nobla.

Oslupiała kobieta spojrzała na niego otwartymi szeroko oczami.

- Nagrody Nobla?

- Lepiej niech pani nie pyta - wtrąciłam się. -Jak się pani czuje?

—Chyba dobrze — odpowiedziała smutno. — Dziś rano była uroczystość kremacji zwłok. Zgodnie z życzeniem prochy ojca rozsypaliśmy przed jego dawnym barem. Dzisiaj to już Jamba Juice, ale to chyba bez znaczenia, prawda?

- Mam nadzieję, że posprzątałicie potem po sobie — powiedział Monk. - Nie powinno się rozsypywać martwych ludzi przed restauracjami.

Trąciłam go ukradkiem pod żebro, a kapitan Stottlemeyer odezwał się szybko, żeby ukryć brak wrażliwości Mońka.

- Dla mnie to zawsze będzie Tawerna u Billa. Dla nas wszystkich - powiedział.

Spojrzałam w bok na Braddocka i Slade'a, którzy nam się przyglądali.

- Czy oni również znali pani ojca? - zapytałam.

- Gdy tato u nas zamieszkał, dzwonił do nich parę razy z jakimiś informacjami z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nick odwiedził nas dwukrotnie. Detektyw Braddock był tu po raz pierwszy tego samego dnia co wy. Przyjechał do San Francisco na jakąś konferencję.

- Kiedyś wszyscy trzej służyliśmy w policji w tym samym czasie. Bill przekazywał nam mnóstwo istotnych informacji na temat popełnionych lub planowanych przestępstw - powiedział Stottlemeyer. - Nie wiem, czym się kierował, decydując, którego z nas obdarować konkretną wiadomością. Jeśli miał swojego faworyta, to nigdy tego nie zauważyłem i zresztą nie obchodziło mnie to. Jego bar mieścił się w sercu Tenderloin, jego klientami byli ludzie z półświatka, a kiedy się napili, dużo gadali. Bill zawsze wiedział, o czym mówi ulica.

- Ulica nic nie wiedziała, że Peschel przekazuje wszystko policji? — zapytałam.

- Nie mówiliśmy wżem i wobec o tej współpracy i wątpię, aby robił to Bill, zresztą często grał na dwie strony, był równie umoczony jak... — Zamilkł raptownie, przypominając sobie, kto go słucha, i spu-

ścił zawstydzony głowę. - To znaczy, chciałem powiedzieć...

- Wiem, co chciał pan powiedzieć, kapitanie - przerwała mu Carol. W jej głosie nie było słyhać urazy. - Tato donosił na przyjaciół i klientów, a powtarzał wam pogłoski, które usłyszał, również dlatego, że chciał, abyście patrzyli przez palce na jego małe przekręty. Kochałam ojca z wszystkimi jego wadami, choć na pewno miał za uszami niejedną brudną sprawę.

Monk aż się wzdrygnął.

- I pani pozwalała mu przebywać w kuchni, gdzie przygotowywane są posiłki dla całej rodziny? Gdzie jedzą i piją teraz pani goście? Będzie pani musiała wyczyścić kuchnię centymetr po centymetrze.

Carol obrzuciła Mońka zimnym spojrzeniem.

- Przepraszam, powinnam chyba zobaczyć, jak się miewają pozostali goście.

Pocałowała kapitana Stottlemeyera w policzek, rzuciła na Mońka jeszcze jedno chłodne spojrzenie i odeszła.

- Wrażliwy z ciebie człowiek, Monk - powiedział Stottlemeyer.

- Dlatego nie mówiłem, że ona, cała rodzina i każdy, kto skonsumował cokolwiek przyrządzonego w tej powalanej brudem kuchni, będzie musiał poddać się dezynfekcji dokonanej przez zawodowy personel odkażania biologicznego. Zadzwoń z tym do niej jutro, kiedy minie jej dzisiejsza trauma. Ktoś powinien też zawiadomić departament zdrowia publicznego w kwestii Jamba Juice. Ludzie prawdopodobnie przez cały dzień wnoszą do lokalu brudy Biłła Pe-schela.

Nick odłączył się od Braddocka, żeby porozmawiać z Carol, a detektyw podszedł do nas.



- Co za radość... -jęknął Stottlemeyer, kiedy zobaczył zbliżającego się Braddocka.

- Może idzie tylko złożyć kondolencje - "podsunęłam.

- Na pewno. Kondolencje z powodu zakończenia mojej kariery zawodowej.

- Witam, panie Monk. Co za niespodzianka, że pana tu widzę — powiedział Braddock. — Nie wiedziałem, że w starych dobrych czasach znał pan naszego Billa.

- Nie znałem. Poznałem go dopiero parę dni temu. Był przyjacielem kapitana.

Braddock pokiwał głową.

- To wszystko tłumaczy. Pan przecież nie potrzebuje informatorów, prawda? Potrafi zamknąć każdą sprawę bez niczyjej pomocy, w przeciwieństwie do Lelanda. Jemu niezbędna jest każda możliwa pomoc.

- Masz rację, Paul. Żeby dobrze wykonać swoją robotę, nie stronie od ludzi, ich niezwykłych talentów i szczególnych relacji, jakie z nimi utrzymuję.

- Żeby nadrobić własne słabości? - rzucił Braddock.  
- Smutna sprawa.

- Zapewne dlatego ja jestem kapitanem wydziału zabójstw w dużym mieście, które się nazywa San Francisco, a ty wystawiasz mandaty za parkowanie w Banning, zapadłej dziurze na środku pustyni.

Braddock poczerwieniał na twarzy. Musiał być bliski wybuchnięcia gniewem.

- Z tego, co wiem, niedługo będziesz się cieszył tą posadą.

- Być może. Jednak jest to posada, o której ty możesz tylko śnić.

- Jedynym, co nas różni, jest on. - Braddock

wycelował palcem w Mońka. - Bez swojego małego „Rainmana” jesteś nikim.

- Nawet wtedy nie dorastałbyś mi do pięt. Ja prowadzę śledztwa, zbierając dowody winy, a nie zmuszam do zeznań biciem - stwierdził Stottlemeyer, patrząc, jak Braddock zaciska palce, zgniatając pustą puszkę, którą trzymał w ręku. - Próbujesz wy musić zeznanie na tej biednej puszcze?

Braddock zamachnął się pięścią, ale kapitan osłonił się zwinnie lewą ręką, oblewając coca-colą stojących w pobliżu ludzi, a prawą ręką wyprowadził mocny cios prosto w nos Braddocka.

Detektyw zachwiał się, cofnął parę kroków i wpadł w grupę żałobników, wywołując w pokoju ogólne zamieszanie. Wszyscy na niego patrzyli. Nick z zakłopotaniem, a Carol z wielkim wstydem w oczach.

Wściekły Braddock, krwawiąc z nosa, jeszcze ruszył na Stottlemeyera, ale kapitan znowu łatwo uniknął ciosu i walnął go pięścią prosto w żołądek, tak że Braddock aż się skulił.

Stottlemeyer momentalnie poprawił prawym sierpowym w podbródek, posyłając Braddocka tyłem przez rozsuwane drzwi wprost do ogrodu. Detektyw stracił równowagę i przejechał parę metrów tyłkiem po mokrej trawie, niczym dziecię na zjeżdżalni.

Kapitan ruszył za nim, żeby jeszcze raz mu przyłożyć, ale Slade złapał go od tyłu za ramię i zatrzymał.

- Leland, wystarczy. To stypa, na miłość boską. To otrzeźwiło kapitana. Phil Atwater i paru innych mężczyzn pomogli Braddockowi wstać.

Detektyw był oszołomiony i wyglądał jak półtora nieszczęścia. Jego białą koszulę poplamiała krew kapiąca z rozbitego nosa, a cały tył spodni był mokry i brudny od trawy.

Spojrzałam na Mońka, który minął Stottleme-yera i Slade'a i przeszedł na patio. Głowę chylił pod dziwnym kątem, patrząc na całą sytuację, jakby nigdy w życiu czegoś takiego nie oglądał.

- Pierwszy raz pan widział, jak ktoś komuś daje w nos? — zapytałam. - Gdyby kapitan mu nie przyłożył, sama bym to zrobiła.

- On ma na spodniach źdźbła trawy.

- Tak to się kończy, kiedy człowiek szoruje spodniami po mokrej trawie.

- Albo chodzi po niej w skarpetkach - dodał Monk. - Trawa jest zielona i bujna, ponieważ codziennie o tej samej porze jest podlewana. Wczoraj również była mokra, ale skarpetki Billa Peschela nie były zabrudzone. Były śnieżnobiałe.

Miał słuszną rację. Dobrze zapamiętałam białe skarpetki Peschela przed zapięciem worka, w którym leżał.

- Może chlorowana woda wybieliła plamy na skarpetkach? - podsunął Nick.

Mówił jak mężczyzna, który nigdy w życiu nie musiał nic wyprać swoim dzieciakom. Ale Carol nieraz robiła pranie i sądząc po przerażonej minie, która pojawiła się na jej twarzy, z wolna zaczynał do niej docierać sens słów Mońka.

Z pewnością Stottlemeyer i ja także go zrozumieliśmy. Oboje mieliśmy dzieci. Zabrudzenia z trawy nie schodzą w praniu łatwo, jeżeli w ogóle udaje się je sprać. Fakt, że skarpetki Billa były czyste, świadczył zatem tylko o jednym: Bill Peschel nie szedł po trawie.

Kapitan strząsnął z barku rozluźnioną już dłoń Slade'a i wyszedł na patio.

Monk podniósł krzesło, ustawił je na trawie koło ogrodzenia i kiwnął na mnie ręką.

- Stań na krześle, Natalie - powiedział.
- Dlaczego sam pan nie stanie?
- Mam lęk wysokości.

Westchnęłam, chwyciłam się ogrodzenia dla utrzymania równowagi i stanęłam na krześle. Zachwiało się lekko, a jego cztery nogi zatopiły się z charakterystycznym młaśnięciem w rozmięczonym trawniku.

- Nie ważysz nawet połowy tego co Bill Peschel - stwierdził Monk. -Ale krzesło, na którym stał, nie tkwiło mocno w mokrej ziemi. Stało na trawie.

- Może krzesło przesunął któryś z policjantów albo koroner, albo może fotograf policyjny - snuł głośno przypuszczenia Stottlemeyer.

- W takim wypadku gdzieś przy ogrodzeniu powinny pozostać w trawie cztery zagłębienia po nogach krzesła.

Monk pochylił się i ruszył powoli wokół basenu.

Szedł bardzo, bardzo, bardzo wolno. Tak wolno, że pewnie liczył po drodze żdźbła trawy.

Wszyscy czekali w milczeniu, patrząc na Mońka. Nawet Braddock znieruchomiał, przyciskając ręcznik do krwawiącego nosa.

Po długim czasie napięcia i zdenerwowania, który zdawał się trwać całą wieczność, Monk wrócił do mnie po zatoczeniu koła, przechylił głowę to w jedną, to w drugą stronę, poruszył niezgrabnie ramionami, a potem zwrócił się do wszystkich zgromadzonych osób.

- Bill Peschel nie wszedł na krzesło, nie przeszedł przez ogrodzenie i nie wskoczył do basenu - oznajmił. - Został zamordowany.

## Monk rozpytuje

Goście Carol Atwater szybko się rozeszli, a tłumek w jej domu tworzyło teraz liczne grono policjantów i dochodzeniowców z Departamentu Policji Mili Valley. Zresztą Carol również wyjechała z rodziną - wolała spędzić najbliższą noc w hotelu niż w domu. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będą mieli ochotę tu wrócić.

Stottlemeyer i Slade pozostali na miejscu — kapitan, aby chronić interesy Carol, a Slade, aby zadbać o własne.

Nicholas Slade zapobiegliwie przypomniał Monko-  
wi, że pracuje dla Intertectu i jeśli ma zamiar dzielić się jakimiś nowymi obserwacjami, najpierw musi powiedzieć o nich jemu.

- Nie bardzo wiem, jakie dowody mają nadzieję znaleźć - mówił Slade, obserwując techników policyjnych przy pracy. - Miejsce popełnienia przestępstwa zostało wielokrotnie zanieczyszczone. Ogród został podlany, woda najpewniej zmyła każdy dowód, a od chwili śmierci Billa Peschela dziesiątki ludzi zdążyło tu wszystko dotknąć i podeptać.

- Od chwili zamordowania Billa Peschela - poprawił go Monk.

- Rutynowe procedury - stwierdził Stottleme-er. — Wiedzą równie dobrze jak ty i ja, że to próżna robota.

- To moja wina, że dowody przypadły i zostały zniszczone - powiedział Monk. - Wczoraj widziałem wszystkie rzeczy, które nie były na swoim miejscu, a mimo to nie poukładałem ich w całość. Co się ze mną stało?

- Był pan skrajnie zmęczony — przypominałam mu, rzucając gniewne spojrzenie Sladebwi, który jednak zdawał się nie rozumieć, o co chodzi.

- Ale wszystko było pod moim nosem - utyskiwał Monk.

- Również przed moim nosem i wszystkich innych. - Stottleme-er kiwnął głową w kierunku policjantów z Mili Valley. - Ja przynajmniej jestem przyzwyczajony, że nie zauważam śladów, które ty od razu dostrzegasz. Ale oni nie. Czują się jak ostatnie fajtlapy.

- To w takim razie najlepszy moment, aby się dowiedzieli, że usługi konsultacyjne pana Mońka można zamawiać w biurze detektywistycznym Inter-tect — oznajmił Slade, przeprosił nas i odszedł, próbując zarzucić haczyk na nowego klienta.

- Komu zależałoby na śmierci Peschela? - zastanawiał się Monk.

- Każdemu, kto trafił za kratki z powodu informacji, którą przekazał policji — powiedziałam.

- Dlaczego czekałby z tym tak długo? - dziwił się kapitan. - Peschel przeszedł na emeryturę i wyjechał na Florydę dziesięć lat temu.

- Może zabójca dopiero teraz wyszedł z więzienia. Może tyle czasu zajęło zabójcy ustalenie, że synnął go właśnie on. Może niedawno się dowiedział, że Peschel

wrócił w okolice San Francisco. Może wszystko razem?  
— snułam przypuszczenia.

— Za dużo tych „może” - stwierdził kapitan.

— Sądziłam, że „może” to pańska specjalność —  
odparłam zjadliwie.

— Moja specjalność nie ma tu nic do rzeczy. To  
sprawa wydziału zabójstw z Mili Valley. To nie moja  
jurysdykcja.

Wrócił Slade.

— Usłyszałem właśnie, że polityka zatrudnienia  
Departamentu Policji Mili Valley nie zezwala na  
najmowanie ludzi do pracy, za którą policjanci już  
dostają wynagrodzenie. W przeciwieństwie do policji w  
San Francisco nie śpią na worku z pieniędzmi. To  
dosłowny cytat.

— Co za pech, hm? - mruknął Stottlemeyer.

— Sami przyjdą za parę tygodni, kiedy utkną w ślepej  
uliczce - stwierdził Slade.

— Za parę tygodni będzie za późno - powiedział  
Monk. — Trop będzie już zimny.

— Przecież rozwikłał pan mnóstwo spraw, które  
leżały u nas dłużej niż parę tygodni.

— To co innego.

— Policja z Mili Valley świetnie wie, że gdyby nie  
pan, zbrodnia uszłaby mordercy na sucho - powiedział  
Slade. - Zawstydził ich pan jak dzieci. Nie będą mogli  
rzucić tej sprawy na dno szuflady. Jeśli nic nie będą  
mieli, muszą do nas wrócić. Opinia publiczna wyrze na  
nich odpowiedni nacisk.

— Skąd opinia publiczna będzie coś wiedziała na ten  
temat? - zapytał Stottlemeyer.

— Było tu dzisiaj mnóstwo osób — stwierdził Slade.

— Wieści się szybko rozchodzą. Dziś po południu sam  
wysługę do prasy oświadczenie. Do zobaczenia.

Slade odszedł.

Stottlemeyer westchnął ciężko i spojrzał na nas.

- Lepiej będzie, jak wrócę do swojego biura, zakładając oczywiście, że jeszcze je mam.

- Dlaczego jest pan takim pesymistą? Zabójstwa obu sędziów zostały rozwikłane, to już stare wiadomości — powiedziałam. - Dzisiaj media będą już mówić o czymś innym. Szef nie będzie taki zły na pana jak wczoraj.

- Uderzyłem policjanta w czasie stypy - przypomniał mi.

- Należało mu się.

- Prawda, ale nie sądzę, żeby mój szef spojrzał na to z tej strony.

- Skąd pewność, że w ogóle się dowie?

- Braddock się o to postara. Na konferencji każdy policjant go zapyta, jak sobie rozkwaślił nos, a on wszystko opowie, tyle że w tej opowieści on wyjdzie na bohatera, a ja na wściekłego psychopata.

- Z taką ujmującą osobowością na pewno nie pierwszy raz naraził się na szturchańca — stwierdziłam.

Stottlemeyer pokręcił głową.

- Braddock jest przyzwyczajony do tego, że bije, a nie do tego, że jest bity. Chroni go autorytet odznaki policyjnej. Większość ludzi boi się oddać funkcjonariuszowi. Nie nawykł do bójek, które nie są rozstrzygnięte na jego korzyść, jeszcze zanim uniesie pięść. Nie sądzę, aby dobrze zniósł to, co się dzisiaj stało.

- Braddockiem się teraz nie przejmuję - powiedział Monk. - Bardziej interesuje mnie, co pocniemy z morderstwem Billa Peschela.

- Przez większość życia Bill mieszkał i pracował w San Francisco. Istnieje pewne prawdopodo-



bieństwo, że to, co miało tu swój finał, zaczęło się po drugiej stronie zatoki, na moim terenie - powiedział kapitan Stottlemeyer. - Sprawa morderstwa nie leży w mojej gestii, ale rozpytam swoich ludzi.

- Ja też.

Stottlemeyer pokiwał głową i odszedł. Gdy tylko zniknął nam z pola widzenia, kiwnęłam głową na Mońka.

- Kogo pan będzie rozpytywał?

- Danielle.

- Ale nikt pana nie zatrudnił do zajmowania się tym morderstwem - zwróciłam mu uwagę.

- Sam się zatrudniłem.

W drodze powrotnej do San Francisco Monk zatelefonował do Danielle Hossack i poprosił ją o zdobycie wszelkich informacji na temat Billa Peschela, jego córki i zięcia. Danielle obiecała, że wstępny raport przedstawi mu następnego dnia.

- Rozumiem, że chce pan zdobyć informacje dotyczące Peschela - powiedziałam. - Ale po co panu informacje o jego córce i zięciu?

- Wspomniałaś, że Peschel zarobił mnóstwo pieniędzy na sprzedaży baru i części akcji giełdowych.

- Carol powiedziała mi, że jej ojciec był jednym z pierwszych inwestorów w spółce InTouchSpace, która dzisiaj jest największym portalem społeczno-ściowym na świecie.

Spojrzał na mnie, nic nie rozumiejąc, więc wyjaśniłam, o czym mówię.

- To wirtualna społeczność, w której ramach miliony ludzi kontaktują się między sobą, wymieniają informacje dotyczące ich życia, zainteresowań, hob-

by, a także odnawiają stare przyjaźnie, zawierają znajomości i grają w rozmaite gry. Monk nadal tępo na mnie patrzył.

- Może ujmę to inaczej - spróbowałam jeszcze raz. - InTouchSpace daje możliwość prowadzenia życia towarzyskiego bez wychodzenia z domu, a nawet bez realnego spotkania z drugą osobą. Właściwie to się może panu spodobać. Julie i ja często korzystamy z portalu. Robi to także Ambrose. Jest tam bardzo aktywny.

- Mój brat rozmawia przez komputer z obcymi ludźmi? — zdziwił się Monk.

- Przecież cierpi na agorafobię. Jak inaczej może funkcjonować wśród ludzi?

- Ale po co chce to robić?

- Bo jest istotą ludzką. A ludzka istota potrzebuje międzyludzkich relacji - odparłam.

- Nie, jeśli chce zachować zdrowie - stwierdził Monk. — Relacje międzyludzkie są niehigieniczne.

- To się odbywa przez komputer, panie Monk.

- Nie słyszałaś o wirusach komputerowych?

Wiedziałam już, że znowu prowadzę z Monkiem spór, którego nie jestem w stanie wygrać. Poza tym tak bardzo oddaliliśmy się od tematu morderstwa Peschela, że wypadło mi z głowy pytanie, które chciałam zadać.

- Naprawdę uważa pan, że Carol Atwater zamordowała swojego ojca?

Monk wzruszył ramionami.

- Może poza akcjami na giełdzie Bill posiadał też tłustą polisę ubezpieczeniową na życie. Tylko od niej wiemy, co się stało tego ranka. Może to kłamstwo? Nie po raz pierwszy chciwość prowadziła do morderstwa.

- Jakoś trudno mi uwierzyć, żeby gruchnęła czymś ojca w głowę, wepchnęła go do basenu i upozorowała nieszczęśliwy wypadek, mając w domu małe dziecko.

- Nietrudno będzie sprawdzić jej wersję wydarzeń. Ale mam też inne powody, aby dowiedzieć się czegoś więcej o niej i jej mężu. Morderstwo może nie mieć nic wspólnego z przeszłością Billa Peschela. Może się wiązać z czymś, w co obecnie zamieszani są Carol i Phil lub byli zamieszani niedawno. Może to jakiegoś rodzaju ostrzeżenie? A może Peschel po prostu zaskoczył jakichś włamywaczy?

- Innymi słowy, nie ma pan pojęcia, kogo szukać?
- Szukam mordercy.

Bez informacji, które miała znaleźć Danielle, nasze śledztwo w sprawie śmierci Peschela nie mogło się posuwać naprzód, a ponieważ zamknęliśmy wszystkie sprawy, które wpłynęły z Intertectu - w każdym razie wedle przekonania mojego szefa - to nie mieliśmy nic do roboty.

Monk doszedł do takiego wniosku szybciej ode mnie i poprosił, żebym zawiozła go do doktora Bella, gdzie między wizytami innych pacjentów chciałby spróbować odbyć sesję terapeutyczną.

Podwiozłam go zatem pod gabinet doktora Bella i czmychnęłam z prędkością rakiety.

Wolny czas wykorzystałam na załatwienie paru spraw dla Mońka - zrobiłam zakupy, odebrałam jego rzeczy z pralni, a potem zawiozłam wszystko do jego domu i ułożyłam na swoim miejscu. Robienie tego wszystkiego bez Mońka należało właściwie do przyjemności, gdyż jego obecność potrafiła zamie-

nić dwie godziny blahych zajęć domowych w sześć godzin katorgi.

O szóstej Monk zadzwonił z prośbą, abym go odebrała. Kiedy podjechałam pod stary wiktoriański dom, w którym mieszkał i prowadził swoją praktykę doktor Bell, zobaczyłam, że doktor i Monk siedzą razem na schodkach ganku.

Poczułam, jak coś mnie ściska w żołądku. Wiedziałam, że zaraz będę miała poważne kłopoty, ale pokazałam niewinny uśmiech i udałam, że nic mi nie wiadomo, abym zrobiła coś złego.

Monk ruszył do samochodu, ale doktor Bell go powstrzymał.

- Adrianie, właśnie uprzytomniłem sobie, że na moim biurku leżą tylko trzy zaostrzone ołówki.

- I wyszedł pan z gabinetu? Jak pan mógł?!

- Chyba byłem za bardzo rozkojarzony - stwierdził doktor. — Tak się przejąłem twoimi problemami, że wszystko inne nie miało dla mnie znaczenia.

- Oczywiście. To naturalne. Niech pan się stąd nie rusza. Zaraz się wszystkim zajmę - oznajmił Monk i rzucił się biegiem do domu, jakby na kuchence tłuszcz strzelał płomieniami pod sam sufit.

Tymczasem doktor Bell podszedł od strony pasażera do mojego samochodu i oparł się o otwarte okno, aby ze mną porozmawiać. Psychiatra był niemal łysy, miał brodę i siwe, krótko przycięte wąsiki. Luźny, czarny golf i dżinsy przydawały mu bardzo nieformalnego wyglądu, choć wiedziałam, że doktor Bell wcale taki nie jest.

- Zechcesz mi powiedzieć, co się dzieje, Natalie?

- Wszystko w porządku, dziękuję.

- U mnie nie za bardzo — stwierdził doktor Bell. — Już drugi raz Adrian przesiedział pół dnia w mojej

poczekalni, usiłując wcisnąć pięciominutową terapię między wizyty innych pacjentów, a nawet przeciągnąć ją na czas przeznaczony dla nich.

- Cóż, znaczy to tyle, jak myślę, że naprawdę pa na lubi. To chyba dobrze, prawda? Jestem pewna, że na początku bardzo się pan obawiał, czy Monk za ufa panu tak bardzo jak doktorowi Krogerowi. Te raz już wiadomo, że zaufał. Gratuluje!

Doktor uśmiechnął się.

- Jestem psychiatrą, nie opiekunką do dzieci, Natalie. Nie możesz podrzucać go do mnie za każdym razem, kiedy chcesz mieć trochę wolnego czasu.

- Tu nie chodzi o mnie, doktorze - zapewniłam. - Tu chodzi o pana Mońka. Bardzo pana potrzebuję, a jego nowe ubezpieczenie zdrowotne pokryje wszystkie wydatki związane z terapią.

- Nie chodzi o pieniądze, Natalie. Chodzi o komfort psychiczny i prywatność pozostałych pacjentów - powiedział doktor Bell. - Jeśli Adrian ma czas wolny, niech znajdzie sobie jakieś hobby albo niech nowy pracodawca zleci mu jakieś dodatkowe dochodzenia, żeby miał co robić.

- W tym właśnie sęk - westchnęłam. - Pan Monk zapracuje się na śmierć.

- To chyba lepszy los, niż dać się zamordować przez pacjentów w mojej poczekalni - stwierdził doktor Bell. - Albo osobiście przez mnie.

W tej chwili Monk wypadł z domu.

- Załatwione, doktorze - powiedział. - Kryzys zażegnany.

- Dziękuję ci, Adrianie. To dla mnie wielka ulga.

- W takim razie do zobaczenia jutro o tej samej porze, tak?

- Nie sądzę - odpowiedział doktor Bell.

- Dlaczego?
- Jutro będziesz bardzo zajęty — powiedział doktor Bell, kierując te słowa bardziej do mnie niż do Mońka.
- Skąd pan wie?
- Powiedzmy, że mam przeczucie.

## Monk i wielka sprawa Dishera

Przeczcucie nie zawiodło doktora Bella. Kiedy następnego dnia przyjechałam do domu Mońka, on siedział już przy stole w kuchni i ciężko pracował, a obok niego stał wózek pełen teczek z aktami.

Nowe sprawy z Intertectu.

Czarny pas czy nie czarny, miałam zamiar solidnie skopać zgrabny tyłeczek Danielle.

- Gdzie ona jest? - zapytałam Mońka tonem nieznośnym sprzeciwu.

- Kto?

- Danielle Hossack.

- Nie mam pojęcia. Ale mam nadzieję, że bez względu na to, gdzie jest, skrzętnie gromadzi informacje, o które ją wczoraj prosiłem.

- Skoro nie ma tu Danielle, to kto panu dostarczył nowe sprawy z Intertectu?

- Jakiś detektyw z biura przyszedł z tym do mnie z samego rana - wyjaśnił Monk z zadowoleniem. - Niedawny rozgłos musiał sprawić, że pojawiła się ogromna liczba nowych zleceń. To dobrze, że na razie nie możemy kontynuować śledztwa w sprawie Peschela, bo jestem ugotowany. Najpierw muszę się z tym uporać.

Odwrociłam się i ruszyłam z powrotem do wyjścia.

- Dokąd idziesz? - zapytał Monk.
- Do Intertectu. Sprawdzę, czy Danielle nie potrzebuje mojej pomocnej ręki.

Miałam na myśli tylko tyle, że w rozmowie z Danielle moja ręka może się przysłużyć w podobny sposób, jak ręka Stottlemeyera przysłużyła mu się w rozmowie z Braddockiem.

- Świetny pomysł — powiedział Monk. - Cieszę się, gdy widzę, jak wspaniale układa się wasza wspól praca.

Szłam dalej przed siebie, więc nie mógł widzieć mojej purpurowej z gniewu twarzy. W drodze do śródmieścia kilka razy przekroczyłam dozwoloną prędkość, a kiedy w końcu wpadłam do siedziby Intertectu, po prostu kipiałam wściekłością.

Danielle siedziała przy biurku i pisała coś na komputerze. Wycelowałam w nią palec.

- Za mną - powiedziałam, mijając ją w marszu i wchodząc do gabinetu Mońka.

Gdy weszła, zatrzasnęłam z hukiem drzwi.

- Coś nie w porządku? - zapytała głosem nie winiątka.

- Ty! - odparłam. - Zwalniam cię.

Otworzyła szeroko oczy.

- Dlaczego?

- Prosiłam, żebyś nie posyłała panu Monkowi więcej akt, a ty dalej to robisz. Bardziej dbasz o interesy Intertectu niż pana Mońka. To niedopuszczalne.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

- Dzisiaj rano do mieszkania mojego szefa dostarczono kolejny wózek z teczkami. Nie sądzę, aby wjechał tam sam.

- Ja go tam nie posłałam - powiedział Danielle



ze złością, ale wyczułam, że ta złość nie była skierowana do mnie. - Nie zrobiłabym tego panu Monkowi ani pani.

- Jeśli nie ty, to kto?

Zacisnęła zęby i rzuciła wymownym wzrokiem w kierunku drzwi.

- W tej firmie jest tylko jedna osoba, która ma prawo wysłać akta do kogo jej się żywnie podoba.

Sposób, w jaki Danielle wypowiedziała to zdanie, nie pozostawiał wątpliwości, kogo ma na myśli. Wiedziałam, że jestem jej winna przeprosiny, ale nie chciałam robić niczego, co sprawiłoby, że wytraciłabym impet lub ochłonęła z gniewu.

Otworzyłam z rozmachem drzwi, wymaszerowałam na korytarz, przemknęłam jak wiatr obok kształtnej sekretarki Nicholasa Slade'a, pchnęłam bez pukania drzwi do jego narożnikowego gabinetu i nieproszona weszłam do środka. Sekretarka zerwała się zza biurka, próbując jeszcze zatrzymać intruza, lecz była za bardzo obciążona w biuście, aby mnie doścignąć.

Slade stał lekko pochylony, w rękach trzymał kij golfowy i uderzał piłeczki do czegoś, co wyglądało jak mała srebrna szufelka, a na czym wygrawerowany był napis: ZAMKNIĘTY TURNIEJ GOLFOWY IN-TOUCHSPACE. Gabinet Slade'a był większy od mieszkania pana Mońka. Na ścianach wisiało mnóstwo fotografii, na których widać było Slade'a, obejmującego jakieś znane osoby, najczęściej kobiety.

- Jest pan pozbawiony wrażliwości, chciwy czy po prostu głupi? - zapytałam.

- Niewykluczone, że wszystko naraz - odparł Slade.

- To zapewne zależy od okoliczności i ilości serwowanego trunku.

Slade skinieniem ręki odesłał sekretarkę, która wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Słyszał pan o zabijaniu kury, która znosi złote jajka? - zapytałam. — Właśnie coś takiego robi pan z Monkem. Zleca mu pan zdecydowanie za dużo pracy.

- Ale sownie go za to wynagradzam. Zresztą Monk rozwiązuje sprawy szybciej, niż nadążam ze zleceniami. Praca sprawia mu radość.

- Dzieci uwielbiają lody, ale to nie znaczy, że można im pozwolić się nimi udławić — stwierdziłam. -Pan Monk z trudem wytrzymuje takie tempo pracy.

- Nie słyszałem, żeby się uskarżał.

- Więc niech panu wystarczy, że ja się skarżę. Od dzisiaj pan Monk ma wolne.

- Pracuje zaledwie cztery dni, a już chce mieć urlop? To chyba rekord.

- Rekordem jest liczba śledztw, które zamknął w tym tygodniu dla pańskiego biura — oświadczyłam. - Sprawa nie podlega dyskusji. Jeśli to się panu nie podoba, niech go pan wyrzuci z pracy.

- Może lepiej będzie, jeśli zwolnię panią.

- Pan Monk pójdzie za mną - stwierdziłam.

- Dlaczego? Nie musi już na pani polegać. Mogę mu zapewnić każdą asystentkę, jaką sobie wymarzy.

- W takim razie niech mnie pan zwolni i zobaczymy, co będzie - rzuciłam krótko.

Mierzył mnie przez dłuższy czas wzrokiem, aż w końcu na jego twarzy zajaśniał uśmiech.

- Pani Teeger, nie ma powodu do nerwów. Niewątpliwie Monk zasłużył sobie na chwilę oddechu. W przyszłym tygodniu wrócimy do tej sprawy.

- Wykluczone - stwierdziłam. - Od tej pory wszystkie akta będą trafiać najpierw na moje biur-

ko i ja będę decydować, czym i kiedy zajmie się pan Monk.

- Widzę, że bardzo pani o niego dba.
- Jeśli jest pan mądry, również powinien pan o niego zadbać. Będzie wart mnóstwo pieniędzy dla Intertectu, jeśli będzie go pan dobrze traktował. Proponuję, aby zaczął pan to robić już teraz.

Obróciłam się na pięcie i wyszłam. Za drzwiami czekały Danielle i sekretarka Slade'a. Minęłam je w locie, maszerując bez słowa z powrotem do gabinetu Mońka. Danielle pobiegła za mną i dogoniła mnie w chwili, gdy tam wchodziłam. Zamknęła cicho drzwi, a ja zapadłam się ciężko w fotelu za biurkiem Mońka.

Zaczęłam się trząść; myślę, że z nadmiaru adrenaliny w żyłach.

- Jestem ci winna przeprosiny - powiedziałam do Danielle.

- Proszę się nie przejmować. Była pani wspaniała.
- Nie rozumiem.
- Słyszałam wszystko, co powiedziała pani Nickowi. Całe biuro słyszało.
- Mówiłam tak głośno?
- Wręcz ryczała pani. Monk ma wielkie szczęście, że ma panią u boku.
- Kiedy się dowie, co zrobiłam, może pomyśleć coś zgoła innego.
- Ależ to pani działania pozwalają mu osiągać sukcesy — stwierdziła Danielle. — Jest najlepszym na świecie detektywem, ponieważ pani jest jego asystentką.
- Jeśli chcesz się podlizać i poprosić o podwyżkę, nie jestem odpowiednią osobą. Formalnie rzecz biorąc, pracujesz dla człowieka, którego zrułałam.

Danielle się uśmiechnęła.

- Widzę, że od pani można się nauczyć nie mniej niż od pana Mońka.

- Skoro mowa o zdobywaniu wiedzy - zmieniłam temat. — Masz w sprawie Peschela jakieś informacje, które można już przekazać panu Monkowi?

- Wstępny raport wciąż przygotowuję. Niemniej jednak dowiedziałam się, że na krawędzi kuchennego kontuaru policjantom z Mili Valley udało się znaleźć ślady krwi i naskórka Peschela - mówiła Danielle. — Koroner jeszcze raz obejrzała zdjęcia zwłok Peschela i jest przekonana, że zmarł w kuchni, a nie w basenie.

- Co za genialna dedukcja...

- Ale ważna - podkreśliła Danielle. - W ten sposób oficjalnie potwierdziła, że śmierć Peschela to nie wypadek.

- To było oczywiste w chwili, kiedy Monk powiedział, że to było morderstwo — stwierdziłam. — To jeszcze jedna rzecz, której się szybko nauczysz. W kwestii morderstw pan Monk nie myli się nigdy.

To, o czym teraz przeczytacie, a także w paru dalszych miejscach mojej opowieści, przytrafiło się porucznikowi Randy'emu Disherowi, kiedy mnie przy nim nie było. Nie umiem czytać w ludzkich myślach, więc nie będę mogła przytoczyć faktów z pierwszej ręki. Ale usłyszałam na ten temat wystarczająco wiele od samego porucznika, a także od innych osób, żeby nakreślić wam w miarę wierny obraz tego, co się wydarzyło.

Kiedy Randy Disher marzył w młodości, aby zostać policjantem, w jego marzeniach nie pojawia-

ły się oczywiście długie godziny papierkowej roboty w biurze. Tymczasem właśnie tak spędzał większość swojego czasu, choć wolałby być na ulicy, zdobywać ważne informacje, walczyć z mafią i szaleć po wzgórzach San Francisco zielonym mustangiem z 1968 roku, niczym Steve McQueen w *Bullicie*.

Przecież właśnie do tego, nie do pracy biurowej, został stworzony. Dlatego został gliną. I dlatego nosił przydomek Bullit. Sam go sobie nadał już pierwszego dnia nauki w Akademii Policyjnej. Jednak z powodów, których porucznik do dzisiaj nie potrafi odgadnąć, przydomek do niego nie przyłgął.

Podobnie jak przydomek Brudny Randy.

Ale porucznik był wytrwały. W ciągu następnych lat niepostrzeżenie wplatał swój przydomek w różne rozmowy, a kiedy do wydziału przychodził nowy detektyw, porucznik witał go zawsze tak samo: „Witam w wydziale zabójstw, *hombre*! Jestem porucznik Randy Disher, ale wszyscy mówią mi Bullit”.

Podobnie zrobił parę dni temu, kiedy do wydziału zabójstw przeniesiono detektywa Jacka Lansdale'a. Tym razem jednak, aby zwiększyć swoje szanse, spróbował finezyjnie zmanipulować sytuacją.

- Jak na ciebie mówią? - zapytał Disher.

- Jack.

- Chodzi mi o to, jaki masz przydomek.

- Nie mam przydomka.

- To coś ci powiem, brachu, wymyśl coś sobie, a ja będę się tak do ciebie zwracał. Minie kilka dni, a wszyscy tak będą do ciebie mówić. Co powiesz na Szakala?

„Bardziej pasowałoby Pryszczaty”, pomyślał Disher. Sądząc po jego twarzy, Lansdale zachował sobie chyba każdy pryszcz, jaki przewinął się przez

jego młodzieńcze życie, a musiało się ich przewinąć naprawdę sporo.

- Wystarczy Jack - powiedział Lansdale.

- To może Szak? To byłoby zdrobnienie - ciągnął Disher. — Słyszałem, że gdy przystępujesz do śledztwa, szalejesz jak dziki pies.

Disher znacząco mrugnął do detektywa. Nic nie słyszał o Lansdale'u, a jednocześnie był przekonany, że jego własne wyczyny owiała już legenda.

- Nie, raczej nie - zaprzeczył Lansdale. - Nie bez dumy powiem, że pracuję wolno, rzetelnie i metodycznie.

- W takim razie niech to będzie taki ironiczny przydomek, rozumiesz, to nawet lepiej brzmi. Choć mnie nazywają Bullit, ponieważ naprawdę tak o mnie myślą.

- Co myślą?

- Ze jestem zimny i twardy, a kobiety tracą dla mnie głowę, jak w tym filmie ze Stevem McQueenem.

Co prawda porucznika nie było stać na mustanga, ale przynajmniej jeździł focusem, samochodem tej samej marki.

- Ja będę do ciebie mówił Szakal, a ty mów do mnie Bullit. Nie tylko wtedy, gdy będziemy sami, ale również wtedy, gdy będziemy mówić o sobie w rozmowach z innymi ludźmi.

Disher uważał, że tym razem wreszcie może się udać, ale chwilę później zjawił się Monk i dał Di-sherowi pojemnik na zużyte pieluszki. Od tej pory Lansdale nie patrzył już na porucznika tak samo.

Kapitan Stottlemeyer zawołał porucznika ze swojego gabinetu. Disher nie znosił, gdy kapitan przywoływał go do siebie jak niewolnika.

Dlaczego nie mógł wstać, podejść do drzwi i uprzej-

mie poprosić do siebie? Albo sięgnąć do telefonu i wybrać jego wewnętrzny? Okazałby mu w ten sposób trochę szacunku. Ale nie, kapitan musiał zaszczekać zza biurka jak rozjuszony pitbull.

Stottlemeyer pozostawał w kwaśnym nastroju, odkąd tydzień temu na jego biurku wylądował nowy budżet. Nastrój ten sukcesywnie się pogarszał od czasu wystąpienia z Monkiem na konferencji detektywów, na którą Disher, ku swojemu rozczarowaniu, nie został zaproszony. (Disherowi nie zależało na uczestniczeniu w dyskusji panelowej, ale bardzo chciał się spotkać z innymi detektywami, pogadać o pracy i wydobyć wreszcie na światło dzienne przed całym krajem swój wizerunek Bullita.)

Kiedy porucznikowi się wydawało, że kapitan nie może już być bardziej ponury i bardziej wkurzony na wszystko i wszystkich dookoła, okazało się, że cały splendor płynący z aresztowania Rhondy Car-negie i rozwikłania zabójstw obu sędziów zagarnął dla siebie Nicholas Slade, który na dodatek publicznie upokorzył policję.

Stottlemeyer praktycznie dzień i noc toczył pianę ze wściekłości.

Nie chcąc paść ofiarą kolejnego wybuchu kapitana, Disher porwał notes i popędził do gabinetu szefa, ale najpierw przeszył wzrokiem Lansdale'a, który siedział przy sąsiednim biurku.

— Bardzo ważna konferencja strategiczna — po wiedział. - Sprawy ściśle tajne.

Zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka Stottlemeyer a.

— O co chodzi, kapitanie? Stottlemeyer potarł oczy i westchnął.

— Właśnie wpłynęło zawiadomienie o zabójstwie.

Dochodzenie w tej sprawie będzie jak taniec po polu minowym.

- Żaden problem - odparł porucznik, naśladowając gardłowy głos Eastwooda. — Jeśli trzeba, zatańczymy.

Kapitan podniósł oczy i spojrzał na niego zmęczonym wzrokiem.

- Mówię poważnie, Randy. Na tej sprawie, jeśli nie będziesz ostrożny, twoja kariera może wylecieć w powietrze.

Disher poczuł w żołądku podniecające łaskotanie. Czy rzeczywiście usłyszał to, co właśnie usłyszał? Czy rzeczywiście kapitan odsunął sam siebie od jakiejś sprawy?

- A gdzie pan będzie, kapitanie?

- Tutaj. Za biurkiem. Tym razem będziesz zdany na własne siły, Randy, a meldunki będziesz składał bezpośrednio zastępcy komendanta.

- Czy dobrze rozumiem, że mam składać meldunki z pominięciem pana, kapitanie?

- Chyba to właśnie powiedziałem, prawda?

Disher nie bardzo rozumiał. Oddanie mu śledztwa to jedno, ale żądanie, żeby nie składać kapitanowi meldunków ze śledztwa, to już zupełnie co innego. Dopiero teraz dotarło do niego, co kapitan miał na myśli, mówiąc mu, że jego kariera może wylecieć w powietrze, jeśli coś w tej sprawie sknoci. To nie było pierwsze lepsze dochodzenie w sprawie jakiegoś tam morderstwa. To był poligon doświadczalny, na którym Disher ma przetestować swoje zdolności przywódcze. Prowadzenie takiego śledztwa będzie pokazem jego umiejętności w rzeczywistych warunkach, wielką szansą dowiedzenia swojej wartości bezpośrednio przed dowództwem.



Cóż, czas najwyższy.

- Dlaczego odstawia pan swoją osobę na bocznice?
- Konflikt interesów.

Disher kiwnął głową.

- Rozumiem. Panu trudno będzie zachować wobec mnie obiektywizm. Kapitana już w pełni do siebie przekonałem. Teraz szefostwo osobiście chce zobaczyć mnie w akcji i dojść do własnych konkluzji w kwestii moich umiejętności dowodzenia.

- O czym ty mówisz, Randy?

- Polygon doświadczalny — powiedział Disher. — Jestem gotów. Im trudniej, tym lepiej. Nie bez powodu mówią na mnie Bullit.

- Kto tak na ciebie mówi?

- Oni. - Disher zamachał w powietrzu ręką, jakby odganiał dym z papierosa. — Ci u tych onych. To znaczy nie wszyscy oni, tylko właśnie ci. Tamci oni.

Stottlemeyer westchnął ciężko.

- To nie jest oficjalny sprawdzian - oświadczył. - Ale, jak przypuszczam, może się skończyć takim sprawdzianem.

- Więc dlaczego staje pan z boku?

- Ponieważ znam ofiarę.

- Skąd?

- Wczoraj złamałem jej nos. - Stottlemeyer sięgnął do szuflady i rzucił Disherowi na biurko teczkę z aktami. - Ofiarą jest detektyw Paul Braddock z Departamentu Policji Banning. Jego ciało znalazła dziś rano pokojówka w hotelu Dorchester.

Disher wziął teczkę do ręki.

- Co to jest?

- Teczka, którą założyłem kiedyś Braddockowi - wyjaśnił Stottlemeyer. - Pracował u nas jako detektyw, zanim go wyrzuciłem.

- Nie wiedziałem, że kiedyś pracował pan dla służb wewnętrznych.

- Nie pracowałem. To była moja prywatna inicjatywa. Dziesięć lat temu powiedziałem mu, że albo odejdzie ze służby, albo pokażę tę teczkę agentom służb wewnętrznych. Odszedł.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Bo to był brudny glina, który lubił bić i wymuszać zeznania - tłumaczył kapitan. - A ja chciałem zaoszczędzić naszej policji wstydu.

- To stare dzieje - powiedział Disher, zaglądając do teczek. — Co mają wspólnego z morderstwem?

- Może nic. Ale jeśli nie będziesz ostrożny, stare dzieje mogą wrócić i mocno postraszyć. Albo zabić.

- Biorę to — oświadczył porucznik.

Wyszedł z gabinetu z teczką pod pachą, skinął na Lansdale'a i skierował się do wyjścia.

- Idziesz ze mną, Szakal.

- Może po prostu Jack... - powiedział Lansdale, wstając i zdejmując z oparcia krzesła płaszcz.

- Może po prostu tak jak mówię, detektywie. Mamy morderstwo - oznajmił Disher. - Patrz i ucz się. Zegar tyka, a czyjeś ręce ociekają krwią.

## 19 Monk i

### Bullit

Lansdale prowadził policyjnego crown vica, a Di-sher siedział obok i przeglądał teczkę Paula Brad-docka, którą dostał od Stottlemeyera. Kapitan drobiazgowo opisał dziesiątki przypadków nadużywania siły i dołączył zeznania kilku ofiar Brad-docka.

Jednak Disherowi trudno było się skupić na raportach. Czytanie w czasie jazdy zwykle przyprawiało go o zawroty głowy, co było jednym powodem jego dekoncentracji. Drugim było to, że porucznik nie mógł przestać myśleć o tym, co może oznaczać dla niego tak ważne śledztwo.

Ta sprawa to coś więcej niż tylko okazja, aby wykazać się przed zastępcą komendanta. To także niepowtarzalna szansa, nadarzająca się raz w życiu, aby błysnąć na scenie krajowej. Na konferencję zjechali policjanci z całego kraju i wszyscy będą z zapartym tchem śledzić jego postępy w śledztwie. Sukces niezaprzeczalnie podniesie jego notowania. Jeśli jednak coś spartaczy, Bullit będzie jeździł po ulicach San Francisco nie mustangiem, lecz policyjną motorynką, wypisując mandaty za przekroczenie limitu czasu parkowania.

Disher poczuł raptem, jak trzy McMuffiny z serem i jajkiem, spalaszowane rano na śniadanie, pod-

chodzą mu do gardła w słodkiej zemście. Krzyknął do Lansdale'a, żeby zjechał na bok, otworzył drzwi, zanim jeszcze samochód się zatrzymał, i wymiotował na ulicę, tuż pod nogami grupy japońskich turystów stojących na skraju chodnika.

Otarł usta serwetką z baru Dunkin Donuts, którą zauważył w kieszeni na mapy w drzwiach samochodu, i uśmiechnął się szeroko do zde gustowanych cudzoziemców.

- Przepraszam najmocniej - powiedział. - *Mune on sawaru na. Shinu kakugo shiro.*

Japońscy turyści obrzucili go gniewnymi spojrzzeniami i odeszli, pomrukując z oburzenia.

Disher zatrzasnął drzwi i odwrócił się do Lansdale'a.

—O co im chodzi?

- Nie mam pojęcia. Może ma to jakiś związek z tym, że puściłeś im pawia na buty?

- Skąd. Trafiłem dobre pięć centymetrów obok butów - zapewnił Disher. - Poza tym okazałem dobre maniery, bo wyraziłem przeprosiny po angielsku i japońsku.

—Nie sędzę — powiedział Lansdale.

—*Mune on sawaru na. Shinu kakugo shiro* znaczy tyle, co: „Proszę mi wybaczyć. Przepraszam z całego serca”.

- To znaczy: „Przestań macać moje piersi i gotuj się na śmierć” — stwierdził Lansdale.

—Na pewno się mylisz.

- Moja żona jest Japonką.

—Och, w takim razie, jak sędzę, nieraz to sły szales - powiedział Disher, uderzył otwartą dłonią w deskę rozdzielczą i zawołał: - Naprzód, Szakal, naprzód! Mamy paru złoczyńców do złapania.

Lansdale ruszył, podjechał pod hotel jedną przecnicę dalej i zaparkował przed głównym wejściem. Disher założył ciemne okulary, żeby wyglądać jak David Caruso z *Kryminalnych zagadek Miami*, a potem wyskoczył z samochodu i pewnym siebie krokiem wszedł do hotelu.

Oczy gości mimowolnie skierowały się na porucznika, który przecinał hol prężnym krokiem, idąc w kierunku wind, toteż wszyscy świetnie widzieli, jak potknął się o jakąś stojącą walizkę i rozciągnął się jak długi na śliskiej marmurowej posadzce.

Lansdale pomógł Disherowi wstać.

- Kto mi podstawił walizkę? — zapytał groźnie Disher. — Trzeba aresztować tę osobę za napaść na funkcjonariusza policji.

- Walizka już stała, kiedy weszliśmy do hotelu. Szedłeś prosto na nią, Bullit. Może lepiej zdejmij przeciwsłoneczne okulary, światło jest tutaj mocno przyćmione.

- To powiedz, żeby włączyli światła. Prowadzimy ważne dochodzenie w sprawie morderstwa. Ciemności kryją istotne ślady. Poza tym dla ciebie jestem „pan Bullit” - rzucił Disher.

- Tak jest. Tak jest, panie Bullit.

Disher zaczął się rozglądać badawczo dookoła, udając, że wypatruje śladów zbrodni, ale tak naprawdę sprawdzał, czy ktoś się z niego śmieje. Jeśli jednak ktoś się śmiał, to znakomicie to ukrywał. Patrząc dookoła, porucznik zauważył w narożnikach pod sufitem kamery przemysłowe.

- Chcę mieć zapisy nagrań z kamer przemysłowych ze wszystkich pięter, wind i schodów ewakuacyjnych z ostatnich dwudziestu czterech godzin, jak również pełną listę gości hotelowych.

- Zrobione - odpowiedział Lansdale.

Obaj weszli do windy i wjechali w ciszy na siódme piętro. Kiedy otworzyły się drzwi kabiny, powitał ich umundurowany policjant, który, zanim wpuścił ich na piętro, obejrzał ich odznaki policyjne przypięte do pasków. Za miejsce popełnienia przestępstwa uznano całe piętro, co z pewnością byłoby pierwszą rzeczą, jaką zarządziłby porucznik, gdyby tego jeszcze nie zrobiono.

Porucznik podszedł do pokoju, w którym mieszkał detektyw Paul Braddock, i zajrzał do środka. W pokoju tłoczyli się technicy policyjni, którzy robili zdjęcia, szukali odcisków palców i wkładali do woreczków różne dowody rzeczowe.

—Pięć minut przerwy, chłopcy. Potrzebny nam pokój — oświadczył Disher. — Niech wyjdą wszyscy poza lekarzem.

Stanął z boku i czekał, aż technicy opuszczą pokój. Wewnątrz został tylko lekarz medycyny sądowej, doktor Daniel Hetzer, kucający przy ciele Brad-docka, który leżał twarzą do podłogi obok dużego, dwuosobowego łóżka.

Na białych, pulchnych policzkach doktora Hetzera widniał dwudniowy zarost, nieco rekompensujący kompletny brak włosów na głowie. Kiedyś Hetzer był nałogowym palaczem wypalającym dwie paczki papierosów dziennie, ale w końcu rzucił palenie na rzecz alkoholu. Mimo to wciąż pachniał nikotyną.

Disher rozejrzał się po pokoju. Łóżko było pościelone, ale wierzchnia, lekka narzuta była wygnieciona, a poduszki leżały pod wezgłowiem, ułożone jako oparcie pod plecy. Na podłodze obok łóżka leżał pilot do telewizora. Kiedy zabójca zjawił się w poko-

ju, Braddock leżał na łóżku i oglądał telewizję, co znaczy, że zabójca nie czekał na niego w środku, co znaczy, że został zaproszony, co wreszcie znaczy, że Braddock go znał.

Stół jadalny był przewrócony na bok. Obok leżała zbita butelka po szkockiej i odłamki szkła z dwóch stłuczonych szklanek. Disher zdziwił się, że doktor nie chłepce whisky z rozlanej kałuży jak spragniony pies.

- Przyczyna zgonu? - zapytał Disher.

- Uduśnienie przez zadzierzgnięcie — odpowiedział Hetzer. — Ale wcześniej musiał dostać małe lanie. Złamany nos i posiniaczona klatka piersiowa.

Odwrócił ciało, żeby mogli zobaczyć złamany nos, dzieło kapitana Stottlemeyera, i czerwone ślady wokół szyi od jakiejś pętli, co było już dziełem kogoś innego.

- Sprawdź, czy Braddock nie ma między zębami strzępków narzuty - powiedział Disher.

- Myślisz, że Braddock lubił przeżuwać pościel?

- Myślę, że Braddock naparł plecami na napastnika, kiedy był duszony, i rzucił go na stół. Jednak zabójca pchnął Braddocka twarzą do dołu na łóżko i runął ciężarem całego ciała na jego plecy, potem go przycisnął, a do swego morderczego repertuaru dodał duszenie.

Doktor Hetzer przytaknął.

- Sądząc po ułożeniu ciała, prawdopodobnie masz słuszność.

- Swojej odznaki policyjnej nie znalazłem w pudełku z płatkami śniadaniowymi, doktorku - stwierdził Disher. - Kiedy ofiara została zamordowana?

- Myślę, że gdzieś około północy. Może godzinę wcześniej, może później.

- Nie możesz być bardziej dokładny?
- Chciałbym, ale klimatyzacja była włączona na pełną moc. Kiedy weszliśmy, poczułem się jak w chłodni z mięsem.
- Ktoś starał się utrudnić nam ustalenie dokładnego czasu popełnienia morderstwa - doszedł do przekonania porucznik. — Mamy do czynienia z zawodowcem. Czym Braddock został uduszony?
- Powiedziałbym, że paskiem od spodni albo szlafroka, a może zwiniętym ręcznikiem.
- Porucznik odwrócił się do Lansdale'a.
- Dopilnuj, żeby technicy zapakowali do woreczków wszystko, czego można by użyć do uduszenia drugiej osoby. Porozmawiaj z gośćmi hotelowymi z sąsiednich pokoi, również piętro niżej i piętro wyżej. Chcę też mieć sprawdzone odciski palców na tych odłamkach szkła, jak najszybciej. Muszę wiedzieć, z kim Braddock pił tu drinka.
- Co ty będziesz robił? - zapytał Lansdale.
- Ciężko myślał. Przynieś mi poszczególne elementy, a ja złożę te puzzle w jedną całość.

Monk spędził cały dzień w swoim mieszkaniu, pracując nad śledztwami, których akta przesłał mu rano Nick Slade. Starałam się mu pomóc najlepiej, jak umiałam, ale jako że nie jestem detektywistycznym geniuszem, mój udział sprowadzał się w zasadzie do roli powierniczki, kiedy Monk wczytywał się w akta, oraz stenotypistki, kiedy wyjaśniał okoliczności i wskazywał sprawców przestępstw.

Późnym popołudniem pojawiła się Danielle z teczką pod pachą. Kiedy zobaczyłam teczkę, mimowolnie napięłam mięśnie. Ale nie była to jeszcze jedna



sprawa dorzucana do stosu tych, nad którymi Monk już pracował. Były to informacje dotyczące Billa Pe-schela, jego córki i zięcia.

Monk odsunął na chwilę akta pozostałych spraw, żeby posłuchać, co wykopała dla nas panna Hossack.

- Instynkt pana nie mylił, panie Monk - powiedziała Danielle. - Carol i jej mąż żyją w kłamstwie. Wcale nie są dobrze prosperującą rodziną z wyższej klasy średniej.

- Są uśpionymi szpiegami komunistycznymi, którzy dokonali infiltracji naszego społeczeństwa.

Spojrzałyśmy na niego osłupiałe.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku? - zapytałam. - Mur berliński padł, Związek Radziecki nie istnieje, a zimna wojna już dawno się skończyła.

- Oczywiście - odparł Monk.

- W takim razie to nie to - dodałam.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ mur berliński padł, nie ma Związku Radzieckiego, a zimna wojna się skończyła.

- Oczywiście - stwierdził Monk. - Cóż, zatem są uciekinierami poszukiwanymi listem gończym.

Znowu spojrzaliśmy na niego osłupiałe.

- Są rodzeństwem - ciągnął Monk. Wciąż patrzyłyśmy na niego osłupiałe.

- Nielegalnymi imigrantami.

- Opętał pana duch Randy'ego Dishera czy co? - zapytałam.

- Skąd taka myśl? — zdziwił się Monk.

- Oboje są bez grosza - kontynuowała tymczasem Danielle. - Ich konta bankowe są niemal wyczerpane, a limity gotówkowe na kartach kredytowych wyczerpane.

- Takie życie w kłamstwie w niczym nie jest ciekawsze od życia wszystkich innych.

- Będziemy musieli im powiedzieć, że jeszcze muszą nad tym trochę popracować - stwierdziłam.

- Cztery miesiące temu Phil stracił pracę jako przedstawiciel handlowy firmy budującej baseny - mówiła Danielle. - Codziennie rano wychodzi z domu w marynarce i pod krawatem, ale cały dzień spędza w księgarni Barnes & Nobles w San Rafael, gdzie siedzi w fotelu i rozwiązuje krzyżówki.

- Skąd to wszystko wiesz?

- Prześledziliśmy jego transakcje na kartach kredytowych. Poza tym kazałam go śledzić.

- Możesz robić takie rzeczy? - zapytał Monk.

- Ja nie, ale pan może - odparła Danielle. - Mam nadzieję, że nie poczyna pan tego za nadużycie pańskich uprawnień.

- Nie wiedziałem, że mam jakieś uprawnienia. Co jeszcze mogę robić?

- Może skoncentrujemy się na sprawie, dobrze? - zaproponowałam szybko. Nie chciałam, żeby Monk zaczął rozmyślać nad możliwościami i środkami, jakie ma do dyspozycji w Intertekcie, bo może zlecić wszystkim agentom biura obserwacje ulic i wyłapywanie ludzi, którzy wypływają gumy do żucia na chodnik. - Czy Carol wie, że jej mąż nie ma pracy? - zapytałam.

- Rachunki bankowe i karty kredytowe są na jego nazwisko, więc wszystkie wyciągi idą do niego. Możliwe więc, że ona nie zdaje sobie z niczego sprawy. Natomiast wiem, że żyją z pieniędzy, które ojciec dał im ze swoich oszczędności i akcji giełdowych.

- Ile tego jest? - zapytałam.

- Łączna wartość sięga blisko miliona dolarów.

Teraz, po śmierci Peschela, do konta mogą dopisać sobie jeszcze półtora miliona dolarów z polisy ubezpieczeniowej ojca.

- Nie, jeśli zamordował go mąż Carol.
- Phil z pewnością miał silny motyw finansowy, aby zabić — przyznała Danielle.

Zgodziłam się z nią.

—Co więcej, nikt lepiej od niego nie mógł wiedzieć, o której godzinie Carol i dzieci wychodziły tego ranka z domu.

—Wiedział to każdy, kto spojrział na jej kalendarz — stwierdził Monk.

Byłam zaskoczona, że Monk zauważył kalendarz na łódźce, choć nie powinnam. On zauważył wszystko, nawet jeśli pozornie się wydaje, że na nic nie zwraca uwagi.

- Nie wykluczałbym jeszcze Carol jako podejrzanej — powiedział Monk. — Mogła wiedzieć, że mąż nie ma pracy. Oboje mogli zaplanować morderstwo.

—Ale przecież i tak już żyli z pieniędzy ojca — zauważyłam. - Co mieliby zyskać, mordując Billa?

- Opieka nad nim była wielkim ciężarem. Poza tym istniało niebezpieczeństwo brudu.

- Jakiego brudu? - zdziwiła się Danielle.

—Carol powiedziała nam, że Peschel miał za uszami niejedną brudną sprawę.

—Nie mówiła tego w sensie dosłownym, panie Monk. To tylko pewna przenośnia - wytłumaczyłam mu.

—W takim razie w rzeczywistości znaczy to tyle, że Bill Peschel miał za uszami monstrialne, pokryte pęcherzami guzy, wywołane groźnym, bardzo zaraźliwym wirusem.

- Znaczy to tyle, że kochała ojca bez względu na

to, jaki był - powiedziałam i odwróciłam się do Danielle. - Może masz nam do powiedzenia coś więcej na ten temat?

Danielle wyjaśniła, że Bill Peschel rzucił naukę jeszcze w szkole średniej i tułał się przez parę lat po stanie, pracując dorywczo jako niewykwalifikowany robotnik u farmerów i na budowach, aż w końcu wyłądownął z powrotem w San Francisco, gdzie podejmował się różnych zajęć, od taksówkarza i kucharza w barach szybkiej obsługi, po kopacza rowów, aż wreszcie został barmanem w jednej ze spelunek dzielnicy Tenderloin, która nazywała się U Lucky Duke'a.

Przez cały ten czas coraz grubsza robiła się policyjna kartoteka Peschela, zapełniając się wpisami o mniejszych wykroczeniach, drobnych kradzieżach czy pijaństwie i zakłócaniu porządku w miejscu publicznym. Bill Peschel „ściągał” też długi dla Bob-by’ego Fisseta, wielkiego gangstera wymuszającego haracze w San Francisco na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

W 1967 roku Bill poznał Clare, młodzieńką sprzedawczynię ze sklepu Capwell's i dziewczyna zaszła w ciążę. Pobrali się niedługo przed tym, zanim ciąża stała się widoczna.

- Jak się o tym wszystkim dowiedziałeś? - przerwał jej Monk.

- Zaczęną może od tego, że policja zachowała kartotekę Peschela, która była objęta klauzulą poufności.

- Skoro była poufna, jak mogłaś do niej zajrzeć? - zapytałam.

- Nick me wejścia w SFPD — wyjaśniła Danielle. - Sprawdziłam też bazy danych w odpowiednich archiwach federalnych, stanowych, a także hrabstwa

i miasta, a ponadto, udając dziennikarkę piszącą nekrolog dla „San Francisco Chronicle”, rozmawiałam z Carol Atwater o wczesnych latach jego życia.

Monk pokiwał z uznaniem głową.

Mam nadzieję, że nie dokonywał żadnego porównania między pracą Danielle a moją. Nigdy nie zrobiłam dla niego takiej kwerendy. Po pierwsze nie wiedziałabym, od czego zacząć, a po drugie Danielle dysponowała możliwościami, o których mogłam tylko marzyć.

Mimo to poczułam silne ukłucie niepewności i zazdrości. Ostatnio mam skłonność do internalizowania lęków.

Tymczasem Danielle dalej relacjonowała wszystko, czego się dowiedziała. W roku 1970 szczęście opuściło Lucky Duke'a; wykryto u niego raka krtani. Bill Peschel przejął kierowanie knajpą, a kiedy dziewięć miesięcy później Duke zmarł, pożyczył pieniądze od Fisseta, odkupił interes od wdowy po Duke'u i nazwał przybytek Tawerną u Billa. Aby spłacić dług, Peschel oddał Fissetowi do dyspozycji tylną salkę, gdzie Fisset prowadził salon gry w pokera.

Kiedy Fisseta zastrzelono przed restauracją Alio-to's w Fisherman's Wharf w 1973 roku, Peschel potajemnie sprzedawał policji informacje, które przyczyniły się do schwytania zabójcy i zapobiegły wojnie gangów w mieście.

- Pracując długie lata w Tenderloin i robiąc interesy z Fissetem, Peschel zyskał respekt wśród przestępców i ludzi z marginesu — ciągnęła Danielle. — Widzieli w nim swojego człowieka.

- Bo był jednym z nich - stwierdził Monk. -I miał brud za uszami.

- Jednocześnie pomagając złapać zabójcę Fisseta

i zapobiegając rozlewowi krwi w mieście, zdobył sobie zaufanie policji, która okazała mu wdzięczność, robiąc z niego płatnego informatora i przymykając oko na rozmaite nielegalne drobne szwindle, których się dopuszczał, aby związać koniec z końcem. Coś mi tu nie grało.

- Jeśli tawerna była marną speluną, a Bill Pe-schel przez całe życie klepał biedę, to jakim cudem udało mu się sprzedać biznes za sumę, która pozwoliła mu spędzić emeryturę na Florydzie?

- Tawernę sprzedał za trzydzieści pięć tysięcy dolarów - powiedziała Danielle. - Prawdziwe pieniądze zrobił na akcjach InTouchSpace i ze sprzedaży mieszkania na Florydzie.

- Ciekawe, skąd miał tyle szczęścia, że zdołał kupić udziały w InTouchSpace, zanim spółka stała się wielka.

- Pewnie usłyszał od kogoś słówko na ulicy.

- Usłyszał słówko na nieodpowiedniej ulicy — powiedział Monk, poruszając dziwnie ramionami. — Coś mi tu nie pasuje do całości.

- Co dalej? - zapytałam.

- Porozmawiamy z podejrzanymi - orzekł Monk. - Ale pod żadnym pozorem nie będziemy ich dotykać.

- Dlaczego? - zdziwiła się Danielle.

- Cała rodzina może mieć brud za uszami — odparł Monk.

## Monk i krawat z węzłem gordyjskim

Lansdale przyniósł Disherowi na kilku płytach zapis z kamer przemysłowych hotelu Dorchester. Obiektywy obejmowały główny hol, wszystkie wejścia i wyjścia z budynku, schody ewakuacyjne oraz windy. Jednak na piętrach kamer brakowało.

- Co to za system, który kryje tylko pół dupy? - zachnął się Disher.

- Zadałem im to samo pytanie. W odpowiedzi usłyszałem, że to hotel, a nie kasyno w Vegas i nie żyjemy w państwie totalitarnym.

- Co to niby ma znaczyć?

- Po prostu są skąpi i nieodpowiedzialni. W każdym razie nikt nie mógł wejść ani wyjść z hotelu niezauważony przez kamery — stwierdził Lansdale.

- Chyba że wspiął się po fasadzie i wszedł przez okno bezpośrednio do pokoju Braddocka - powiedział Disher.

- Coś takiego jest w ogóle możliwe?

- Nigdy nie wykluczaj żadnej możliwości, nawet niemożliwej - odparł porucznik. — Rzecz niemożliwa jest niemożliwa tylko do chwili, gdy staje się możliwa. Dlaczego sobie tego nie zapisujesz?

- Bo to nielogiczne.

- Byłoby logiczne, gdybyś miał moje lata doświadczeń w ciemnych zaułkach. Podaję ci perły mądrości.

Będzie lepiej, jeśli zechcesz zapamiętać je na całe życie.  
— Disher wręczył Lansdaleowi połowę płyt. —  
Przejrzyj te, a ja wezmę się do reszty.

Lansdale wrócił do swojego biurka, a Disher włożył pierwszą płytę do komputera.

Przez następną godzinę Disher przeglądał zapis filmowy z rampy załadunkowej na tyłach hotelu i schodów ewakuacyjnych, ale nie zobaczył tam nic ciekawego. Hotel nie przyjmował w tym czasie dostaw ani nikt nie korzystał ze schodów.

Kiedy przejrzał wszystkie te płyty, zabrał się do oglądania zapisów z kamer w głównym holu. Po dwudziestu minutach zobaczył, że o godzinie dwudziestej drugiej ktoś wchodzi do hotelu, idzie głównymi schodami na piętro, gdzie mieści się sala konferencyjna, i znika z pola widzenia.

Disher rozejrzał się, chcąc sprawdzić, czy ktoś na niego patrzy. Lansdale siedział niedbale w swoim fotelu i wpatrywał się w ekran monitora, przeglądając nagrania kamer w windach i robiąc jakieś notatki. Disher spojrzał znowu na własny monitor, zaczął przesuwać zapis do przodu, aż do chwili, kiedy, jakieś trzydzieści minut później, zobaczył tego samego człowieka, schodzącego schodami do wyjścia i opuszczającego hotel.

- Hej, Szakal - zawołał porucznik. - Jest jakiś zapis z kamer na piętrach konferencyjnych?

Lansdale potrząsnął głową.

- Na drugim i trzecim piętrze poza schodami ewakuacyjnymi nie ma ani jednej kamery.

- Jest coś ciekawego na nagraniach z windy?

- Uhm. Właśnie chciałem ci powiedzieć - odparł Lansdale. - Około dwudziestej drugiej piętnaście na drugim piętrze wszedł do windy jakiś facet w unifor-



mie londyńskiego halabardnika i wjechał na siódme piętro, tam wysiadł, a po jakichś dwudziestu minutach wrócił na dół.

- Widać jego twarz? - zapytał Disher.

- Nie.

Niedobrze, pomyślał Disher. Bardzo niedobrze. Wstał i zapukał do drzwi kapitana. Stottlemeyer kiwnął zza biurka zapraszającym gestem.

Porucznik wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

- Jak idzie śledztwo? — zapytał Stottlemeyer, podnosząc wzrok znad sterty papierów.

- Nie ma mi pan czegoś do powiedzenia, kapitanie? - zapytał Disher.

- O czym?

- O panu i Braddocku?

- Wszystko masz w aktach - rzekł Stottlemeyer. — Poza tym, że wczoraj dałem mu w nos na stypie Billa Peschela, ale o tym z pewnością już słyszałeś.

- Nie wspomniał mi pan również, że wczoraj wieczorem poszedł pan do hotelu Dorchester.

Stottlemeyer westchnął znużony.

- Nie sądziłem, że to będzie miało znaczenie dla śledztwa.

- Co pan tam robił?

- Około wpół do dziesiątej wieczorem zadzwonił do mnie mężczyzna, podając się za policjanta uczestniczącego w naszej konferencji. Powiedział, że ma dowody, iż Paul Braddock bierze łapówki od gangu prowadzącego laboratorium metamfetaminy w przyczepach kempingowych na pustyni. Zaproponował mi spotkanie w hotelu, w jednej z salek konferencyjnych.

- Co to był za policjant?

- Nie chciał się przedstawić przez telefon, miał to zrobić dopiero podczas spotkania w cztery oczy, do którego jednak nie doszło - tłumaczył Stottle-meyer. — Dojechałem tam o dziesiątej, czekałem około dwudziestu minut, ale facet się nie pojawił, więc wróciłem do domu.

- I uznał pan, że to nie ma znaczenia dla śledztwa? - zapytał Disher, nie umiejąc ukryć złości na szefa.

- Byłem jednym z setek turystów i policjantów w hotelu. Spędziłem tam niecałe pół godziny i wyszedłem. Nie wiem, co to może mieć wspólnego z twoim śledztwem. - Kapitan spojrzał na porucznika spod przymrużonych powiek. - Skoro uważasz, że to ma znaczenie, to domyślam się, że Braddock został zamordowany około dziesiątej wieczorem.

- Być może. Zabójca podkreślił klimatyzację w pokoju Braddocka, aby trudniej było nam ustalić dokładny czas zgonu.

Stottle-meyer zaczął gładzić wąsy - miał taki nerwowy nawyk, gdy zagłębiał się w myślach.

- Uważasz, że ten telefon był pułapką, który miał mnie zwabić do hotelu Dorchester w tym samym czasie, kiedy zginął Braddock?

- Nie sędzę. Jak sam pan mówił, w tym czasie w hotelu było mnóstwo innych osób, nie wyłączając najlepszych w kraju detektywów od spraw zabójstw. — Porucznik skierował się do drzwi. - Nie przejmowałbym się na pana miejscu.

Disher wyszedł z gabinetu, czując na plecach spojrzenie kapitana Stottle-meyera, palące niczym lampa kwarcowa.

Odebrałam Mońka spod domu punkt dziewiąta i przez most Golden Gate pojechaliśmy prosto do hrabstwa Marin.

Pasy na przeciwległej nitce, prowadzącej z hrabstwa Marin, zatłoczone były ostatnimi dojeżdżającymi do pracy w San Francisco; na deskach rozdzielczych ich samochodów stały w uchwytach kubki z kawą ze Starbucksa, w uszach mieli słuchawki blue-tooth, a w radiu grała zapewne muzyka stacji NPR.

Skąd wiem, jakiej stacji słuchają ludzie w swoich samochodach? Ponieważ wiem, że mieszkańcy hrabstwa Marin są dobrze wykształceni, mają u siebie w domu co najmniej jedną płytę Boba Dylana lub Vana Morrisona i są zbyt liberalni jak na ludzi z takimi pieniędzmi.

Także dlatego, że lubię przyswajać stereotypy mające w sobie ziarno prawdy i bawi mnie robienie szerokich uogólnień, które podtrzymują moje uprzedzenia. Jeśli do tej pory nie dowiedzieliście się tego o mnie, to znaczy, że nieuważnie czytacie.

Zapach w księgarni Barnes & Nobles bardziej przypominał woń kawiarni niż księgarni. Przy stolikach w księgarnianej kawiarence siedziało mnóstwo młodych, dobrze ubranych ludzi, pochylonych w skupieniu nad MacBookami, leniwie pogryzających jakieś ciastko, popijających gorące napoje i próbujących wyglądać na bardzo zaprzątniętych i pogrążonych w myślach.

W gronie tych płochliwych moli książkowych nie znaleźliśmy Phila Atwatera, pewnie dlatego, że człowiekowi, któremu właśnie skończyła się wypłata zasiłków dla bezrobotnych, menu kawiarenki wydaje się zbyt drogie. Atwater kupował zwykłą, jakże wyborną kawę w McDonaldzie i nakładał na nią

tekturową osłonkę ze znakiem firmowym Starbuck-sa, zasłaniając słynne złociste łuki. Siedział z kawą w wygodnym fotelu, w najbardziej odległym kąciку księgarni, i czytał książkę pod tytułem: *Trzydzieści kroków - jak zostać milionerem w trzydzieści dni*.

- Czy jednym z kroków jest zamordowanie teścia? - zapytał go Monk na powitanie.

Phil podniósł na nas wzrok, upuścił książkę na kolana i podniósł się z fotela.

- Pan Monk, pani Teeger, co za niezwykle spotkanie! Wpadłem na chwilę przejrzeć książkę przed pracą. Wolę posiedzieć tutaj, niż marnować ten sam kwadrans w korkach. Ale cóż, czas mnie goni...

- Może pan spokojnie siedzieć dalej - powiedziała. — Wiemy, że kilka miesięcy temu wyrzucili pana z pracy.

- Nie wyrzucili. Nastąpiła redukcja etatów - powiedział, znowu siadając. - To różnica. Decyzja nie miała nic wspólnego z moją wydajnością w pracy.

- Czy pańska żona o tym wie? - zapytał Monk. Zauważyłam, że Phil zignorował pierwsze, pro wokacyjne pytanie Mońka.

- Nie mogę się zebrać na odwagę. To dla mnie upokarzające.

- I dlatego się pan ukrywa? - zapytałam.

- Korzystam z księgarni jako bazy wypadowej, czytam tu co dzień ogłoszenia, piszę podania o pracę. Miałem już nawet kilka rozmów kwalifikacyjnych, ale nic z tego nie wyszło. Na takich facetów jak ja nie ma wielkiego zapotrzebowania.

- Co ma pan do stracenia, mówiąc żonie prawdę? - zapytałam.

- Szacunek - odrzekł Phil. - Zachowałem jeszcze godność osobistą.

- Albo nie chce pan jej zdradzić swojego ciemnego sekretu - powiedział Monk.

Przeszedł do stojącego obok niedużego, tekturowego stojaka, gdzie frontem do przodu wystawionych było kilka tytułów kryminalnej serii *Napisała: Morderstwo*; na każdej z półeczek stało po cztery, pięć książek w miękkiej oprawie.

- Niby jakiego? - zdziwił się Phil.

- Takiego, że zamordował pan teścia, chcąc odziedziczyć jego majątek - stwierdził Monk, przekładając książki z jednej półki na drugą, tak aby na każdej była ich równa liczba.

- Jestem bezrobotny, ale to jeszcze nie czyni ze mnie mordercy.

- Wiedział pan, o której godzinie żona wyjdzie z dziećmi — powiedziałam. - Wrócił pan do domu, grzmotnął Billa w głowę, a potem usiłował pan upozorować wypadek w basenie, jakby Peschel sam, w oparach demencji, wskoczył do wody.

- Opary demencji? - Phil zaśmiał się smutno. - Pani mówi to z taką słodyczą, niemal poetycko. Ale niech pani spróbuje mieszkać pod jednym dachem ze zramolałym zgredem, któremu gęba się nie zamyka, który ma zwidy i myśli, że wciąż prowadzi bar pełen dziwek i pijaczków w Tenderloin. Siadałem naprzeciwko niego, a on nie miał pojęcia, czy ma przed sobą jednego ze swoich rynsztokowych pi-jusów, kogoś, kto szuka płatnego zabójcy, czy może glinę, któremu mógłby sprzedać obu poprzednich.

- Więc zabił go pan, aby jemu i sobie skrócić męki?

- Dlaczego pani sądzi, że gdybym go zabił, a nie zabiłem, to przyznałbym się teraz pani do tego?

- Bo jeśli pan go zabił i tak się o tym dowiem - powiedział Monk, wciąż przekładając książki. - Mia-

łem nadzieję, że zaoszczędzi mi pan kłopotu. I tak mam na głowie wystarczająco dużo śledztw.

—Bardzo mi przykro, że pana rozczarowałem, panie Monk, ale jeśli istotnie jestem winny, to tylko własnego tchórzostwa i poczucia dumy.

—I kradzieży książki.

—To nieprawda - odparł Phil.

—W takim razie dlaczego oderwał pan cenę z książki i usunął z jej grzbietu pasek magnetyczny?

—Wcale tego nie zrobiłem.

Monk wskazał na podłogę ręką, w której trzymał jeden z tytułów serii *Napisala: Morderstwo*.

—Próbował pan je wepchnąć nogą pod fotel, ale cena przykleiła się panu do buta.

Phil spojrział w dół. Nie mógł zaprzeczyć, cena przylegała wciąż do obcasa jednego ze znoszonych, skórzanych, wyjściowych półbutów.

—Cóż z tego? Facet, który napisał tę książkę, zarobił już swój milion — stwierdził Phil. — Nie potrzebuje moich dwudziestu dolarów.

—Tak się zaczyna życie w zbrodni. Dzisiaj książka, jutro mord na teściu.

—Zdaje się, że już raz mnie pan o to oskarżył, prawda?

—Powieć inaczej; kiedy raz już ukradł pan komuś życie, sądzi pan, że może kraść wszystko. Ta sama idea, tyle że wspan.

—Myli się pan co do mnie - oświadczył Phil.

—Skoro nie chce się pan przyznać, to może odpowie mi pan na jedno pytanie — powiedział Monk. -Od kogo Bill Peschel dostał cynk o akcjach InTouch-Space?

—Zapewne od swojego agenta handlu nieruchomościami.

- Skąd pan wie? - zapytałam.  
- Ponieważ tawernę przejęła firma Dalberg Enterprises, kiedy kupiła cały budynek - wyjaśnił Phil. — Inwestująca na rynku nieruchomości spółka Dalberg należała do Steve'a Wurzela.

- Kto to jest Steve Wurzel? - zapytał Monk.

To tak, jakby zapytać, kim jest Bill Gates, chociaż wątpię, aby Monk znał odpowiedź nawet na to pytanie. To obrazuje jedną z wielkich przeciwności osobowości Mońka. Wie tak wiele o wielu rzeczach, a jednocześnie o wielu wie tak niewiele. Mógłby opowiedzieć wam historię plomb dentystycznych, ale prawdopodobnie nie umiałby wymienić tytułów trzech piosenek Beatlesów.

- Steve Wurzel to założyciel InTouchSpace - wyjaśniłam.

- Po co miałby kupować tawernę Billa Peschela? Czy to był łakomy kąsek na rynku nieruchomości?

Phil pokręcił głową.

- Bar pozostawał zabity deskami przez dziesięć lat, dopóki pomieszczenia nie zajął przed rokiem Jamba Juice. Tyle czasu zabrała modernizacja całej dzielnicy.

- Po tym, co pan mówi o sukcesach InTouchSpace, można powiedzieć, że Steve Wurzel miał dość pieniędzy, aby czekać, aż inwestycja się zwróci — powiedział Monk.

- Ale nie czekał - powiedziałam. - Jego nieruchomości czekała. Wurzel nie żyje.

- Kiedy zmarł? - zapytał Monk.

W chwili, kiedy już miałam odpowiedzieć na to pytanie, poczułam nagłe dreszcze, fizyczne i zarazem mentalne, mówiące mi, że wreszcie wszystko zaczyna do siebie pasować. Było to uczucie, które

Monk z pewnością dobrze by zrozumiał. Tyle tylko, że w moim przypadku końcowy efekt nie był uderzająco jasny, lecz jeszcze bardziej zagmatwany.

- Dziesięć lat temu — odpowiedziałam.

Monk przechylił głowę, nie mówiąc ani słowa, i ruszył prosto do kasy z książką w ręku. Skończył rozmowę z Philem.

Podziękowałam Philowi za pomoc, poprosiłam, żeby nie wyjeżdżał z miasta (policja zawsze mówi coś takiego podejrzanym), i pobiegłam za Monkiem, który ustawił się w kolejce do kasy.

- Jak pan myśli, czy to przypadek, że fortuna Peschela i śmierć Wurzela przyszły w tym samym czasie dziesięć lat temu?

- Nie wiem - odpowiedział Monk. - Wiele rzeczy zdarzyło się dziesięć lat temu.

Na przykład nierozwikłana do dzisiaj śmierć jego żony Trudy. Mogłam się teraz bić po głowie za to, że nie potrafiłam przewidzieć, iż moje pytanie wywoła bolesne wspomnienia.

- Liczy pan na inspirację i ma nadzieję, że Jessica Fletcher pomoże panu rozwiązać naszą sprawę? - zapytałam, próbując nie dopuścić do niego czarnych myśli.

- Kto jest Jessica Fletcher? - zapytał.

- Autorka tych kryminałów, która rozwikłała wiele zabójstw — odparłam, wskazując książkę *Napisana: Morderstwo*, którą trzymał wciąż w ręku. - Jest bohaterką powieści, którą zamierza pan przeczytać.

- Nie mam zamiaru czytać tej książki.

- W takim razie dlaczego ją pan kupuje?

- Żeby zachować równowagę na wystawie. Teraz na każdej półce są po cztery książki.



- Kupuje pan kryminał, którego nie chce pan czytać, tylko po to, żeby liczba książek na każdej półce była parzysta?

—To moja mała ofiara dla świata, aby stał się lepszy.

Kiedy Disher przyszedł rano do biura, na jego biurku czekała teczką z raportem koronera. Porucznik pomachał na powitanie Stottlemeyerowi, który pozdrowił go zza szyby skinieniem głowy, potem usiadł i otworzył teczkę, jak się okazało, pełną protokołów i zdjęć z miejsca popełnienia przestępstwa.

Disher od razu zabrał się do lektury, zaczynając od wyników sekcji zwłok.

Lekarz medycyny sądowej potwierdzał, że Braddock został uduszony. Jak spodziewał się Disher, między zębami ofiary, a także w jego nosie, znaleziono strzępki narzuty.

Potem wziął do ręki protokoły i fotografie.

Technikom policyjnym z laboratorium udało się znaleźć na szyi Braddocka włókna poliestru i ustalić, na podstawie koloru oraz składu, że pochodziły one z żółto-biało-niebieskiego krawata w paski pod nazwą Continental, produkowanego na zamówienie Wal-Mart. Zła wiadomość była taka, że sprzedaż takich krawatów w sklepach sieci na całym świecie szła w tysiące.

Disher spojrzął na załączone zdjęcie krawata i poczuł, jak zimne ciarki przeszły mu po plecach. Widział już wcześniej taki krawat. Ale to nic znaczy, powiedział sobie. Wielu mężczyzn nosi takie krawaty. Nie wolno wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Skoncentrował się na raporcie dotyczącym odcisków palców.

Znaleziono setki częściowych odcisków palców, co było typowe dla hotelowych pokoi. Ślady nakładały się na siebie i większość była zbyt rozmazana, aby odczytać linie papilarne. Niemniej jednak technicy zdołali wyodrębnić odciski palców należące do trzydziestu osób, z których połowę stanowił hotelowy personel. Jedną z tych osób był sam Paul Braddock.

Jednak zdziwienie i niepokój budziły w poruczniku przede wszystkim odciski zdjęte z odłamków szkła rozbitych szklanek.

Disher poczuł, jak znowu oblewa go zimny dreszcz i dostaje gęziej skórki na całym ciele. Tym razem nie potrafił wytłumaczyć takiego zbiegu okoliczności.

Uświadomił sobie, co musi teraz zrobić. Zrobiło mu się niedobrze i nie miało to nic wspólnego z tym, że na śniadanie zjadł dużego croissanta na gorąco z serem i jajkiem.

Disher wyjął z teczki zdjęcie krawata, napisał na odwrocie jakiś adres, a potem wolno wstał. Starając się przybrać całkowicie spokojny wyraz twarzy, niespiesznie poczłapał do biurka Lansdale'a i oparł się o nie, odwrócony plecami do Stottlemeyera.

— Pojedziesz z ekipą policyjną pod ten adres i będziesz tam czekał na mój telefon z nakazem rewizji - szeptął Disher Lansdale'owi do ucha. — Tylko nie przewróćcie wszystkiego do góry nogami. Szukajcie skrupulatnie, ale subtelnie. W środku i na zewnątrz.

— Czego mamy szukać?

Disher postukał palcem w fotografię.

— Takiego krawata i wszystkiego, co twoim zdaniem może mieć jakiś związek z morderstwem Paula Braddocka.

— Kto mieszka pod tym adresem? - zapytał Lansdale.

- Kapitan Leland Stottlemeyer.

Lansdale mimowolnie spojrział w kierunku gabinetu kapitana, ale Disher umyślnie przesłonił mu ciałem widok.

- Zachowuj się naturalnie - nakazał. - Nie chcę, żeby kapitan czegoś się domyślił, zanim skończymy robotę.

- Uważasz, że Braddocka zamordował kapitan? Odbiło ci?

- Boże, mam taką nadzieję - szepnął Disher.

Nie uważał, że Lansdale musi również wiedzieć o tym, jak Paul Braddock ośmieszył Stottlemeyera na oczach rzeszy kolegów po fachu. Ani że Stottlemeyer zbił potem Braddocka na kwaśne jabłko na pewnej stypie. Ani że Stottlemeyer był w hotelu w czasie, gdy popełniono tam morderstwo, i miał na sobie dokładnie taki sam krawat, jakiego użyto do uduszenia Paula Braddocka. Ani że na odłamkach szkła z rozbitych szklanek znaleziono odciski palców kapitana.

Po prostu odesłał Lansdale'a na rewizję do mieszkania kapitana Stottlemeyera, a sam poszedł zwymiotować do męskiej toalety. Po powrocie zatelefonował do zastępcy komendanta.

## 21 Monk i

### zdrada

Historia tajemniczego losu Steve'a Wurzela, przedsiębiorcy i wizjonera z Doliny Krzemowej, znana była wszystkim mieszkańcom San Francisco, a prawdopodobnie również całego kraju. Trudno jednak było winić Mońka, że nic o tym nie wiedział, skoro wszystko wydarzyło się mniej więcej w czasie śmierci Trudy i okresie jego załamania nerwowego.

Tak więc w drodze powrotnej do miasta opowiedziałam mu całą historię.

W pewien mglisty poranek Steve Wurzel wsiadł na motocykl i pojechał krętą przybrzeżną drogą spod swojego domu w San Francisco do weekendowego ustronia w Mendocino, malowniczej miejscowości na klifach, które wnoszą się nad szumiącymi falami Pacyfiku.

Nigdy nie wrócił.

Większa część nadmorskiej drogi to niebezpieczna, wijąca się, wąska szosa, biegnąca nad krawędzią poszarpanych klifów, od których kierowców nie oddziela nic poza paroma przegniłymi belkami, mającymi uchronić ich przed runięciem spiralnym lotem w dół, ku poszarpanym, skalistym brzegom.

Natomiast w miejscach, gdzie szosa oddala się od klifów, zaczyna się więc przez gęsty las i biegnie przez mosty zawieszane nad głębokimi jarami.

To bajkowa i straszna droga; odsłania przed oczami podróżnych spektakularne widoki, a zarazem skrywa ewentualność spektakularnej śmierci.

Po zniknięciu przedsiębiorcy policja drogowa, szeryf hrabstwa Mendocino i amerykańska straż przybrzeżna podjęły zakrojone na szeroką skalę poszukiwania wzdłuż wybrzeża, na lądzie i morzu, ale nie znaleziono śladu ani po Wurzelu, ani po jego motocyklu. Po kilku dniach poszukiwania zawieszono.

Żona Steve'a Wurzela Linda oraz jego przyjaciele z Doliny Krzemowej nie dawali za wygraną. Na własną rękę rozpoczęli ambitne, kosztowne i gruntowne poszukiwania, ale im także nie udało się go znaleźć.

Wszystko to stało się zaledwie parę tygodni przed tym, jak InTouchSpace otrzymał potężny zastrzyk kapitału inwestycyjnego i eksplodował w Internecie, stając się fenomenem społecznościowym na skalę globalną i czyniąc swoich pierwszych inwestorów, w tym także tych, którzy pomagali sfinansować poszukiwania Wurzela, niewiarygodnymi bogaczami.

Po oficjalnym uznaniu Steve'a Wurzela za zmarłego odezwało się kilka kobiet, które domagały się udziału w jego warty miliarda dolarów majątku, twierdząc, że były jego kochankami i mają na utrzymaniu jego dzieci. Jednak bez możliwości przeprowadzenia analizy DNA sprawy zostały umorzone.

Poza moimi możliwościami intelektualnymi i dedukcyjnymi leżało zrozumienie, co to mogło mieć wspólnego, jeśli w ogóle, z zamordowaniem stetryczącego staruszka, któremu się zdawało, że wciąż jest barmanem. Najwyraźniej również poza możliwościami Mońka, bo kiedy skończyłam mówić, nie wypowiedział żadnych irytujących uwag, które wska-

zywałyby, że rozgryzł zagadkę morderstwa Peschela. Poprosił tylko, żebym zawiozła go z powrotem do domu, bo chciałby się zająć pozostałymi sprawami, które przesłał mu Nick Slade.

- Co ze sprawą Peschela? — zapytałam.

- Będziemy musieli poczekać i zobaczyć, do czego dojdzie kapitan — stwierdził Monk. - Może wyszedł z więzienia ktoś, kto pałał chęcią zemsty. Chociaż wciąż nie wykluczałbym Carol i jej męża.

- Nie zastanawia pana, dlaczego Wurzel kupił tawernę Peschela?

- Jak przypuszczam, zakładał, że w przyszłości dzielnica odzyska blask, a położone na niej nieruchomości zyskają na wartości.

- To jednak wydaje się dziwne.

- Jedyne związki, jaki łączy ich obu, jest taki, że mniej więcej w tym samym czasie Wurzel kupił nieruchomość Peschela, a Peschel zainwestował w jego spółkę. Cóż w tym dziwnego?

Miałam wrażenie, jakbyśmy się zamienili z Monkiem rolami.

Zwykle to on zwracał uwagę, że coś wydaje się dziwne, a ja podważałam jego opinię. Najbardziej frustrujące było to, że nie potrafiłam nawet powiedzieć, co tu się wydaje dziwne, może poza tym, że myślenie na ten temat wywoływało u mnie dokuczliwe łaskotanie w piersi.

- Obaj nie żyją- mówiłam dalej. - Wurzel zniknął w tajemniczych okolicznościach, a Peschel został zamordowany.

- Dziesięć lat później. W tym nie ma nic dziwnego.

- Ich nazwiska kończą się na „el” - powiedziałam.

Monk spojrział na mnie spode łba.

- W porządku, to głupie skojarzenie - przyznałam. - Ale jeśli nie ma w tym nic dziwnego, to dlaczego przechylił pan dziwnie głowę, kiedy powiedziałam w księgarni, że Steve Wurzel zginął dziesięć lat temu?

- O czym ty mówisz?

- Przechylił pan głowę, o tak, jak kura - powiedziałam i zademonstrowałam, jak Monk przechylał głowę. — Zawsze pan to robi, kiedy słyszy pan coś, co nie pasuje panu do całości albo pasuje, a wcześniej nie pasowało.

- Wspomniałaś o śmierci, a zawsze kiedy słyszę o śmierci w kontekście śledztwa, moje zaciekawienie automatycznie wzrasta.

- Właśnie. Sam pan przyznaje, że to pana zaciekawilo.

- Zaciekawienie już minęło. W mojej głowie od paru dni roi się od morderstw i śmierci. Trudno mi to wszystko utrzymać w jakimś porządku.

- Mówię panu, panie Monk, jest w tej sprawie coś... łechcącego.

- Łechcącego?

- Czuję łaskotanie w środku klatki piersiowej.

- Może masz atak serca? - zaniepokoił się Monk.

- Nie mam ataku serca — uspokoiłam go.

- Czujesz przeszywający ból w lewym ramieniu?

- Nie, ale powoli zaczynam czuć ból w głowie.

- Powinniśmy pojechać natychmiast do szpitala.

- Nic mi nie jest.

- Masz palpacje serca i pulsujące bóle głowy - stwierdził Monk. - To nie wygląda dobrze. To wygląda beznadziejnie.

- Och, coś mnie tylko nurtuje i tyle.

- Palpitacje serca i pulsujący ból głowy. To może być początek rozległego zawału.

- Myślę, że to tylko moja podświadomość.

Być może po tylu latach pracy z Monkiem, po tylu zagadkach, których rozwikłania byłam świadkiem, sama zaczęłam wreszcie objawiać detektywistyczny instynkt. Ale cóż dobrego mogło z tego wyniknąć, skoro nie miałam pojęcia, co mi mój instynkt podpowiada.

- Powinniśmy podjechać do doktora Bella - stwierdził Monk. - Na pewno potrafiłby ci pomóc. Może pomógłby również mnie, skoro już tam będziemy.

- Mam lepszy pomysł.

- Co może być lepszego od spotkania z doktorem Bellem? To przecież po drodze. Później mi podziękujesz.

Otworzyłam klapkę w telefonie komórkowym i łamiąc przepisy kodeksu drogowego, które nakazywały kierowcy używać w czasie jazdy zestawu głośnomówiącego, zadzwoniłam do Danielle. Poprosiłam ją, żeby przygotowała nam informacje o spółce Dalberg Enterprises i dowiedziała się, gdzie możemy znaleźć Lindę Wurzel.

- Po co chcesz się z nią spotkać? — zapytał Monk, kiedy skończyłam rozmawiać z Danielle.

- Ja nie chcę. Pan chce - odpowiedziałam.

Podczas gdy Lansdale i ekipa techników policyjnych dokonywali rewizji w mieszkaniu kapitana Stottlemeyera, porucznik Randy Disher siedział za biurkiem, chłostany poczuciem winy. Wiedział, że wykonuje tylko swoje obowiązki, ale nie potrafił się pozbyć uczucia, że zdradza swojego przełożonego, mentora i przyjaciela.



Disher usiłował odciągnąć myśli od swojego niegodnego zachowania, wczytując się w zeznania gości hotelowych, którzy w wieczór zabójstwa przebywali na piętrze Braddocka.

Pewien detektyw z Wichity, który nocował w pokoju sąsiadującym z pokojem Paula Braddocka, zeznał, że około dziesiątej wieczorem ktoś zapukał do drzwi sąsiada, a krótko potem jego uszu doszło głucho uderzenie i dźwięk rozbitego szkła, ale nie wzbudziło to jego zaniepokojenia ani nie kazało myśleć, że dzieje się coś złego.

Zeznanie detektywa z Wichity zdecydowanie przyczyni się do utwierdzenia ławy przysięgłych w przekonaniu, że Braddock został zamordowany w swoim pokoju hotelowym na siódmym piętrze, między dziesiątą a dziesiątą trzydzieści wieczorem, czyli niestety w czasie, gdy kapitan Stottlemeyer, jak sam twierdzi, siedział w jednej z salek konferencyjnych na drugim piętrze tego samego hotelu.

Rzekomo.

Disher natychmiast zbeształ samego siebie za takie myśli, że jeszcze raz zdradza przyjaciela, jeśli nie w czynach, to w każdym razie w myślach.

Ale porucznik nie miał wyboru. Musiał podążać tropem dowodów tam, dokąd wiodły. Kapitan sam powiedział, że sprawa może zapoczątkować jego wielką karierę lub ją przetrącić. Nie mógł więc pozwolić sobie na jakikolwiek błąd.

Disher zatelefonował do zastępcy komendanta w cichej nadziei, że szef unieważni jego decyzję o przeprowadzeniu rewizji w mieszkaniu Stottlemeyera. Jednak, ku własnemu rozczarowaniu, usłyszał, że zastępca komendanta zgadza się z podjętymi przez porucznika zarządzeniami i gratuluje mu, iż nie do-

puścił, aby lojalność wobec przełożonego przesłoniła mu obiektywną ocenę sytuacji.

Wcale nie poprawiło to Disherowi humoru.

Jego ostatnią nadzieją było to, że rewizja Lansdale'a nie przyniesie efektu. Jednak nadzieja ta pękła jak bańka mydlana w chwili, kiedy do pokoju wszedł Lansdale, a Disher zobaczył w jego ręku woreczek z dowodem rzeczowym.

W woreczku znajdował się krawat kapitana Stottlemeyera.

Disher zerwał się z krzesła i delikatnie wypchnął Lansdale'a z powrotem na korytarz.

- Co ty sobie wyobrażasz, wymachujesz dowodem w pokoju detektywów — fuknął na niego. — Chcesz, żeby wszyscy wiedzieli, co robimy?

- Niebawem i tak się dowiedzą — odpowiedział Lansdale. - Krawat znaleźliśmy prawie na dnie pojemnika na śmieci przed domem kapitana. Technicy twierdzą, że w stu procentach odpowiada włóknu, które zdjęli z szyi Braddocka, co więcej, na krawacie są ślady krwi.

Disher wyrwał Lansdalebwi woreczek z ręki i zajrzał do środka.

Trudno było zaprzeczyć. Krawat w stu procentach odpowiadał opisowi tego, jakim został uduszony Paul Braddock. Disher był więcej niż pewien, że test DNA bez problemu wykaże zgodność śladów krwi na krawacie z krwią Braddocka.

Gdyby podejrzanym był ktoś inny, nie kapitan Stottlemeyer, Disher nie wahałby się ani chwili, co dalej robić. Nie było już nad czym myśleć. Śledztwo dobiegło końca. Zabójca został zidentyfikowany.

- Wiem, że się przyjaźnicie. Jeśli ciężko ci zrobić to, co trzeba, mogę cię zastąpić - zaproponował Lansdale.

Disher rzucił mu wilcze spojrzenie, sięgnął do kieszeni i wyjął portfel.

- Idź na lunch do Sorrento's i zabierz stąd chłopa. Urzędników również. Chcę, żeby nikogo tu nie było. Ja stawiam.

Disher wręczył Lansdale'owi parę banknotów. Wymienili długie spojrzenia, a po chwili Lansdale oddał porucznikowi pieniądze.

- Nie. Ja stawiam - powiedział, minął Dishera i wszedł do pokoju detektywów.

Porucznik schował woreczek z dowodem rzeczowym za plecami, a parę chwil później Lansdale wyszedł z pokoju na czele kilkunastu ludzi, kierując się ku schodom.

Jeden z detektywów zawołał do Dishera:

- Hej, Lansdale zaprasza do Sorrento's, świętuje pierwszy tydzień w wydziale zabójstw, nie idziesz?

- Dołączę za kilka minut - rzucił porucznik.

Kiedy zniknęli, Disher wziął głęboki oddech i wszedł z powrotem do pokoju detektywów. Został tam tylko Stottlemeyer, który siedział wciąż w gabinecie. Kapitan przywołał ręką Dishera.

- Co to za okazja? - zapytał, kiedy porucznik wszedł do środka, trzymając ręce z tyłu.

- Pierwszy tydzień pracy Lansdale'a w wydziale zabójstw - odparł porucznik.

- Chyba jednak chodzi o coś więcej, skoro wszyscy poszli świętować — stwierdził Stottlemeyer. — Zamknęliście sprawę Braddocka?

Disher przytaknął.

- Tak jest.

- Wspaniała wiadomość, Randy — ucieszył się kapitan, wstając zza biurka. - Więc dlaczego masz taką ponurą minę?

- Muszę jeszcze dokonać aresztowania.  
- To przecież najlepsza część - powiedział Stottlemeyer.

- Nie tym razem - odparł Disher i pokazał kapitanowi woreczek z dowodem rzeczowym, który trzymał za plecami. - To narzędzie zbrodni.

- Wygląda jak mój krawat - stwierdził Stottlemeyer i obszedł biurko, by przyjrzeć mu się z bliska.

- To jest pański krawat.

- Nie sądzę, by podobało mi się to, dokąd zmierza nasza rozmowa - stwierdził kapitan.

- Ja wiem, że mi się nie podoba.

Stottlemeyer spojrział Disherowi w oczy, a potem zerknął ponad jego głowę na pusty pokój detektywów. Skojarzył fakty i zamrugał, czując emocje.

- Uważasz, że to ja zamordowałem Paula Braddocka?

- Nienawidził go pan. Mam na to dokumenty w teczce, którą mi pan wręczył.

- Braddock to brudny glina, Randy. Nienawidzę każdego gliniarza, który bije ludzi, fabrykuje dowody i czeka na łapówki.

- Ale ten brudny glina na oczach setek policjantów z całej Ameryki uraził pana ambicje - powiedział Disher. - Był pan wściekły. Wszyscy to wiedzą. Zaatakował pan nawet Braddocka na stypie. Ktoś powinien był pana powstrzymać.

Kapitan wziął głęboki oddech i podniósł dłonie w geście poddania.

- Przyznaję, straciłem nad sobą panowanie, ale między trzaśnięciem gościa w pysk a zabiciem go jest ogromna różnica.

- Braddock został uduszony tym krawatem w wieczór, w którym przebywał pan w hotelu. Krawat zna-

leżliśmy w pańskim pojemniku na śmieci. Sana nim ślady krwi Paula Braddocka. Obaj wiemy, że analiza to wykaże.

- Oczywiście, że to jego krew - powiedział Stottlemeyer. - Znalazła się na krawacie w czasie bójki na stypie. Dlatego po powrocie do domu wyrzuciłem krawat do śmieci. Jestem długoletnim detektywem wydziału zabójstw. Myślisz, że gdybym chciał się pozbyć narzędzia zbrodni, wyrzuciłbym je do własnego śmietnika?

- Może nie myślał pan racjonalnie. Wzburzenie tak dziają na ludzi.

- Teraz myślę racjonalnie i obiektywnie patrząc na twoje śledztwo, jako przełożony, muszę ci powiedzieć, że masz za mało dowodów, by zbudować oskarżenie. Masz jedynie mój krawat, a wyjaśniłem już, skąd się wzięły widoczne na nim ślady krwi. Poza tym, czego zresztą bardzo się wstydzę, mam wielu świadków, którzy potwierdzą tamten incydent - ciągnął Stottlemeyer. - Owszem, byłem tamtego wieczoru w hotelu, ale ani na chwilę nie ruszałem się z salki konferencyjnej na drugim piętrze i założyłem się, że nagrania z kamer przemysłowych potwierdzą moją wersję wydarzeń.

- Zapis kamery przemysłowych pokazuje jedynie, jak wchodzi pan do hotelu i jak z niego wychodzi. Na drugim piętrze nie ma kamer. Są za to w windach.

- Widziałeś mnie w windzie? Nie. Widziałeś mnie na schodach ewakuacyjnych? Nie.

- O godzinie dwudziestej drugiej piętnaście ktoś w uniformie halabardnika, zakrywającym twarz, wszedł do windy na drugim piętrze i wjechał na siódme — powiedział Disher. — Sądzymy, że morderca zdjął uniform, schował go na piętrze w komórce

gospodarce, przeszedł do pokoju Braddocka i dokonał zabójstwa.

- Mógł to być każdy z setek gości, którzy tego wieczoru przebywali w hotelu — powiedział Stottlemeyer. - Nie masz dowodu niezbicie wskazującego, że to ja znalazłem się w pokoju Braddocka.

- Na podłodze leżało rozбите szkło. Znalezione na nim odciski pańskich palców- powiedział porucznik.

- O! - Stottlemeyer był zaskoczony.

- Według naszej hipotezy powiedział pan Braddockowi, że przyszedł go pan przeprosić, wypiliście drinka, a kiedy Braddock był odwrócony, zaciągnął pan krawat na jego szyi i udusił. W szamotaninie stół przewrócił się na bok i zbiły się szklanki po drinkach. Wychodząc, zapomniał pan o tym.

Stottlemeyer pogładził wąsy.

- To chyba jasne, co się dzieje. Ktoś próbuje mnie zrobić.

- O tym nie ja będę decydował - powiedział Di-sher.

- Moja robota polega tylko na tym, by pójść tropem dowodów.

- Zapomnij na moment o dowodach. Przecież mnie znasz, Randy.

- Znałem do niedawna, kapitanie. Od paru tygodni jest pan inną osobą.

- Wystarczająco głupią, żeby zamordować własnym krawatem policjanta i zostawić na miejscu zbrodni szklankę z własnymi odciskami palców?

- Zwolnił pan z pracy Mońka.

- Co to ma wspólnego z tą sprawą?

- Według zastępcy komendanta, zależało panu na tym, aby Monk nie zajmował się dochodzeniem w sprawie Braddocka.

- Nie sądzisz, że wymyśliłbym coś znacznie spryt-

niejszego, gdybym rzeczywiście chciał zamordować Braddocka?

—Bardzo mi przykro, kapitanie - powiedział Disher łamiącym się głosem, próbując opanować drże nie rąk. - Jest pan aresztowany pod zarzutem za mordowanie Paula Braddocka.

- Popelniasz błąd, Randy.

—Mam taką nadzieję, kapitanie. - Porucznik po dał Stottlemeyerowi kajdanki. - Będzie pan łaskaw to założyć?

- Dlaczego sam mi ich nie założysz?

—Bo będę wymiotować.

Disher rzucił się półobrotem do kosza śmieci przy biurku i krztusząc się, włożył w niego niemal całą głowę. Pomiedzy kolejnymi sapnięciami usiłował odczytać kapitanowi jego prawa.

- Daj spokój - powiedział kapitan, zakuwając się w kajdanki. - Znam te prawa.

## Monk idzie do więzienia

Monk siedział przy stole w jadalni i pracował nad pozostałymi sprawami Intertectu, a ja próbowałam wyostrzyć swój instynkt detektywistyczny, zagłębiając się w lekturze kryminału *Napisala: Morderstwo*, który Monk kupił w księgarni.

Nie powiem, żebym nauczyła się z niej czegoś w kwestii metod śledczych, ale odkryłam jedno; z daleka powinnam omijać Cabot Cove. Ta miasteczko w Nowej Anglii jest bardziej niebezpieczne od Bejrutu, południowego Los Angeles i najciemniejszych zaułków Juarez razem wziętych. Cabot Cove ma prawdopodobnie najwyższą średnią morderstw per *capi-ta* na kuli ziemskiej. Choć prędzej czy później każdy zabójca zostaje ujęty przez Jessicę Fletcher, to mimo wszystko nie czułabym się tam bezpieczna. Dziwię się, że ten babsztyl porusza się po miasteczku nieuzbrojony.

Właśnie Jessica miała dowieść, że jej daleki krewny, młodszy o dwa pokolenia kuzyn drugiego stopnia, jest niewinny morderstwa, kiedy zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę.

- Muszę natychmiast zobaczyć się z Monkiem. -W słuchawce usłyszałam głos kapitana Stottleme-yera. - Czekam w sali widzeń w areszcie przy Siódmej Ulicy.



Zanim zdążyłam zapytać o szczegóły, kapitan się rozłączył. Doszłam do wniosku, że musiał nastąpić przełom w śledztwie w sprawie Peschela. Monk uważał tak samo.

W czasie drogi zastanawialiśmy się z Monkiem, jaką niespodziankę w areszcie ma dla nas kapitan. Stwierdziliśmy, że albo kogoś zatrzymał pod zarzutem morderstwa, albo znalazł za kratkami kogoś, kto ma do przekazania kluczową informację w sprawie zabójstwa. Jaki inny mógłby być powód tego, żeby się spotykać w areszcie? Monk zasugerował nawet, że być może wdzięczny mu Salvatore Lucarelli zaproponował wymianę informacji za złagodzenie wyroku.

Weszliśmy więc do budynku aresztu bardzo podekscytowani, w przekonaniu, że czeka nas tu dobra wiadomość. Poprowadzono nas do tej samej sali, w której parę dni temu widzieliśmy się z Lucarellim, więc tym bardziej spodziewałam się zobaczyć w niej znanego gangstera.

Jak sądzę, zapewne dlatego, kiedy zobaczyłam mężczyznę w więziennym kombinezonie, w pierwszej chwili pomyślałam, że to właśnie Lucarelli. A może mój rozum nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co przekazywały mu moje oczy.

W każdym razie przed nami siedział nie mafioso, lecz kapitan Stottlemeyer. Tyle tylko, że nie był przykuty łańcuchami do podłogi.

Monk jęknął cicho.

- Leland? Co się stało?

Rzadko kiedy słyszałam, żeby Monk zwracał się do kapitana po imieniu. Ale to nie była normalna sytuacja.

- Zostałem zatrzymany pod zarzutem morderstwa.

- Kogo zabiłeś? - zapytał Monk.

- Nikogo - odparł kapitan. - Jak możesz pomyśleć, że kogoś zamordowałem?

- Bo siedzisz za kratkami pod zarzutem morderstwa.

- To nie znaczy, że jestem winny.

- Policjanci nie wsadzają do aresztu niewinnych ludzi - stwierdził Monk. - Są bardzo dobrzy w swoim fachu.

- W normalnych warunkach byłbym ci wdzięczny za ten wyraz zaufania, ale ponieważ siedzę tu z powodu zbrodni, której nie popełniłem, będziesz musiał mi wybaczyć, jeśli się z tobą nie zgodzę.

- Kto został zamordowany? - zapytałam.

- Paul Braddock.

- W jaki sposób? — dopytywał się Monk.

- Został uduszony w swoim pokoju hotelowym.

- Kiedy?

- Wieczorem tego samego dnia, kiedy odbyła się stypa.

- Na której go pobiliś?

- Tak.

- Po tym, jak upokorzył pana publicznie przed setkami detektywów z całego kraju - dodałam.

- Tak - powtórzył Stottlemeyer.

- Więc policja ma przeciwko tobie tylko tyle, że znalazła najmocniejszy motyw zabójstwa, o jakim słyszałem w ciągu wielu lat mojej pracy przy śledztwach w sprawie morderstw — stwierdził Monk. — To nie tak źle.

Monk wcale nie mówił tego z ironią. Nie umiał być ironiczny. Myślę, że próbował po prostu - na swój mało przekonujący, słodki sposób - dodać otuchy kapitanowi. Ale poniósł sromotną porażkę.

Stottlemeyer chrząknął.

- Poza tym w czasie, kiedy dokonano morderstwa, akurat przebywałem w hotelu.

Monk przytaknął.

- I to wszystko?

- Ofiara została uduszona dokładnie takim samym krawatem, jaki miałem tego dnia na sobie.

Monk przytaknął.

- Tylko tyle?

- Na rozbitej szklance w pokoju Braddocka znaleziono moje odciski palców.

Monk znowu przytaknął.

- Jeszcze coś?

- W moim pojemniku na śmieci znaleźli mój krawat ze śladami krwi Braddocka.

Monk zaczął nieprzerwanie przytakiwać.

- Tylko tyle? Nie mają nic więcej?

- Poza tym zwolniłem ciebie krótko przed zabójstwem Braddocka, co znaczy tyle, że jedyny detektyw w San Francisco, który nie ma na koncie nierozwiązanych spraw o morderstwo, nie mógł się zająć tą sprawą.

Monk nie przestawał przytakiwać. Przytakiwał z taką energią, że bałam się, iż dostanie wstrząsu mózgu, złapałam go więc za głowę i przytrzymałam z całej siły. Mimo to próbował dalej przytakiwać.

- Może pan przestać przytakiwać, panie Monk. Kapitan skończył już wymieniać wszystkie dowody przeciwko sobie - powiedziałam, zerkając na Stottlemeyera. - Prawda, panie kapitanie?

Teraz przytaknął Stottlemeyer.

Monk wziął głęboki wdech i wolno wypuścił z płuc powietrze, dając mi znak, że jest zupełnie spokojny. Nie walczył już z moim uchwytem, więc puściłam jego głowę i więcej nią nie poruszał.

- Cóż, w takim razie... - zaczął Monk. - Dlaczego go zabiłeś?

- Nie zabiłem go - oświadczył Stottlemeyer. - Dlatego prosiłem, żebyś przyjechał. Ktoś mnie wra-bia i jesteś jedynym człowiekiem, który może to udowodnić.

- Randy pewnie wypruwa sobie żyły, żeby pana oczyścić, prawda? - zapytałam.

- Jak myślisz, kto zebrał materiał dowodowy, żeby postawić mi zarzut? - kapitan odpowiedział mi pytaniem.

- Randy uważa, że jestem winny.

- Jak może?! — oburzyłam się.

- Tylko dlatego, że kapitan miał niewiarygodnie silny motyw i wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu - stwierdził Monk. — Poza tym porucznik Disher nic nie ma.

- Bardzo pocieszające — mruknął Stottlemeyer. — Pomożesz mi czy nie?

- Oczywiście, że pomogę - zapewnił go Monk.

- Ja też - dodałam zaraz.

Kapitan się uśmiechnął.

- W takim razie wiem już, że wszystko się dobrze skończy.

- Mam nadzieję, że znajdzie sobie dobrego adwokata - powiedział Monk, kiedy opuściliśmy areszt i szliśmy w stronę lexusa zaparkowanego przy parkometrze na Siódmej Ulicy.

- Myśli pan, że będzie mu potrzebny adwokat?

- Być może dobremu adwokatowi uda się wynegocjować jakąś ugodę i uzyskać dla kapitana wyrok troszkę mniejszy niż dożywocie.

Monk dotykał palcem każdego kolejnego parko-

metru, który mijaliśmy. Był to jego stary nawyk, którego nigdy nie umiałam zrozumieć.

- To nie będzie konieczne. Sprawa nigdy nie zajdzie tak daleko - powiedziałam. - Zanim dojdzie do procesu, udowodni pan, że kapitan Stottlemeyer jest niewinny.

- Co cię skłania do takiego myślenia?

- Przecież przed chwilą sam mu to pan powiedział.

- Powiedziałem, że pomogę - przyznał Monk. - Jeszcze dzisiaj zaczniemy szukać dobrego adwokata od spraw kryminalnych.

- Nie będzie pan prowadził dochodzenia, aby dowieść niewinności kapitana?

- Żartujesz? — powiedział Monk. — Przecież on to zrobił.

- Jak pan może mówić coś takiego?

- Och, sam nie wiem. Może dlatego, że on to zrobił.

- Zna pan kapitana Stottlemeyera lepiej ode mnie - stwierdziłam. - Ten człowiek nie mógłby nikogo zamordować.

- Do dzisiaj. Słyszałaś, ile mają przeciwko niemu dowodów?

- Dowody nie obchodziłyby mnie, nawet gdyby przyłapano kapitana na gorącym uczynku, gdy zaciska krawat na szyi Braddocka.

- Przyłapali go na gorącym uczynku?

- Nie - odparłam przez zaciśnięte zęby, powstrzymując głupi odruch, by pacnąć go przez głowę.

- Jesteś pewna? Powinniśmy to jeszcze raz sprawdzić, bo to jedyna rzecz, której nie mają przeciw kapitanowi.

- Jeśli Leland Stottlemeyer mówi, że jest niewin-

ny, to znaczy, że jest niewinny - oświadczyłam. - Pan też nie powinien mieć wątpliwości.

Pojechaliśmy prosto na komendę, żeby zamienić parę słów z tym łajdakiem Disherelem.

Zastaliśmy go w momencie, kiedy wnosił jakieś pudło do gabinetu kapitana, doszczętnie ogołoconego z rzeczy osobistych i teczek służbowych Stottle-meyera.

Porucznik postawił pudło na pustym biurku i spojrzał na nas ponurym wzrokiem.

—Wiem, że dzwonił do was kapitan. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli usłyszycie złą wiadomość bezpośrednio od niego, a nie ode mnie.

—Powinam ci przyłożyć — powiedziałam krótko.

—To byłaby napaść na funkcjonariusza policji na służbie - powiedział Monk. - To wykroczenie wobec prawa karnego.

—Świetnie, w takim razie powinnam mu przyłożyć - stwierdziłam. —Aresztowanie przyjaciół sprawia przecież porucznikowi Disherowi przyjemność.

—Nie jestem już porucznikiem — wymamrotał pod nosem Disher. - Jestem p.o. kapitan Disher.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że pudło, które Randy wniósł do gabinetu kapitana, wypełnione było rzeczami z jego biurka. Poczułam, jak do twarzy napływa mi gorąca fala gniewu.

—Więc o to chodzi. Dla awansu zaprzedałeś kapitana — wyszczałam. - Niewiele czasu zajęło ci wyrzucenie z gabinetu jego rzeczy i wniesienie własnych.

—To tymczasowy awans. Nie miałem pojęcia, że zastępca komendanta wyda taką dyspozycję - odpo-

wiedział Disher. - Natomiast gabinet wysprzątała agenci służby wewnętrznej, a nie ja.

- Nie najlepiej wywiązali się ze swojego obowiązku - wtrącił się Monk. - Półki są zakurzone. Jeśli dasz mi lizol, ścierkę i parę gumowych rękawiczek, to zaraz się tym zajmę.

Wymierzyłam w Mońka wyprostowany palec.

- Niech się pan nie waży, bo złamię panu rękę jak chińską pałeczkę. - Monk wzdrygnął się nerwowo, a ja spojrzałam na Dishera. - Dlaczego służby wewnętrzne zabrały rzeczy kapitana?

- W takich sytuacjach to standardowa procedura operacyjna. Szukają dowodów innych przestępstw, których kapitan mógł się dopuścić - wyjaśnił.

- Innych przestępstw?! - Potem pamiętałam już tylko tyle, jak moja dłoń zmierza w kierunku twarzy Dishera.

Porucznik nie podniósł ręki, aby się zasłonić, ani nie zrobił uniku. Zanim jednak moja otwarta dłoń zetknęła się z chłopięcym policzkiem Randy'ego, Monk złapał moją rękę i przytrzymał ją mocno za moimi plecami.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał.

Wydawało się, że jest szczerze przejęty.

- W porządku, panie Monk. Niech Natalie mnie uderzy. Zasłużyłem sobie.

- Disher ma rację. Niech mnie pan puści.

- Porucznik Disher wykonywał jedynie swoje obowiązki - pouczył mnie Monk.

- P.o. kapitan Disher - poprawił go Randy.

Spróbowałam spoliczkować Dishera wolną dłonią, ale ponieważ Monk przytrzymał mi wciąż drugą rękę, nie mogłam złapać równowagi i mój cios minimalnie chybił celu. Disher musiałby się troszkę

pochylić, żebym go trafiła. Stwierdziłam, że jednak nie zależało mu na karze aż tak bardzo, jak przed chwilą zapewniał.

—Wiem, że zdradziłem kapitana - przyznał Di-sher. - Ale szedłem tropem zebranych dowodów. Nie miałem wyboru, musiałem go aresztować. Jedyłą moją nadzieją, i jego, pozostaje to, że uda się panu udowodnić, iż kapitan jest niewinny.

—Ty powinienes się tym zająć - zakipiałam ze wściekłości.

Dziw brał, że nie toczyłam jeszcze piany z ust.

—Pomogę wam, na ile tylko będę mógł, ale wy łącznie nieoficjalnie - obiecał Dishher. - Wyjdę teraz zrobić sobie kawę. Podczas mojej nieobecności ab solutnie nie wolno czytać akt w tym pudle na biurku, ponieważ znajduje się w nim cała dokumentacja sprawy Braddocka, raporty medycyny sądowej, zeznania świadków i zdjęcia z miejsca popełnienia przestępstwa. Czy to jasne?

Mrugnął do nas w znaczący, przesadnie znaczący sposób.

—Jasne — odpowiedział Monk.

Disher kiwnął głową, zaciągnął wszystkie żaluzje w gabinecie i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Zostaliśmy sami i nikt nie mógł nas widzieć. Dopiero teraz Monk puścił moją rękę, a ja odskoczyłam od niego jak oparzona.

—Masz jakieś damskie problemy? - zapytał.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

—Pyta pan, czy mam okres? - zapytałam.

—Pssst! — Monk zaczął zapamiętane wymachiwać rękami. - Nie ma powodu, żebyś zaraz zaczęła się wysławiać jak marynarz.

—Chętnie kiedyś poznam tego pańskiego paskud-



nego marynarza - powiedziałam. - Nie, panie Monk, nie mam menstruacji.

- Pssst! - Znowu zamachał rękami. - Najpierw uciekasz się do przemocy, a potem używasz rynsztokowego słownictwa. Co się z tobą dzieje?

- Mój przyjaciel został aresztowany pod zarzutem morderstwa, którego nie popełnił. To się ze mną dzieje, panie Monk, i z panem też powinno się coś dziać.

Sięgnęłam do pudła i wyciągnęłam teczkę z aktami sprawy Braddocka. Monk usiłował mi ją wyrwać, ale nie puściłam jej i odsunęłam się od niego.

- Zwariowałaś? P.o. kapitan Disher powiedział, że absolutnie nie wolno nam czytać dokumentacji w tym pudle.

- Chciał nam właśnie dać do zrozumienia, żebyśmy je przeczytali - powiedziałam, rozkładając na pustym biurku zdjęcia z miejsca zbrodni.

- Zwrot „absolutnie nie wolno” ma przeciwstawne znaczenie. - Monk zgarnął z powrotem zdjęcie po zdjęciu.

- Ale on miał na myśli przeciwstawne znaczenie przeciwstawnego znaczenia - stwierdziłam, wykładając na biurko raporty medycyny sądowej i zdjęcia dowodów rzeczowych. - Chciał powiedzieć tyle, że wprawdzie nie wolno nam przeglądać dokumentacji, ale on pozwala nam ją przejrzeć.

- Jeśli tyle chciał powiedzieć, to dlaczego nie powiedział wprost, lecz użył zwrotu „absolutnie nie wolno”? — zapytał, ponownie zbierając rzeczy z blatu biurka.

- Asekurował swój tyłek - stwierdziłam, wyciągając je. — Dał nam tylko do zrozumienia, że jeśli ktoś nas przyłapie na czytaniu dokumentów, to on o niczym nie wie.

—I wszystko to powiedział, mówiąc, że „absolutnie nie wolno” nam czytać tej dokumentacji?

—Tak - odpowiedziałam, rzucając na biurko opróżnioną teczkę. — Dlatego znacząco do nas mrugnął.

—Prawdopodobnie jakiś pyłek wpadł mu do oka. - Monk zgarnął wszystkie raporty i fotografie, włożył je z powrotem do teczki, a teczkę do pudła. — „Absolutnie nie wolno” znaczy „absolutnie nie wolno”.

Znaczy czy nie znaczy, dobrze wiedziałam, że Monk zdążył zobaczyć wszystkie zdjęcia i czy mu się to podoba czy nie, podświadomie utrwalił sobie w głowie każdy ważny szczegół. Na to nie mógł nic poradzić.

—Cóż, skoro pan tak twierdzi - rzuciłam. - Jak się panu podoba pomysł złożenia wizyty na miejscu zbrodni?

—Ambiwalentnie — odpowiedział.

## Monk i nieparzyste piętro

Podeszłam do recepcji w hotelu Dorchester i powiedziałam, że chciałabym wynająć pokój. Wątpiłam, by pozwolono nam tak po prostu rozejrzeć się po hotelu, bo byliśmy tylko prywatnymi detektywami, a nigdy nie miałam talentu do przekupywania ludzi. Poza tym mogłam się posłużyć kartą kredytową Slade'a.

- Oczywiście - odpowiedział recepcjonista, młody, schludny i równo uczesany, z dwoma rzędami tak pięknych, błyszczących, białych zębów, że mógłby pracować w Disneylandzie. - Jak długo pani zostanie?

Zerknęłam przez ramię na Mońka, który zajęty był ustawianiem walizek przy wejściu w kolejności od najmniejszej do największej, a potem spojrzałam z powrotem na recepcjonistę.

- Na jedną noc. Chciałabym pokój siedemset trzy naście.

Recepcjonista chrząknął niepewnie, mocno zakłopotany.

- Może wolałaby pani wynająć inny pokój? - zapytał.

- Ten jest zajęty?

- Nie... - Recepcjonista znowu chrząknął parę razy.

- Więc w czym problem?

- Chodzi o to, że pewnego dżentelmena, który ostatnio tam nocował, spotkała... tragedia.

- Bardzo mi go żal, ale co to ma wspólnego ze mną?

- Nie chciałbym spać w pokoju, w którym ktoś stracił życie - powiedział niepewnie recepcjonista.

- Nikt pana o to nie prosi. Mam już towarzystwo.

Skinęłam głową w kierunku Mońka, który wciąż był zajęty ustawianiem walizek.

Mężczyzna oblał się rumieńcem wstydu.

- Ja tylko chciałem pomóc... To znaczy... chciałem zaproponować...

- Samego siebie?

- Nie, nie, ja... źle mnie pani zrozumiała... -jąkał się recepcjonista.

- Bardzo nam się śpieszy — przerwałam mu, podając z uśmiechem kartę kredytową Intertectu. — Mógłbyś podkręcić tempo, Romeo?

Szybciotko nas zameldował i wręczył mi kartę z elektronicznym kluczem do pokoju.

- Życzę przyjemnego pobytu.

- Na pewno będzie przyjemny.

Mrugnęłam do niego i wzięłam kartę. Dobrze się bawiłam, onieśmielając tego młodzieńca. Zresztą miło było wiedzieć, że w ogóle potrafię jeszcze kogoś onieśmielić.

Podeszłam do Mońka, który podziwiał walizki ustawione w idealnym szeregu od najmniejszej do największej, przypominając wskaźnik zasięgu sieci na ekranie telefonu komórkowego.

- Możemy iść - powiedziałam. - Pokój znajduje się na siódmym piętrze.

Doszłam do wniosku, że nieparzyste piętro to wystarczająco zła wiadomość dla Mońka. Nie było po-

wodu informować go w tej chwili, że numer pokoju, do którego mamy wejść, jest również nieparzysty.

- Nie mówiłaś wcześniej, że mamy wejść na siódme piętro - powiedział Monk.

- Tam znajduje się pokój Braddocka.

- Powinien był zamieszkać na czwartym albo szóstym piętrze. Lub na jakimś innym parzystym piętrze.

- Ale nie zamieszkał — uciełam.

- Nic dziwnego, że nie żyje - stwierdził Monk. — Na tych piętrach w ogóle nie powinni umieszczać pokojów. To nieodpowiedzialne, niebezpieczne, niemoralne i nienaturalne.

- To co mają robić? Zostawiać je puste?

- Tak. Przez wzgląd na dobro ludzkości. Dla Braddocka to musiało być nie do zniesienia. Niewykluczone, że sam się zabił.

- Uważa pan, że Braddock sam udusił się krawatem, ponieważ nie mógł wytrzymać kolejnej nocy w pokoju na nieparzystym piętrze?

- To jedyne logiczne wytłumaczenie. Kapitan powinien oprzeć na nim strategię obrony - przekonywał Monk.

Nie mogłam dalej słuchać podobnych bredni, więc ruszyłam do windy.

- Do zobaczenia na górze.

Wiedziałam, że Monk pójdzie schodami. Cierpiał na tak ciężką klaustrofobię, że nie jeździł windą. Ale gdybym nie czekała na niego na siódmym piętrze, żeby w razie potrzeby fizycznie wyciągnąć go z klatki schodowej, to możliwe, że w ogóle by tam nie dotarł.

Weszłam do windy, wjechałam na siódme piętro i przeszłam do pokoju siedemset trzystaście. W głębi korytarza jakaś pokojówka sprzątała jeden z po-

kojów. Drzwi były tam szeroko otwarte i zablokowane wózkiem ze sprzętem do sprzątania, szmatkami, przyborami toaletowymi i czystymi szklankami.

Otworzyłam pokój siedemset trzystaście i weszłam do środka.

Nie zauważyłam nic, co świadczyłoby o tym, że niedawno popełniono tu morderstwo. Stół stał prosto, szklanki były nowiutkie, a łóżko idealnie zaścielone. Wnętrze było świeże, czyste i pachnące środkami czyszczącymi.

Ale wiedziałam swoje.

Kilka miesięcy wcześniej, na miejscu przestępstwa w innym hotelu, Disher pokazał mi działanie urządzenia, które rzuca specjalny rodzaj światła, podświetlającego wszystkie plamy po płynach ustrojowych człowieka, zwykle niewidoczne gołym okiem. Omiótł wnętrze tym światłem i pokazał, że wszystko w pokoju zostało, w tym czy innym czasie, za-plamione płynami ustrojowymi - pościel na łóżku, wezglowie, ściany, sufit, blaty stołów, półki, lampy, a nawet pilot do telewizora.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, w jaki sposób niektóre plamy znalazły się tam, gdzie się znalazły. Już sam pilot do telewizora wyglądał tak, jakby maczano go we krwi, ślinie czy Bóg wie czym jeszcze. Od samego widoku robiło się niedobrze nawet komuś, kto nie przejawiał takiej mizofobii jak Monk. Od tamtego czasu nie potrafię wejść do pokoju hotelowego, nie wyobrażając sobie wszystkich śladów po płynach ustrojowych człowieka, o których wiedziałam, że na pewno są, choć w rzeczywistości nie mogłam ich widzieć.

Prawdopodobnie właśnie tak Monk widział cały świat. Jego oczy działały jak to urządzenie.

Podobnie zadziałały teraz moje oczy w pokoju Braddocka. Spojrzałam na pościel i w wyobraźni widziałam już ślinę, która musiała wyciec z rozwartych szeroko ust Braddocka, usiłującego złapać powietrze, którego już nigdy nie złapał.

Nie byłam pewna, co mogło nam dać przyprowadzenie Mońka do pokoju Braddocka, ale wydawało mi się, że przyjazd na miejsce zbrodni, nawet po wysprzątaniu, jest pierwszym logicznym krokiem na początku dochodzenia w sprawie morderstwa.

Wyszłam z pokoju, podeszłam do schodów ewakuacyjnych i otworzyłam drzwi na klatkę schodową w chwili, kiedy Monk, sapiąc ciężko, pokonywał z trudem parę ostatnich stopni.

—Powinien pan wreszcie spróbować przejechać się windą. Wcale nie jest tak źle - oświadczyłam.

—Nie jest źle, jeśli bawi cię bycie żywcem zakopany w trumnie, która jeździ — powiedział Monk, łapiąc oddech.

- To nie ma nic wspólnego z zakopywaniem żywcem.

- Mnie już zakopali żywcem. Dwukrotnie. Raz w trumnie, drugi raz w samochodzie. A ciebie?

—Ani razu — przyznałam.

W jednej chwili przed oczami stały mi tamte potworne zdarzenia. W obu przypadkach Monk był bliski zaduszenia się na śmierć.

- W takim razie, jak myślę, wiem nieco więcej o tym, jak może się czuć człowiek zakopany żywcem. Nie sądzisz?

Nie mogłam zaprzeczyć.

Poprowadziłam go korytarzem do pokoju. Monk zatrzymał się po drodze, by dokonać inspekcji

wózka pokojówki, a ja w tym czasie otworzyłam drzwi do pokoju, mając nadzieję, że nie zauważy numeru.

Pokojówka, pracująca w głębi pokoju przy zmianie pościeli, podniosła na Mońka podejrzliwy wzrok.

- Wykonuje pani boską pracę - powiedział do niej Monk. - Oddaję pani cześć za odwagę, męstwo i ofiarność.

Kobieta była zupełnie zdetonowana. Monk odwrócił się w moją stronę i stanął jak wryty.

- To pokój siedemset trzynastie - powiedział, udaremniając moją żalną próbę odwrócenia jego uwagi od numeru.

- Owszem. Ale tu doszło do morderstwa.

- Wcale mnie to nie dziwi — stwierdził Monk. — Nad pokojem wisi klątwa.

- Musi pan wejść.

- Stańd wszystko świetnie widzę - zapewnił, stając w progu.

- Braddock stał między łóżkiem a oknem — powiedziała. - Z miejsca, gdzie pan stoi, nie widać tego fragmentu podłogi.

- Nie muszę go widzieć.

Wychylił się do wnętrza, wykrzywiając całe ciało, aby zajrzeć do łazienki po lewej stronie.

Potem odwrócił się i spojrzał w głąb otwartego na oścież pokoju po drugiej stronie korytarza. Przechylił głowę i poruszył niezgrabnie ramionami.

Coś mu nie dawało spokoju. Cóż, oczywiście mnóstwo rzeczy nie dawało mu spokoju, jak choćby przebywanie na nieparzystym piętrze przed pokojem z nieparzystym numerem, wyklejonym kwiecistą tapetą, której wzory prawdopodobnie nie pasowały do siebie na łączeniach. Chodzi mi o to, że coś nie



dawało mu spokoju jeszcze bardziej niż te wszystkie inne rzeczy niedające mu spokoju.

Monk przyjrzał się uważnie szklankom na wózku pokojówki. Każda przykryta była małym papierowym wieczkiem, mającym oznaczać, że jest czysta. Monk wziął do ręki jedną ze szklanek i podniósł ją do światła.

- O co chodzi? - zapytałam, trzymając wciąż otwarte drzwi do pokoju.

- Zaszły plamki po wodzie - odparł. Zdjął papierowe wieczko ze szklanki, przełożył ją na niższą półeczkę, a wieczko wyrzucił do woreczka na śmieci przy wózku.

- To wszystko? Plamki po wodzie?

Monk wszedł do pokoju pod drugiej stronie korytarza, szybkoitko zajrzał do łazienki i zaraz do mnie wrócił. Pokojówka, która kończyła sianie łóżka, spoglądała nieufnie w naszą stronę.

- Jestem okropnym człowiekiem. Podłym i małym. Mniejszym niż małym — oświadczył.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Ponieważ nie wierzyłem kapitanowi Stottlemeyerowi.

- Teraz mu pan wierzy?

Monk przytaknął.

- Jest niewinny. Dowody są oczywiste.

- Znalazł pan dowód, nie przekraczając progu pokoju, w którym dokonano zabójstwa?

- Na wyposażeniu każdego pokoju hotelowego są cztery szklanki. Dwie stoją w łazience i dwie w pokoju na stoliku, po obu stronach dzbanka na lód. Wszystkie cztery szklanki są identyczne. Tymczasem na fotografii dołączonej do akt było widać, że w chwili, kiedy Paul Braddock został zamordowa-

ny, w jego pokoju znajdowało się pięć szklanek. Piąta leżała zbita na podłodze i właśnie na niej znaleziono odciski palców kapitana.

- Szklanę ktoś podrzucił - powiedziałam.

- Myślę, że była to szklanka, z której kapitan popijał wodę, kiedy uczestniczyliśmy w dyskusji panelowej w hotelu - mówił dalej Monk. - Ale niestety nie mogę tego udowodnić. Sytuacja kapitana nie jest ani trochę lepsza, niż była.

- Owszem jest.

- Nie wiem, w jaki sposób.

- Pan się zainteresował sprawą kapitana, panie Monk - orzekłam.

- Ale nie wiem, jakim tropem pójść i co dalej robić, aby udowodnić, że kapitan jest niewinny.

- Coś pan wymyśli. Wierzę w pana. Kapitan Stottlemeyer również w pana wierzy - zapewniłam go.

Byłam taka wdzięczna, że Monk przyjął do wiadomości brak winy kapitana, że nie pojechałam windą na parter, lecz zesłam razem z nim schodami.

Kiedy weszliśmy do głównego holu, pierwszą osobą, którą zobaczyłam, był Nicholas Slade. Wchodził właśnie do hotelu, a z wyrazu jego twarzy mogłam wnosić, że znalazł się tutaj nieprzypadkowo.

Ruszył prosto w naszym kierunku.

- Musimy porozmawiać - powiedział krótko.

Jeśli ktoś mówi do ciebie „musimy porozmawiać”, w rzeczywistości oznacza to tyle, że z jakiegoś powodu ma ochotę rozerwać cię na strzępy. Pozostają wtedy dwa wyjścia: albo przygotować się na ostrą połajankę, albo zwiewać gdzie pieprz rośnie.

Mój instynkt, niewątpliwie nabyty w dzieciństwie, kiedy mój tato używał dokładnie tych samych słów, widząc, że coś przeskrobałam (tyle że na końcu do-

dawał: „moja panno”), kazał mi uciekać. Ale udało mi się powstrzymać ten odruch.

- Skąd pan wiedział, że tu jesteśmy? - zapytałam.
- Jestem wielkim detektywem — odparł Slade.
- Pan Monk jest wielkim detektywem - sprostowałam. — Pan jest najwyżej bardzo dobrym detektywem.

Może to mało roztropne obrażać dwuznacznym komplementem szefa, który jest na ciebie wściekły, ale zuchwalstwo to moja naturalna reakcja, kiedy się o coś martwię lub czegoś boję. Tym razem bałam się, że moje wspaniałe ubezpieczenie zdrowotne i służbowy samochód znikną z mojego życia jak kamfora, zanim zdążę się nimi nacieszyć.

- Wiem, co się przydarzyło Lelandowi, i wiem, że pojechaliście się z nim zobaczyć. Gdybym próbował udowodnić, że Leland jest niewinny, to miejsce popełnienia przestępstwa byłoby pierwszym, które chciałbym zobaczyć - mówił Slade; jeden zero dla mnie i mojego detektywistycznego instynktu. — Poza tym do wynajęcia hotelowego pokoju użyłaś naszej służbowej karty kredytowej.

- Siedzi pan w czasie rzeczywistym transakcje na naszych kartach kredytowych? - zapytałam. -To mi przypomina Orwellowski świat.

- W istocie rzeczy nie naruszam twojej prywatności, skoro karta, której używasz, należy do mnie. Ale przyznam, że nie musiałem sobie zawracać tym wszystkim głowy. Intertect ochrania hotel. Po prostu zatelefonowano do mnie z wiadomością, że tu jesteście.

- Och - powiedziałam.
- Och - powtórzył. - Gdybyś zadzwoniła do mnie

i uprzedziła, że chcecie się tu wybrać, zaoszczędziłabyś firmie dwustu pięćdziesięciu dolarów.

- O to jest pan zły? O pieniądze? - zapytałam.

- Nie jestem zły - odparł Slade. - Jestem zdziwiony i rozczarowany. Najpierw słyszę, że panu Mon-kowi jest potrzebny odpoczynek...

- Niepotrzebny mi żaden odpoczynek — wtrącił się Monk.

- .. więc dałem mu wolne, a teraz dowiaduję się, że czas wolny spędza na śledztwie w sprawie śmierci Billa Peschela.

- Morderstwa - poprawił go Monk.

- Nikt nas do tej sprawy nie wynajął - powiedział Nicholas Slade. - Pańska stawka wynosi trzysta dolarów za godzinę i dopóki ktoś nie podpisze z nami kontraktu i nie wręczy mi czeku, nie wolno panu trwonić w tej sprawie ani jednej minuty, swojej czy innych moich pracowników.

- Zarabiam trzysta dolarów za godzinę? - zdziwił się Monk.

- To nie wszystko. Leland prosił was o pomoc, a wy się zgodziliście, nie konsultując tej decyzji ze mną. Zapomniał pan już, panie Monk, dla kogo pan pracuje?

- Przyjacielowi muszę pomóc - odpowiedział Monk.

- To również mój przyjaciel - powiedział Slade.

- Kapitan jest niewinny, potrzebna mu pomoc pana Mońka, a wątpię, aby było go stać na opłacanie pańskich stawek - wtrąciłam się.

- Leland nie musi płacić - oświadczył Slade. - Pomożemy mu za darmo. To będzie nasze *pro publi-co bono* w tym roku. Może się pan uważać za prowadzącego tę sprawę, panie Monk. Zasoby Inter-tectu pozostają do pańskiej dyspozycji. Ale proszę

mi obiecać, że przestanie się pan zajmować śmiercią Billa Peschela.

- Morderstwem.

- To nie jest nasza sprawa - mówił dalej Slade.

- Czy Bill nie był też pańskim przyjacielem? - zapytałam.

- Nie takim jak Leland. Nie był nawet bliskim znajomym. Dopóki nie zatrudnią nas Atwaterowie, policja w Mili Valley czy ktokolwiek, kto zaakceptuje nasz standardowy cennik, nie zamierzamy się angażować w śledztwo w sprawie Peschela.

- Niewiele się zajmowałem tym dochodzeniem - powiedział Monk. - Właściwie nic nie robiłem.

- Pojechał pan porozmawiać z Philem Atwaterem. To jest dochodzenie - stwierdził Slade.

Mógł odkryć, że pracujemy nad sprawą Billa Peschela przez inwigilację, którą zarządziła Danielle, i może również dlatego, że sprawdzała transakcje na kartach kredytowych Atwaterów. Jednak o wizycie u Phila Atwata mógł się dowiedzieć wyłącznie od Danielle. Zdradziła nas.

- Zajmując się tą sprawą nieodpłatnie - ciągnął Nicholas Slade - w zasadzie działa pan przeciwko Intertectowi. Zniechęca pan potencjalnych klientów do tego, aby nas wynajęli do wykonania tej pracy. To autodestrukcja. To niczym się nie różni od pańskich anonimowych telefonów na policję, kiedy wyrzucili pana na bruk.

- Pan wie o tych telefonach? - zdziwił się Monk

- Jestem wielkim detektywem. - Slade zerknął na mnie. — Poprawka, jestem bardzo dobrym detektywem.

- Nie rozumiem, po co wmawiają ludziom, że to anonimowa linia telefoniczna, skoro wcale nie

jest anonimowa — sarknął Monk. - Napiszę w tej sprawie stanowczy list protestacyjny do komendanta policji.

- Nie sądzę, aby byli z pana zadowoleni, kiedy go dostaną - uprzedziłam.

—Bez obaw - odpowiedział Monk. — Napiszę go anonimowo.

## Monk pod presją

Kapitan Stottlemeyer siedział naprzeciw nas w sali widzeń i wysłuchiwał w skupieniu hipotezy Mońka dotyczącej rozbitej szklanki. Jego cera miała chorowity, żółtawy odcień, podobnie jak u Lucarellego, gdy siedział tu parę dni temu dokładnie na tym samym krześle.

Być może taki efekt dawało mdlawe światło z energooszczędnych żarówek lub żółty kolor więziennego kombinezonu. A może to skutek uwięzienia w celi bez okien i wielogodzinnego dumania nad perspektywą spędzenia reszty życia za kratkami.

—Moja była żona nie chce, żeby dzieci się ze mną widywały, więc jedyna informacja o całej tej sprawie, jaka do nich dociera, pochodzi z tego, co wyczytają w Internecie lub zobaczą w telewizyjnych wiadomościach - skarżył się kapitan. — Ale wiecie, co jest najgorsze?

—Zapięcia na rzepy w twoim kombinezonie. To rażące naruszenie konwencji genewskiej - powiedział Monk.

—Kiedy zawierano konwencję genewską, nikt jeszcze nie słyszał o zapięciach na rzepy - stwierdziłam.

—Wyposażenie człowieka w kombinezon o trzech zapięciach na rzepy to okrutna i niehumanitarna kara - pomstował Monk. - Gdzie, u licha, jest czwarty

rzep? To bezlitosna, wymyślna tortura psychiczna. Nie pojmuję, jak możesz to wytrzymać, kapitanie.

- Najgorsze jest to, że w celi naprzeciwko mnie siedzi Salvatore Lucarelli i nieustannie muszę patrzeć na jego zarozumiały uśmiezek - wyznał kapitan.

- Myśli pan, że za wszystkim stoi Lucarelli? — zapytałam.

- To mógłby być każdy. W moim fachu człowiek czyni sobie wielu wrogów. Lucarelli to tylko jeden z nich.

- Przepraszam — powiedział Monk.

- Za co przepraszasz? - zapytał Stottlemeyer.

- To jest... To jest moja wina.

Zawsze można liczyć na to, że Monk w każdej sytuacji będzie widział przede wszystkim siebie. Nie w tym rzecz, że jest egoistą, ale w tym, że bardzo chce wierzyć, iż cały świat kręci się wokół niego. W jego rozumieniu tylko w taki sposób mógł wywierać na niego wpływ.

- Dlaczego to twoja wina? - zapytał Stottlemeyer.

- Gdybym był czujniej szy, mógłbym wszystko łatwo przewidzieć.

- W jaki sposób? Jesteś wróżką?

- Nie.

- Więc jak mógłbyś to przewidzieć?

- Taką pułapkę trzeba zbudować - odpowiedział Monk. — Budowa trwała wokół nas od dawna.

- To nie znaczy, że wszystko się działo na naszych oczach — stwierdził Stottlemeyer.

- Musiało - upierał się Monk. - Ktoś dostrzegł sposobność zastawienia na ciebie sidła i ją wykorzystał. Ten, kto to zrobił, wiedział, że miałeś motyw, aby zabić Braddocka.



- To było jasne dla każdego uczestnika panelu, dlatego zaraz po naszym wystąpieniu ktoś zabrał szklankę i zachował ją sobie na później - mówił Stottlemeyer. - Ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby zrobił to policjant.

- A któż inny? - zapytałam.

- W hotelu pracuje ogromny personel - powiedział Stottlemeyer. - Któraś z tych osób to może były skazany lub krewny kogoś aresztowanego przez Braddocka.

- To nie Braddock siedzi teraz za kratkami - zauważyłam.

- Myślę, że wcale nie chodzi tu o mnie - mówił dalej Stottlemeyer. - Ja jestem tylko kozłem ofiarnym. Moim zdaniem to nie przypadek, że Peschel i Braddock zostali zamordowani w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Braddock również dostawał cynki od Billa.

- Uważasz, że zabójcą jest ktoś, kogo Braddock wsadził za kratki na podstawie informacji otrzymanych od Billa Peschela? - zapytałam.

Stottlemeyer przytaknął.

- Znając Braddocka, najpierw spuścił mu małe manto.

- Gdzie mamy zacząć szukać? - zapytałam.

- Musicie przejrzeć rejestr zatrzymań dokonanych przez Braddocka w ostatnich dwóch latach jego pracy w policji San Francisco - powiedział Stottlemeyer. - Nie znajdziecie tam nazwiska Billa, bo oficjalnie nie składał nigdy zeznań, ale może będzie w aktach jakaś wzmianka, sugerująca, że Braddock działał na podstawie wiadomości od tajnego informatora.

- To może zająć tygodnie - powiedziałam. - Za-

kładając oczywiście, że uzyskamy dostęp do archiwów.

—Nick uzyska taki dostęp. Ma w departamencie mnóstwo różnego rodzaju źródeł, a ludzie gadają mu wszystko, choć nie powinni — mówił kapitan. — Ma też doskonale możliwości, jeśli tylko okaże dobrą wolę, aby sprawdzić pracowników hotelu Dorchester.

—Na pewno to zrobi - powiedziałam.

—Ale co ja mam robić? - zapytał Monk.

—To, co umiesz najlepiej — odparł Stottlemeyer.

—Czyli co?

—Bądź sobą — poradził Stottlemeyer. — Jeśli są jakieś ślady, natychmiast je dostrzeżesz, jeżeli już ich nie widziałeś.

—Widziałem już ślady. Dlaczego więc nie widzę rozwiązania tej zagadki?

—Monk, ja nie pojmuję twojego sposobu myślenia. Kiedy próbuję go zrozumieć, zaraz zaczyna mnie boleć głowa. Ale wiem, że widzisz i słyszysz więcej, niż ci się wydaje - mówił Stottlemeyer. - Mam wrażenie, że wszystkie te szczegóły wirują ci w głowie jak milion pikseli, które niebawem mają się ułożyć w klarowny obraz.

Może parę tych pikseli było również w mojej głowie, skoro odczułam tamto dziwne łaskotanie w piersi, gdy uświadomiłam sobie dziesięć lat różnicy między zniknięciem Steve'a Wurzela a śmiercią Billa Peschela.

—Mam nadzieję, że się nie mylisz - powiedział Monk.

—Ja nie mam nadziei. Ja bardzo na to liczę — stwierdził Stottlemeyer.

—Wolałbym, żebyś nie liczył. Nie umiem pracować pod presją.

- Pomyśl o presji, pod którą ja się znalazłem - westchnął kapitan. — Mam na sobie kombinezon z trzema zapięciami na rzepy.

Monk wstał z krzesła.

- Masz rację. Co ja sobie myślałem? Żadnych cierpień nie można porównywać do piekielnej tortury, której ciebie poddano. Twoja udręka będzie moją udręką, dopóki nie skończy się ta ciężka próba ognia.

- Proszę, oto odpowiednia postawa - zakończył Stottlemeyer.

Wychodząc z aresztu, zadzwoniłam do Danielle i poprosiłam ją, żeby kazała paru agentom przejrzeć stare sprawy, w które mógłby być zamieszany Bill Peschel.

Danielle miała dla nas jakieś informacje na temat Wurzela, ale powiedziałam, żeby przekazała je nam dopiero w mieszkaniu Mońka. Miałam ochotę zrobić jej piekło, ale nie przez telefon i na pewno nie w siedzibie Intertectu.

Kiedy wróciliśmy, Monk natychmiast poszedł do łazienki, żeby umyć ręce. Danielle zjawiła się dwadzieścia pięć minut później, więc obliczyłam, że mamy jeszcze co najmniej pięć minut wyłącznie dla siebie, zanim Monk skończy myć ręce.

Miałam aż nadto czasu na to, by odciąć jej głowę i uroczyście jej ją wręczyć - mówiąc w przenośni, rzecz jasna.

- Musimy porozmawiać - oznajmiłam, powtarzając się jak echo po Siadzie i moim ojcu; zastanawiałam się, czy nie dodać „moja panno”, ale poczułabym się wtedy przy niej jeszcze bardziej staro. - Sądziłam, że dobrze się rozumiemy.

- Przecież nie przywiozłam panu Monkowi żadnych spraw - odpowiedziała Danielle, sztywniejac w postawie obronnej.

Spodziewała się ataku, więc będzie miała atak.

- Mówię o wzajemnym zaufaniu. Kiedy się poznałyśmy, powiedziałaś, że pracujesz przede wszystkim dla pana Mońka, a dopiero potem dla Nicka, i że nigdy nie będziemy musieli się martwić o twoją lojalność.

- To prawda - potwierdziła. - Mówiłam to zupełnie szczerze.

- Nie wystarczy mówić, Danielle. Za słowem muszą pójść czyny.

- Ale tak przecież postępuję - zarzekła się Danielle.

- W hotelu Dorchester natknęliśmy się na Nicka. Świetnie wiedział, że pan Monk i ja pojechaliśmy do Mili Valley porozmawiać z Philem Atwaterem - powiedziałaam. - Przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób, skąd mógł się o tym dowiedzieć.

Danielle rozluźniła się nagle i wyraźnie odetchnęła z ulgą, co nie było reakcją, której oczekiwałam.

- Ponieważ nic pani nie wie o lokalizatorze.

- O czym ty mówisz?

- Każdy samochód Intertectu jest wyposażony w urządzenie GPS - wyjaśniła. - Takie same, jakie duże firmy przewozowe instalują w swoich ciężarówkach, żeby na bieżąco i nieprzerwanie śledzić trasę ładunku.

Poczułam, że ciarki mi przeszły po plecach.

- Intertect inwigiluje własnych agentów?

Danielle potrząsnęła głową.

- Każdy agent wie, że w jego samochodzie znajdują się odbiorniki GPS. Nick mówi, że to dla naszego

własnego bezpieczeństwa. Wykonujemy niebezpieczną pracę. Jeśli ktoś wpadnie w kłopoty, Intertect zawsze może wysłać wsparcie w ostatnie zarejestrowane przez komputer miejsce, a jeśli ktoś zniknie z ekranu, można sprawdzić, gdzie był przez ostatnie parę tygodni, i odtworzyć każdy jego krok.

- Czy również nasze telefony są na podsłuchu? — zapytałam.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała Danielle. — Nie chodzi o inwigilowanie ludzi. Chodzi o ich bezpieczeństwo.

- Uhm... - mruknęłam. - Czy Intertect rejestruje też każde uderzenie na klawiaturze twojego komputera? — zapytałam.

- Tak. Ale to nie jest tak, jak pani myśli...

- Myślę tylko tyle, że nigdy nie skorzystam z komputera ani telefonu w Intertecie.

- Dla bezpieczeństwa pracowników firma stara się przedsięwziąć wszelkie środki i zagwarantować, że jeśli detektyw straci życie w czasie pracy, to śledztwo, które prowadził, nie umrze wraz z nim.

- To nieczułe — stwierdziłam.

- Po prostu pragmatyczne.

- Zatem Nick wie, gdzie byliśmy, i zna każdąkwerendę, którą dla nas wykonywałaś, tak?

- Nie wiem, czy zna, ale jeśli zechce, taka informacja będzie dla niego dostępna w komputerze. Czy istnieje powód, dla którego pani nie chce, aby Nick wiedział, czym się zajmujemy?

- Pan Monk i ja bardzo sobie cenimy naszą prywatność.

- W takim razie witam w cyfrowej epoce korporacyjnej Ameryki — powiedziała Danielle. — Jeśli chodzi o obserwowanie działań pracowników, Intertect

w niczym się nie różni od każdej innej dużej firmy w kraju.

—Masz prywatny komputer, który nie został ci dostarczony przez Intertect?

—Tak - odpowiedziała. - Mam własnego laptopa.

—Proszę, żebyś od tej chwili korzystała wyłącznie z niego w czasie pracy dla pana Mońka — powiedziałam. - Jeśli nadejdzie czas, aby Nick się dowiedział, czym się zajmujemy, sami mu powiemy.

Nie miałam ochoty pozbywać się lexusa tylko dlatego, że samochód sam mnie śledził. Ale wreszcie wiedziałam, co czuły wszystkie piękne radzieckie agentki i wysłanniczki Spektry, gdy przespały się z Jamesem Bondem.

- Zaufanie powinno działać w obie strony - stwierdziła Danielle. - Muszę wiedzieć, czy zakłada pani z góry, że was zdradziłam, czy też pozostawia sobie pani jakiś margines wątpliwości.

—Masz rację — odpowiedziałam. — Przepraszam. Wykonujesz kawał dobrej roboty. Pan Monk jest pod wrażeniem twojej pracy.

—A pani?

- Ja czuję się przy tobie nieprzydatna i stara - odpowiedziałam, nie myśląc wiele, zszokowana prawdziwością własnych słów.

- Pani żartuje?

- Chciałabym.

- To, co powiedziałam pani w Intertectcie, mówiłam jak najbardziej szczerze - przekonywała Danielle. — Tworzycie z panem Monkiem zgrany zespół. Pani nawet nie zdaje sobie sprawy, jakim jest doświadczoneym śledczym. Mogłaby pani stanąć do rywalizacji z każdym naszym agentem.

W tej chwili do pokoju wszedł Monk.

- Nie ma nic bardziej odświeżającego od umycia rąk, wyczyszczenia zębów, wypłukania dziurek w nosie, przemycia uszu i przepłukania oczu. Jestem gotowy zdobywać świat.

Dotąd miałam wrażenie, że Monk wyruszał zdobywać świat za każdym razem, kiedy wychodził za próg swojego mieszkania. Świat zwykle zwyciężał.

- Mam informację dotyczącą Lindy Wurzel, o którą prosiliście. — Danielle wręczyła mi jakąś fotografię.

- Co z firmą Dalberg Enterprises? - zapytałam, zerkając na zdjęcie.

Wurzel była wysoka i smukła, miała na sobie błękitne spodnie, które uwielbiały Hillary Clinton, i naszyjnik z wielkich pereł, przywodzący na myśl korale Wilmy Flintston. Jej nienaturalnie czujne oczy, ostra linia podbródka, wyrzeźbiony nos, rybie wargi, silna opalenizna i mocno ściągnięta skóra na czole mówiły mi, że pani Wurzel miała niejedno intymne spotkanie pod kwarcówką z panem Botoksem, panem Kolagenem i panem Skalpelem.

- Dalberg Enterprises to Linda Wurzel - odpowiedziała Danielle. - Dalberg to jej nazwisko panińskie. W branży nieruchomości działała, zanim jeszcze poznała męża, ale jego majątek pozwolił jej znacząco powiększyć portoflio posiadłości.

- Zatem to ona kupiła budynek z tawerną Biła Peschela, a nie jej mąż.

- Tak - przytaknęła Danielle. - Choć nie wiem, na ile jej mąż angażował się po ślubie w inwestycje żony na rynku nieruchomości. Być może gwarantował jej coś więcej niż tylko pieniądze. Od śmierci męża Linda Wurzel zasiada w radzie nadzorczej In-TouchSpace i poświęca swoje zainteresowanie, jak

i okazałe sumy pieniędzy, różnym organizacjom filantropijnym i fundacjom na rzecz sztuki.

- Gdzie można znaleźć panią Wurzel? — zapytałam.

- Slade kazał nam obiecać, że nie będziemy się zajmować sprawą Billa Peschela - przypomniał Monk.

- Prosił nas o to — uściśliłam. — Nic mu nie obiecałyśmy. Zresztą tu wcale nie chodzi o sprawę Peschela, lecz o morderstwo Paula Braddocka.

- Nie widzę związku — zdziwił się Monk.

- Obaj są martwi, kapitan Stottlemeyer siedzi w areszcie, a ja miałam dziwne łaskotanie w piersi - stwierdziłam i odwróciłam się do Danielle. — Więc gdzie znajdziemy Lindę Wurzel?

- Jej biuro znajduje się w śródmieściu, a rezydencja mieszkalna w Sea Cliff — wyjaśniła Danielle. — Trzy razy w tygodniu ma stałe wizyty u JoAnne's. Właśnie dzisiaj u niej jest.

- To jej psychiatra? - zainteresował się Monk.

- Jej stylistka - wyjaśniła Danielle. - Prowadzi modny i bardzo ekskluzywny salon piękności w Chinatown.

- Pomyślałabym, że to ostatnia dzielnica w mieście, w której ktoś z mieszkańców chciałby sobie robić manicure i maseczkę.

Chinatown to historyczna dzielnica i bardzo popularna atrakcja turystyczna, pełna tanich sklepików z pamiątkami i wspaniałych restauracji, ale trudno powiedzieć, by służyła z wyznaczania trendów mody. W każdym razie tak mi się wydawało.

- Właśnie salon JoAnne's to miejsce, do którego się chodzi na najnowsze zabiegi pielęgnacyjne - mówiła Danielle. - Bywa tam cała śmietanka: celebrytki, dziedziczki wielkich fortun, panny z to-



warzystwa, a również wszystkie aktorki i modelki na północ od Los Angeles, na południe od Seattle i na zachód od Santa Fe.

- Jest taka dobra? - zapytałam.

- Tak twierdzą w czasopismach - odpowiedziała Danielle. - Szkoda, że mnie nie stać na ten salon. Masczka gejszy kosztuje od dwustu pięćdziesięciu dolarów w górę, a pedicure *garra rufa* równe dwieście.

Dzięki Bogu mam kartę kredytową Slade'a.

- Nagle poczułam potrzebę stania się piękną - powiedziałam. — A pan, panie Monk?

- Przecież dopiero co umyłem ręce, wyczyściłem zęby, wypłukałem dziurki w nosie, przemyłem uszy i przepłukałem oczy - powiedział Monk. - Nie bardzo widzę, co mogłoby być lepsze, jeśli nie liczyć splukania całego ciała wężem i poddania się dezynfekcji, dokonanej przez legitymujący się odpowiednim certyfikatem personel odkażania biologicznego.

- To niebawem pan zobaczy - odparłam.

## Monk i maseczka gejszy

Kiedy przyjeżdżają do mnie z wizytą przyjaciele spoza San Francisco, koniecznie chcą, żebym pokazała im Fisherman's Wharf i Chinatown.

Przystań Fisherman's Wharf zatraciła swój pierwotny urok i stała się dziś tandetnym centrum handlowym z portowym motywem przewodnim. Mimo wszystko zabieram ich tam, a swoje poświęcenie wynagradzam sobie bochenkiem gorącego chleba na zakwasie z piekarni Boudin, która zresztą również nie jest już zwykłą piekarnią jak dawniej. Idąc w ślady całej dzielnicy, stała się potężną atrakcją turystyczną — otworzyła dwie restauracje, sklepik z pamiątkami i organizuje wycieczki z przewodnikiem.

Koszmar.

Tymczasem Chinatown jest wciąż czymś bardzo autentycznym, odrębnym miastem w mieście. Żeby się tam wybrać, nie czekam na wizytę przyjaciół spoza miasta. To jedno z moich ulubionych miejsc w San Francisco.

Wiele ulic przecina Chinatown, ale wszyscy turyści rozpoczynają zwiedzanie od skrzyżowania ulic Grant i Bush, gdzie stoi trzyłukowa brama w stylu chińskiej pagody, ozdobiona stylizowanymi smokami, karpiami i lwami. To doskonałe miejsce na pa-

miątkowe zdjęcie, zresztą z taką myślą zbudowano je w 1970 roku. Wytacza ono wyraźną granicę między częścią handlową, skupioną wokół Union Square, a głównym traktem Chinatown.

Z tego właśnie powodu unikam bramy jak ognia i zazwyczaj wchodzę do chińskiej dzielnicy z przeciwnego końca ulicy Grant.

Na pierwszy rzut oka Chinatown w niczym nie przypomina Chin. To raczej amerykańska sceneria udekorowana chińskimi rekwizytami; taki miejski odpowiednik sali bankietowej hotelu Ramada Inn, przyozdobionej deskami do surfowania, hałdami morskiego piasku, muszelkami i fiolkami z olejkiem do opalania, z okazji imprezy pod hasłem „Plaża”. W Chinatown ulicami o amerykańskich nazwach, jak Stockton czy Sacramento, ciągną się rzędy czerwonych lampionów. Pagodowe gzymsy, zielone dachówki, wielokolorowe znaki chińskiego alfabetu przytwierdzone są do typowo edwardiańskich kamiennych elewacji lub betonowych ścian, które zobaczyć można na głównej ulicy każdego amerykańskiego miasta i miasteczka.

Mimo wszystko jest to miejsce autentyczne. Mieszka tu ponad dwadzieścia tysięcy Chińczyków i człowiek zawsze natknie się na coś rdzennie chińskiego, co przeniesie go jeśli nie do Chin, to w jakieś odległe, nieznanne miejsce, dalekie od tego, co swojskie.

Są tu latarnie uliczne zwieńczone lampionami w kształcie pagody, wspartymi dwoma bliźniaczymi smokami, których długie ogony owijają się wokół słupa aż do ziemi. Czegoś takiego nie ujrzycie przed domem na swojej ulicy. W witrynach delikatesów i sklepików mięsnych zobaczycie żółwie, kaczki, ośmiornice, świnię i węgorki gotowe do przyrzą-

dzenia i podania na stół. Tego też nie znajdziecie w najbliższym markecie.

Idąc ulicami, słyszycie nieustanną kakofonię chińskiego. Ludzie nawołują do siebie i głośno rozmawiają, w sklepach elektronicznych grają wideoklipy, a ze wszystkich sklepów, samochodów i otwartych okien w mieszkaniach rozbrzmiewa donośna muzyka.

Wyczujecie wszechobecną woń kadzideł, przemieszaną z kuszącym aromatem chińskich napojów i jedzenia - smażonego, grillowanego, gotowanego lub prażonego w niezliczonych piekarniach, restauracjach i herbaciarniach.

Chinatown to doświadczenie na wskroś zmysłowe.

Uwielbiam, kiedy porywa mnie tłum turystów płynący ulicą Grant i niesie swoim nurtem obok barwnych sklepików z pamiątkami, które wylewają się na chodniki jedwabnymi krawatami, posążkami Buddy, bambusowymi łapkami do drapania po plecach, młynkami modlitewnymi, pałeczkami do ryżu, porcelanowymi figurkami, masywnymi czajniczkami do herbaty, T-shirtami, ceramiką, sandałkami, dzwoneczkami wiatrowymi, pozytywkami, kuchennymi rękawicami i fartuchami, planszami do gry mah-jong, poduszeczkami z napisem „Halo, kotku” i podrabianymi torebkami Versace.

Monk oczywiście nie znosi Chinatown z wszystkich tych powodów, dla których ja to miejsce uwielbiam. Poraża go tamtejszy zamęt, dezorganizacja i brak symetrii. Dla niego to czysta anarchia.

Nie chcąc więc epatować go chaosem ulicy Grant, zaparkowałam na zachodnich peryferiach Chinatown, skąd jedną z mniej zatłoczonych i dekorowanych ulic przeszliśmy pieszo prosto do JoAnne's, niepozornego salonu za uliczną witryną, wciśnię-

tego pomiędzy restauracyjkę *dim sum* i zwykłą pralnię.

Nad wejściem znajdował się napis: JOANNE'S, pod którym widniała ta sama nazwa, jak się domyślałam, zapisana dużo większymi znakami alfabetu chińskiego. Okna zasłonięte były dekoracyjnymi kotarami z motywami pagód, wodospadów, smoków i karpia, zatem nie sposób było zajrzeć do wnętrza. W każdym razie z ulicy salon absolutnie nie wyglądał na epicentrum najszybkowniejszych zabiegów pielęgnacyjnych skóry i paznokci.

Otworzyłam drzwi i weszliśmy do środka.

Mając w pamięci fasadę, spodziewałam się tu zobaczyć obskurny, lokalny salonik manicure, pełen zgarbionych i pomarszczonych chińskich staruszek, siedzących na obdartych winylowych krzesłach.

W połowie miałam rację.

Istotnie były tu stare Chinki, ale były też kobiety w każdym innym wieku, innej rasy czy narodowości. Wszystkie miały na sobie frotowe szlafrociki i wszystkie siedziały na retrofuturystycznych fotelikach z czarnej skóry i chromu. Ich twarze pokrywały maseczki i kremy, a paznokcie u rąk polerowały, niczym sportowy samochód, smukłe, piękne, młode chińskie stylistki o niewiarygodnie gładkiej skórze i identycznych fryzurach, odziane w jednoczęściowe, białe, lekkie uniformy, powyżej pasa przypominające zapięty fartuch laboratoryjny, a poniżej spódniczkę mini.

Stylistki były do siebie tak podobne, że mogłyby być androidami odlanymi z jednej formy.

Wnętrze kojarzyło mi się bardziej z klubem nocnym niż salonem piękności. Podłogi wyłożone były czarnym marmurem, ściany błyszcząły bielą, fa-

listę kontuury zrobione były z nierdzewnej stali, a wszystko tonęło w zalewającym wnętrze błękitnym świetle, płynącym jakby z innego świata.

- Podoba mi się tutaj - oświadczył Monk.

Nie byłam tym zaskoczona. Wszystkie stylistki wyglądały identycznie, podobnie jak klientki w białych szlafrokach, z białymi maseczkami na twarzach. Wnętrze było jasne i czyste, a zalewające nas światło było niebieskie jak odświeżacz do muszli klozetowej.

W głębi salonu dostrzegłam Lindę Wurzel. Na szczęście jej twarzy nie pokrywała maseczka, bo w przeciwnym razie nie mogłabym jej tak łatwo z daleka rozpoznać. Miała na sobie szlafrok i siedziała na krześle przed stojącym na podłodze akwariem z wodą, głębokim zaledwie na wysokość kostek. Dopiero kiedy podeszliśmy bliżej, zauważyłam, że jej nogi znajdowały się w akwariu, a obok niej siedziało kilka innych pań, z których każda trzymała nogi w takim samym akwariu.

Wokół stóp Lindy Wurzel roilo się od dziesiątek małych rybek, które zdawały się na nich zerować.

- Dzień dobry. Pani Wurzel? - zagadnęłam kobietę. Podniosła na mnie te swoje nienaturalnie czujne oczy.

- Tak?

- Przepraszam, że przeszkadzam. Nazywam się Natalie Teeger, a to pan Adrian Monk.

Kobieta spojrzała na Mońka, który nie spuszczał oczu z jej stóp.

- Ten sławny detektyw? Ten, który rozwikłał niedawno zagadkę śmierci dwóch sędziów?

- Tak, ten — potwierdziłam.

- Pracujecie dla Nicholasa Slade'a - powiedziała pani Wurzel.

- Zna go pani?  
- Zetknęłam się z nim na zamkniętym turnieju golfowym InTouchSpace — odparła. - Był jednym z naszych pierwszych inwestorów. Co mogłabym dla państwa zrobić?

- Przede wszystkim mogłaby pani wyjąć nogi z akwarium - powiedział Monk.

- To nie akwarium — odpowiedziała pani Wu-rzel. - To pedicure. Rybki zjadają obumarłe tkanki naskórka na moich stopach.

- Piranie! — wrzasnął Monk.

Chwytał jej nogi pod kolanami i gwałtownie wyciągnął je z wody.

Krzesełko zachybotało się na tylnych nogach, ale na szczęście złapałam je w ostatniej chwili.

Zaskoczona Linda Wurzel krzyknęła i pacnęła Mońka po dłoniach, przyciągając uwagę wszystkich pań w salonie.

- Niechże mnie pan zostawi!

- Czy pani postradala zmysly? To szczescie, ze ma pani jeszcze nogi.

- Doceniam pańską troskę, panie Monk, ale to nie piranie, to rybki *garra rufa*, co znaczy „ryba lekarz” — wyjaśniła. - To nieszkodliwe karpiki.

- Nie mogą być nieszkodliwe, skorą objadają ludzkie nogi.

Musiałam w duchu przyznać, że trudno było się z nim nie zgodzić.

- Jedzą tylko martwą tkankę - powiedziała pani Wurzel i włożyła nogi z powrotem do wody, co wywołało u Mońka głucho jęknięcie, choć muszę powiedzieć, że ja również czułam się dość nieswojo. — To bezbolesny i naturalny pedicure stosowany od stuleci.

- Podobnie jak zaraza morowa, ale nikt nie wykorzystuje jej do walki z nadwagą - powiedział Monk.

Wurzel się roześmiała.

- To bardziej higieniczny pedicure od stosowanych w tradycyjnych salonach. Ale jestem pewna, że nie przyszedł pan tutaj, aby wybawić mnie od paru głodnych karpików.

Monk obrzucił rybki ostrożnym spojrzeniem, jakby spodziewał się, że lada moment obnażą swoją prawdziwą dziką naturę. Mnie także trudno było oderwać od nich oczy.

- Prowadzimy dochodzenie w sprawie oficera policji o nazwisku Paul Braddock - wyjaśniłam.

- Cóż to ma wspólnego ze mną? - zdziwiła się pani Wurzel.

- Wydaje nam się, że jego śmierć może mieć coś wspólnego z morderstwem Billa Peschela.

Kobieta pokręciła głową.

- Wciąż nie bardzo wiem, jak miałabym państwu pomóc. Nie znałam żadnego z tych panów.

- Dziesięć lat temu kupiła pani tawernę Peschela w Tenderloin - powiedziałam. — Dzisiaj w tym miejscu jest bar sieci Jamba Juice.

- Ach, tak. Teraz sobie przypominam budynek - powiedziała. — Proszę wybaczyć. Jestem właścicielką tyłu nieruchomości.

- Dlaczego kupiła pani właśnie tamtą? - zapytał Monk, nie spuszczać wzroku z rybek.

- Kupuję rozmaite nieruchomości w San Francisco, zwykle w okolicach, które w moim odczuciu prędkiej czy później staną się elegancką dzielnicą mieszkalną i handlową. Jak dotychczas, częściej miałam rację, niż jej nie miałam.



- Czy pani mąż bywał w tawernie Peschela lub coś go z nim łączyło? — zapytałam.

- Oczywiście, że nie. Skąd taki pomysł?

- Ponieważ inwestycje Peschela w InTouchSpace przyniosły mu fortunę.

- Podobnie jak setce innych osób.

- Ale pani kupiła właśnie jego budynek - powiedziałam.

- Nie rozumiem, do czego ta rozmowa ma prowadzić.

Prawdę mówiąc, ja też nie. Ale znowu poczułam to dziwne łaskotanie w piersi i nie wiedziałam dlaczego.

Podeszła do nas jakaś Chinka, niosąc miseczkę z białym kremem. Wyglądała na nieco starszą wersję androidów, które widzieliśmy zaraz po wejściu do salonu. Z pewnością był to model oryginalny.

- Dzień dobry państwu, jestem JoAnne - przedstawiła się. - Witam w moim salonie.

Nie myliłam się.

- Czy mogę? - zapytała JoAnne panią Wurzel.

- Bardzo proszę - odpowiedziała pani Wurzel, a JoAnne zaczęła nakładać jej krem na twarz. — Miała pani kiedyś maseczkę gejszy, panno Teeger?

- To maseczka nie na moją kieszeń - odrzekłam.

- To raj - powiedziała.

- Niedługo się pani w nim znajdzie, jeśli te stwory nadal będą się karmić pani nogami - powiedział Monk.

- W tym nie ma żadnego niebezpieczeństwa - zapewniła JoAnne. - Ten zabieg otrzymał certyfikat departamentu zdrowia. Jest całkowicie naturalny.

- Obskubywanie ludzkiego ciała przez sępy i larwy także jest naturalne - powiedział Monk. - Czy to będzie pani następny zabieg pielęgnacyjny?

Skinęłam ręką na biały krem.

- Dlaczego to się nazywa maseczka gejszy?  
- Ponieważ aktorzy i gejsze teatru kabuki używali kremu do usuwania makijażu i odświeżenia cery — mówiła JoAnne. - Również Chińczycy używają go od stuleci. Ja wykorzystuję miksturę opracowaną przez moją prapraprababcię.

- Jest w tej miksturze coś, czego nie ma w mojej tubce z Noxzemą?

- Zmielone guano słowika wymieszane z otrębami ryżowymi — wyjaśniła JoAnne.

Monk podniósł wzrok.

- Pani musi się mylić. Guano to...

- Ptasie odchody - przerwała mu. - Ta maseczka sporządzona została z odchodów słowika.

Monk zamarł, a jego twarz zrobiła się niemal równie biała jak twarz pani Wurzel.

- Kładzie pani na tę biedną kobietę lotne ekskrementy? - Spojrzał na Lindę Wurzel. - A pani na to pozwala?

- To cudowne uczucie.

- Guano zostało wysterylizowane światłem ultrafioletowym, aby zabić bakterie - wyjaśniła JoAnne.

- W takim stanie oczyszcza i odświeża cerę lepiej niż cokolwiek innego.

- Pani myje ludziom skórę fekaliami zamiast mydłem — stwierdził Monk.

- Nie ujęłabym tego w ten sposób, ale owszem, jest w tym trochę racji - powiedziała JoAnne.

Monk odwrócił się i spojrzał na pozostałe kobiety siedzące w salonie z maseczką na twarzy. Przelknął głośno ślinę.

- Przepraszam, ale muszę wyjść — powiedział wolno, cedząc każde słowo. - Natalie, mogłabyś mi użyczyć swojego telefonu komórkowego?

Podalam mu telefon, a Monk natychmiast zaczął wybierać jakiś numer, kierując się w stronę wyjścia. Zapewne dzwonił do doktora Bella, który dał mu numer swojego telefonu w nagłych wypadkach. W każdym razie doszłam do wniosku, że Monk wykazał się tu godną podziwu powściągliwością. Spodziewałam się, że rzuci się na JoAnne i zacznie jej wyrywać z rąk miseczkę z kremem.

JoAnne i Linda Wurzel odprowadzały go wzrokiem. Nawet nie zdawały sobie sprawy, ile miały szczęścia.

- W czym problem? - zapytała pani Wurzel.

- Pan Monk nie potrafi przyjąć do wiadomości, że nakładanie na twarz ptasich odchodów dobrze pani służy. To obraża jego wrażliwość - wyjaśniłam. — Muszę przyznać, że też patrzę na to sceptycznie.

- Szczęście, że nie powiedziałam mu o naszym zabiegu eksfoliacji za pomocą odchodów małych kociąt albo o egipskim peelingu - stwierdziła z uśmiechem JoAnne.

Mogłam się domyślać, czym mogła być eksfoliacja za pomocą odchodów kociąt, ale egipski peeling nic mi nie mówił.

- Z czym się podaje ten egipski peeling? - zapytałam. — Z moczem wielbłąda?

JoAnne roześmiała się głośno, a Linda Wurzel razem z nią. Dobrze było wiedzieć, że przynajmniej nikogo nie obraziłam.

- Krowia żółć, strusie jaja i żywica - wyjaśniła lakonicznie JoAnne.

- Chyba zostanie przy Noxzemie - powiedziałam i odwróciłam się do pani Wurzel. - Jeśli coś sobie pani przypomni w związku ze sprawą Billa Pesche-

ła lub Paula Braddocka, proszę dać nam znać do Intertextu.

Nie miałam wizytówki, aby jej wręczyć, ale doszłam do wniosku, że numer Intertextu musi być w książce telefonicznej.

- Na pewno zadzwonię - obiecała.

Wysłałam na zewnątrz i zobaczyłam, że Monk stoi po drugiej stronie ulicy. Doszłam do wniosku, że chciał zachować bezpieczną odległość od fekalio-wych maseczek i żarłocznych karpików.

Na mój widok pożegnał się ze swoim rozmówcą i oddał mi telefon.

- To komnata grozy - powiedział ponurym głosem.

- Nie zapłaciłabym dwustu dolarów za obłożenie mi twarzy ptasimi odchodami - powiedziałam. - Ale może to jest skuteczne. Gdyby tak nie było, kobiety by tutaj zewsząd nie ściągały.

- JoAnne musi wykorzystywać jakiś sposób na kontrolowanie umysłów — stwierdził Monk.

- To nie kontrola umysłów. To niepewność i bezradność kobiet. Chcą wyglądać młodo i pięknie tak długo, jak długo udaje im się pozbyć niedoskonałości i zmarszczek. Ja myślę podobnie. Chyba już się z tym urodziłyśmy.

- Te kobiety są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Musiałem użyć całej swojej siły woli, aby natychmiast nie interweniować.

- Dlaczego nic pan nie zrobił?

- Ponieważ to skrajnie niebezpieczna sytuacja. JoAnne i jej służki zła przykładają do skroni tych biednych kobiet naładowany i odbezpieczony pistolet. Nie chciałem wywoływać paniki. Musiałem zachować zimną krew.

—Cieszę się, że tak pan postąpił, panie Monk. Spokojna i pohamowana reakcja była w tej sytuacji najbardziej właściwym podejściem.

—Tak. Zostawiłem to profesjonalistom.

—Jakim profesjonalistom?

W tym momencie usłyszałam wycie syren. Parę sekund później stanęły przed nami wozy strażackie, w okamgnieniu wysypali się z nich strażacy w ochronnych kombinezonach i wbiegli do salonu piękności JoAnne's.

—Wezwał pan zespół odkażania biologicznego?! — Pytanie było retoryczne, bo zespół już działał wewnątrz salonu.

—I mnóstwo wsparcia - uzupełnił Monk.

—Wsparcia? Jakiego wsparcia?

Jeszcze nie wybrzmiało w moich ustach ostatnie słowo, a za wozami strażackimi zatrzymały się z piskiem opon dwa czarne vany pozbawione okien, z których wyskoczyło kilkudziesięciu rosyjskich facetów w pełnym rynsztunku antyterrorystycznym i z automatami gotowymi do strzału wzięło szturmem salon piękności.

—Co to za ludzie?

—Departament Bezpieczeństwa Krajowego.

Niebawem Linda Wurzel oraz pozostałe klientki we frotowych szlafrokach i białych maseczkach na twarzy zostały pod lufami wyprowadzone z salonu. Jakby tego wszystkiego było mało, nie wiadomo skąd zaczęły nadjeżdżać wozy transmisyjne lokalnych stacji telewizyjnych, nadając na żywo relację satelitarną.

Postanowiłam odciągnąć szybko Mońka, zanim zauważą go dziennikarze, policjanci albo Linda Wurzel.

- Dlaczego idziemy? - pytał Monk. - Chcę, żeby ta chińska kupkowa terrorystka wiedziała, kto ją pokonał.

—Nie sądzę, aby Nickowi Slade'owi spodobała się tego rodzaju reklama - powiedziałam.

—Dlaczego nie? Kto wie, ile ludzkich istnień dzisiaj ocaliliśmy.

- Ponieważ te panie mogą spojrzeć na tę sprawę z zupełnie innej strony i podać nas do sądu za umyślne i złośliwe narażenie ich na stres emocjonalny - powiedziałam, myśląc zwłaszcza o Lindzie Wurzel i jej pieniądzech. - Intertect mógłby się uwikłać w spór sądowy na następne dziesięć lat.

Nagle Monk zastygł. Odwróciłam się, żeby ciągnąć go dalej, kiedy dostrzegłam w jego oczach tę znajomą iskierkę, ten gapowaty uśmiech na ustach i to niezgrabne, wszystko mówiące poruszenie ramionami.

Rozwikłał naszą zagadkę.

## 26 Monk i

### łaskotanie

- Pan już wie, prawda? - zapytałam, gdy szliśmy do samochodu.

- Co wiem?

- Kto zabił Billa Peschela i Paula Braddocka i kto wrobił w morderstwo kapitana Stottlemeyera.

- Akurat tobie nie muszę tego mówić. Dzisiaj rano sama wszystkiego się domyśliłaś.

- Niczego się nie domyśliłam - odparłam ze zdziwieniem.

- Czulaś łaskotanie.

- Nie miałam pojęcia, co ono miało oznaczać.

- Owszem, miałaś - odparł Monk. - Dlatego tak się uparłaś, żeby porozmawiać z Lindą Wurzel. Ona jest kluczem do całej sprawy.

- Ona jest mordercą?

- Nie. Ale Linda Wurzel to samo zło.

Doszliśmy do samochodu, otworzyłam drzwi i weszliśmy do środka. Jednak nie ruszyliśmy, dopóki Monk mi wszystkiego nie wytłumaczył.

- Naprawdę mam nadzieję, że nie mówi pan tak tylko dlatego, że miała maseczkę z ptasich kupek i robiła sobie pedicure z rybkami.

- To wielka, wielka, wielka część prawdy - stwierdził. - Ponieważ jeśli człowiek widzi kogoś, kto myje się fekaliami i moczy nogi w wodzie, gdzie pływają

mięsożerne ryby, to znaczy, że znalazł się w piekle, a tym kimś jest sam szatan.

- To nadzwyczaj przekonujący argument. Ma pan jakiś inny trop, którego można by się uchwycić?

- Czegóż więcej trzeba?

- Och, nie wiem. Może przydałby się jakiś dowód?

- To wszystko, co mam. Reszty nie można udowodnić. Wurzel jest jedyną osobą, która może oczyścić kapitana z zarzutu morderstwa. Jest tylko jeden problem.

- Jaki?

- Nigdy tego nie zrobi.

Potałam nerwowo czoło. Czułam nadchodzący Monkowy ból głowy.

- Ale wie pan, że kapitan Stottlemeyer jest niewinny?

- Tak.

- I wie pan, kto zabił Billa Peschela i Paula Braddocka?

- Wiem - odpowiedział Monk. - Wiem także, kto zabił Steve'a Wurzela.

- Wurzel został zamordowany?

- Oczywiście. Przecież już o tym wiedziałaś.

- Ja?

- Bill Peschel sprzedał tawernę i przeszedł na emeryturę dziesięć lat temu, tuż po zniknięciu Steve'a Wurzela w drodze do Mendocino - mówił Monk. - Między jednym a drugim jest związek.

Poczułam, jak w piersi powraca łaskotanie, równie silne jak bicie mojego serca.

- Jaki?

- Wiesz jaki. Linda Wurzel - odpowiedział Monk. - Konkubina szatana. Ale to nie wszystko, co się wydarzyło dziesięć lat temu.



Laskotanie w piersi to były te trzy słowa: dziesięć lat temu.

Nagle poczułam te same dziwne, psychiczne i fizyczne dreszcze, których doznałam po spotkaniu z Philem Atwaterem. Mogłam niemal wyczuć, jak w moim mózgu rozpala się każda kolejna synapsa, jak tworzy nowe styki między komórkami, łącząc odległe fakty i zdarzenia, by stworzyć jedno, spójne zrozumienie całości.

Na krótką chwilę poznałam, jakie to uczucie być Adrianem Monkiem, poczuć, że cały świat jest zrównoważony, symetryczny i idealnie się wpasowuje w swoje naturalne miejsce.

To było piękne, to była rozkosz.

W tym błysku jasnego widzenia uświadomiłam sobie, jak to się stało, że o mały włos rozwikłałabym zagadkę przed Monkiem. Ponieważ znałam fakty, o których Monk dowiedział się dopiero po spotkaniu z Lindą Wurzel. Teraz, kiedy również je znał, odpowiedź pojawiła się w jego głowie niemal natychmiast.

- Nick Slade rzucił służbę w policji San Francisco dziesięć lat temu - powiedziałam. - Rozkręcił Intertect, korzystając z pieniędzy, które zarobił na inwestycji w InTouchSpace.

Monk od paru dni wiedział, że Slade odszedł z policji dziesięć lat temu, ale do chwili spotkania z Lindą Wurzel nie mógł wiedzieć, że detektyw stworzył Intertect dzięki środkom pozyskanym z inwestycji w spółkę InTouchSpace.

Ale ja wiedziałam.

W dniu, w którym Slade nas zatrudnił, Danielle powiedziała mi, że jako kapitału do uruchomienia swojej firmy Nick wykorzystał zyski z jakiejś inwe-

stycji, a później zobaczyłam w jego gabinecie kij golfowy z turnieju InTouchSpace. Po prostu nigdy nie połączyłam tych dwóch faktów. Monk zrobiłby to natychmiast, gdyby tam ze mną był albo gdybym miała dość oleju w głowie, żeby opowiedzieć mu w szczegółach wszystko, co widziałam.

Jednak teraz, kiedy wszystko wiedział, doszedł do tego samego nieuchronnego wniosku co ja.

—Steve'a Wurzela, Billa Peschela i Paula Bradocka zabił Nicholas Slade - powiedziałam. - Nie wiem tylko dlaczego.

- Owszem wiesz - stwierdził Monk. - Peschel powiedział to nam i prawdopodobnie również Bradockowi. Dlatego Slade musiał ich zabić i zrobić Stottlemeyera.

Monk nie musiał owijać wszystkiego w bawełnę. Mógł prosto z mostu powiedzieć mi, kto to zrobił i dlaczego. Ale nigdy tak nie postępował. Moim zdaniem Monk po prostu lubi się rozkoszować podsumowaniem całej historii i cieszyć każdym kolejnym elementem, który się wpasowuje w całość.

Tym razem jednak nie mogłam się pozbyć wrażenia, że robił to z innego powodu.

Robił to dla mnie.

W jakiś sposób wiedział, że jestem w stanie samodzielnie rozgryźć tę sprawę, i próbował mnie w tym kierunku delikatnie popychać. Był moim przewodnikiem i prowadził mnie tak, jak dobry i wyrozumiały nauczyciel prowadziłby obiecującego ucznia.

Być może był to z jego strony najbardziej uprzejmy i wrażliwy odruch sympatii, jaki wobec mnie okazał.

Spuściłam szybę w oknie, aby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, i zaczęłam się zastanawiać nad

wszystkim, co wiem o Billu Peschelu. Prowadził nędzną spelunkę w Tenderloin. Dorabiał sobie parę groszy jako policyjny informator, sprzedając informacje Stottlemeyerowi, Sladebwi i Braddockowi. Dziesięć lat temu sprzedał tawernę Lindzie Wurzel i przeszedł na emeryturę, żyjąc odtąd na wysokim poziomie dzięki inwestycji w InTouchSpace.

Kiedy odwiedziliśmy Billa Peschela, mieszkał w domu córki i cierpiał na starczą demencję. Wydawało mu się, że to ciągle czasy sprzed dziesięciu lat, że kuchnia to tawerna, a Stottlemeyer i Monk przyszli po informacje.

Oczywiście wszystkie informacje, które im podsuwał, miały dziesięć lat. Mówił coś o napadzie i kradzieży jakiejś biżuterii i jeszcze coś o jakiejś kobiecie, która...

Aha!

- Linda Wurzel poszła do tawerny znaleźć kogoś, kogo mogłaby wynająć do zabicia męża - mówiłam. — O tym, co się święci, Peschel poinformował Slade'a, który wówczas jeszcze pracował w policji. Slade, udając zawodowego zabójcę, spotkał się z Lindą Wurzel.

- Ale zamiast ją aresztować, co było jego świętym obowiązkiem, uznał, że interes jest zbyt intratny, aby dać mu umknąć — ciągnął Monk. - Gdzieś na szosie między San Francisco a Mendocino zepchnął Steve'a Wurzela z klifów.

- Myśli pan, że Peschel mu w tym pomógł?

Monk wzruszył ramionami.

- Pomógł czy nie, obaj otrzymali sowitą zapłatę. Linda obu wynagrodziła akcjami spółki InTouchSpace, a na dodatek kupiła bar Peschela.

- Ona nieprzyzwoicie się wzbogaciła, Peschel zapewnił sobie dostatnie życie na emeryturze, a Slade

otworzył prosperujące biuro detektywistyczne — powiedziałam. - Wszyscy byli zadowoleni.

- Do czasu, aż Peschel posunął się w latach, zniedołężniał i zaczął wydzwaniać do policjantów z informacjami sprzed dziesięciu lat - powiedział Monk. — Nick Slade nie mógł pozwolić na to, żeby Stottlemeyer lub Braddock głębiej się zastanowili nad słowami dawnego informatora i zaczęli się wszystkiego domyślać.

- Slade musiał posprzątać bałagan i uciszyć całą trójkę - powiedziałam, wiedząc, że taka metafora spodoba się Monkowi. - Zajęcie się Peschelem było najprostsze. Ale Stottlemeyer i Braddock? Jak nimi zamierzał się zająć?

- To z pewnością spędzało mu sen z powiek, dopóki nie zobaczył nas na konferencji w hotelu Dorchester. Widząc, jak Braddock publicznie upokarza Stottlemeyer a, pomyślał, że to prawdziwy dar niebios. Już wtedy zabrał szklanekę kapitana, aby później ją wykorzystać.

- Sprzyjało mu coraz więcej okoliczności. Stottlemeyer zwolnił pana z pracy, a na stypie uderzył Braddocka w twarz — powiedziałam. — Pewnie sam nie wierzył, ile ma głupiego szczęścia.

- Wówczas mnie zatrudnił - mówił Monk.

- Celowo zlecał panu tyle spraw, żeby nie potrafił pan jasno myśleć.

- Ale ty potrafiłaś. Widziałaś wszystkie ślady.

- Raczej je wyczuwałam, niż widziałam - odparłam, dotykając piersi.

- To nawet ważniejsze. Odezwał się w tobie instynkt i naturalna potrzeba porządku - przekonywał Monk. — Dzięki temu rozwikłałaś trzy morderstwa.

- To nie ja - zaprzeczyłam. - To pan.

- Ty zrobiłaś to przede mną- utrzymywał Monk.
- Ale nie wiedziałam, że to zrobiłam, dopóki pan tego nie zrobił. Musiał pan to zrobić, żebym się dowiedziała, że to zrobiłam, więc właściwie tego nie zrobiłam, mimo że teraz pozwolił pan, żebym to zrobiła.
- Jednak właśnie ty to zrobiłaś. I zrobiłaś to pierwsza.
- Ale nie potrafiłam tego zrobić, więc to pan rozwiązał całą zagadkę.
- Monk potrząsnął głową.
- Razem ją rozwiązaliśmy.
- Dałam mu ogromnego buziaka w policzek, a moje oczy napełniły się łzami.
- Co się stało? - zapytał zaniepokojony.
- Łzy przerażają Mońka nie mniej od zarazków. Może nawet bardziej. Z zarazkami umie sobie radzić.
- Nic. - Podałam mu chusteczkę higieniczną z torebki. - To łzy radości. Wiem, kim jestem.
- Jesteś Natalie Teeger.
- Jestem asystentką Adriana Mońka - odparłam, drugą chusteczką wycierając mu policzek, w który go pocałowałam.
- Wcześniej było to dla ciebie zagadką?
- W pewnym sensie - odpowiedziałam. - Ale już nie jest.
- Cieszę się, że przynajmniej jedną zagadkę mamy rozwiązaną— westchnął.
- Zapomniał pan o tej, o której przed chwilą rozmawialiśmy?
- Włożyłam zużyte chusteczki do woreczka foliowego, który wsadziłam do torebki. Nad naszymi głowami krążyły śmigłowce stacji telewizyjnych.
- Obawiam się, że na tym się skończy. Na rozmowie — stwierdził Monk. — Nie mamy dowodu.

Miał rację. Jedynymi osobami, które знаły prawdę, byli Linda Wurzel i Nicholas Slade, a oni nie będą chcieli zeznawać. Gorzej, wiedzieli teraz, że wpadliśmy na ich trop.

- Nick szybko się dowie, że byliśmy u Lindy Wurzel - rzekłam. - Jeśli sama mu nie powie, to Nick ustali to, śledząc trasę przejazdu naszego samochodu.

- Jesteśmy obserwowani? — zapytał Monk.

Powiedziałam mu o urządzeniach GPS, w które są wyposażone samochody służbowe Intertectu, o monitorowaniu służbowych komputerów i moich podejrzeniach, że także telefony firmy są na podsłuchu.

- Slade popadł w obsesję śledzenia własnych agentów — podsumowałam.

- Zwłaszcza nas — dodał Monk, spoglądając na krążące nad nami śmigłowce; nad Chinatown latały w tej chwili trzy helikoptery stacji telewizyjnych. - Mam nadzieję, że nie ma podsłuchu w samochodzie. Zadzwoń do Julie i poproś ją, żeby natychmiast spotkała się z nami u mnie w domu.

- Dlaczego?

- Zamienimy się samochodami. Julie będzie jeździła lexusem po okolicy - wyjaśnił.

- Taki pomysł na pewno się jej spodoba - powiedziałam. — Od czasu, jak mam lexusa, ciągle mnie o to błaga.

- Zadzwoń też do Danielle i powiedz, żeby przyjechała do mnie swoim prywatnym samochodem.

Najwyraźniej Monk nie chciał, żeby Slade nadal śledził nasze ruchy.

- Co pan zamierza?

- Linda Wurzel będzie co najmniej przez godzinę uwiązana przez policję i dziennikarzy, a potem

wróci do domu. Mamy tylko godzinę, aby się przygotować.

—Do czego?

- Do całodobowej obserwacji - wyjaśnił Monk. - Nie możemy spuścić oka z Lindy Wurzel.

—Przez jaki okres?

- Dopóki piekło nie zamrznie - odparł Monk. - Będziemy wiedzieć, kiedy to się stanie, bo Lindę Wurzel pokryje szron.

## Monk i opuszczony magazyn

Kiedy przed domem Mońka zamieniliśmy się z Julie samochodami, zapadał zmierzch. Julie nie mogła się już doczekać, żeby zabrać kilkoro przyjaciół i rozpocząć wieczorny objazd ulicami San Francisco, co być może podobało się Monkowi, ale mnie o wiele mniej.

Nie bałam się, że coś jej może grozić ze strony Nicka Slade'a. Bardziej martwiło mnie to, że Julie z grupą przyjaciół sama wpakuje się w jakieś tarapaty.

Gdy tylko Julie odjechała, za moim buickiem zatrzymał się kabriolet mini cooper, należący do Danielle i wyszliśmy z samochodów, aby na chodniku wszystko krótko omówić.

Nie chciałam na razie opowiadać jej całej historii, a ponieważ Monk się ze mną zgodził, nie wspomnieliśmy ani słowem, że Nicholas Slade jest zamieszany w potrójne morderstwo.

Danielle miała wiedzieć tylko tyle, że musimy uważnie śledzić Lindę Wurzel.

Dziewczyna zapewne się domyślała, że za akcją kryje się coś więcej i nie wszystko jej mówimy, ale o nic nie pytała. Wyciągnęła mapę Sea Cliff, eleganckiej i niebywale zamożnej dzielnicy położonej między parkami Presidio i Lincoln, słynącej z zapierających dech w piersiach widoków na Pacyfik,



most Golden Gate, cyple hrabstwa Marin, a w pogodny dzień nawet na górę Tamalpais.

Linda Wurzel mieszkała przy biegnącej łukiem ulicy. Postanowiliśmy zaparkować z obu jej końców, aby mieć dom na oku i móc ruszyć za nią bez chwili zwłoki w każdym z obu kierunków.

Utrzymując kontakt za pomocą telefonów komórkowych, będziemy mogli wszędzie za nią podążać, zmieniając się raz po raz za jej samochodem, aby nie zauważyła, że ktoś ją śledzi.

Tak robią prawdziwi zawodowcy i chyba po raz pierwszy poczułam się właśnie jak zawodowiec.

- Dlaczego mamy ją śledzić? - zapytała Danielle.

—Tego się dowiemy, jak skończymy ją śledzić — odpowiedział Monk.

Wbiegł jeszcze do mieszkania po krakersy Wheat Thins, butelkę wody i dodatkowe chusteczki higieniczne i po chwili ruszyliśmy w kierunku posiadłości Lindy Wurzel.

Wjazd do Sea Cliff wyznaczały dwie kamienne kolumny, stojące na zachodnim i wschodnim narożniku skrzyżowania alei Dwudziestej Piątej i El Camino Del Mar, by każdy miał świadomość, że wjeżdża do dzielnicy wyodrębnionej od reszty miasta.

Żeby o tym wiedzieć, nie były potrzebne kolumny. Wystarczył zapach pieniędzy.

Idealnie utrzymane rezydencje w stylu śródziemnomorskim otoczone były ogrodami z przystrzyżoną roślinnością i pięknymi, strzelistymi sosnami, wznoszącymi się nad wspaniałą panoramą.

Zaparkowaliśmy z Monkiem przy zachodnim końcu ulicy Lindy Wurzel, a Danielle obstawiła stronę wschodnią.

Uchyliłam troszeczkę okno, aby nacieszyć się chłod-

ną bryzą wiejącą od oceanu i wsłuchać się w fale rozbryzgujące się niżej o skaliste brzegi klifów.

Rezydencja była potężna i majestatyczna, otoczona wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza, wzdłuż którego dyskretnie rozmieszczone były w odpowiednich miejscach kamery przemysłowe. Misternie przystrzyżone krzewy w ogrodzie przypominały wyglądem wirujące, zielone trąby powietrzne, a korony drzew wyglądały jak ogromne kule. Wyłożona lśniącem brukiem alejka podjazdowa biegła najpierw do wejścia do domu, a dopiero potem do garażu po zachodniej stronie, zapewne po to, by szofer mógł wysadzić panią Wurzel przed domem, zanim odjedzie zaparkować auto w garażu.

Akcję udało nam się doskonale zsynchronizować. Dosłownie kilka chwil po naszym przyjeździe Linda Wurzel przejechała obok nas swoim srebrzystopielatym maybachem, przy którym mercedes klasy S wygląda jak toyota corolla.

Brama wjazdowa otworzyła się szeroko, samochód wtoczył się na posesję i zatrzymał przed prowadzącymi do domu schodami, którymi Linda Wurzel wbiegła po chwili do środka.

Zatem do Chinatown pojechała bez szofera. Czy posiadanie takiego olbrzymiego samochodu ma sens, jeśli człowiek nie ma ochoty podróżować z tyłu — na podgrzewanym fotelu z podwójną, nubukową tapi-cerką i opuszczanym oparciem - rozkładając „Wall Street Journal” na wiśniowym stoliczku obramowanym złotem i spoglądając na relacje CNN w jednym z czterech płaskich monitorów telewizyjnych?

Nie ma. Dlatego w moim buicku nie mam takiego wyposażenia.

Pierwsza godzina naszego oczekiwania minęła

mi na próbie wymyślenia sposobu na przekonanie sądu, że to Nicholas Slade jest winny morderstwa Pescheła i Braddocka.

Przyszło mi do głowy parę pomysłów, ale sama je zarzuciłam, nie dzieląc się nawet swoimi rewelacjami z Monkiem.

Jako pierwsza przyszła mi do głowy myśl, że być może ktoś widział bentleya zaparkowanego w pobliżu domu Peschelów w dniu morderstwa.

Ale nawet gdyby udało nam się ustalić, że taki samochód tam stał i należał do Slade'a, to wciąż nie był to dowód zabójstwa, lecz tylko odwiedzin u Billa Pescheła, co przecież Slade w przeszłości robił.

Może jednak Slade, chcąc być dyskretny, postanowił pojechać do Peschelów nierzucającym się w oczy bentleyem, lecz jednym z samochodów służbowych? Czy system GPS nie odtworzyłby wówczas miejsca, do którego tamtego dnia pojechał?

Być może, ale to znowu żaden dowód ani na to, że Slade siedział w tym samochodzie, ani na to, że dokonał zabójstwa. Zakładając oczywiście, że wcześniej nie wymazał z serwera danych pozwalających zrekonstruować trasę, którą odbył tego dnia jego samochód.

Ponieważ nie doszłam do żadnych mądrych wniosków w kwestii zabójstwa Pescheła, zaczęłam się zastanawiać nad sprawą Braddocka.

Jest oczywiście jasne, że osobnikiem w uniformie halabardnika, który jechał hotelową windą, był nie kto inny jak Nicholas Slade. Skoro istniał zapis z kamer przemysłowych, jak Stottlemeyer wchodzi do hotelu i z niego wychodzi, to powinien również istnieć zapis wejścia i wyjścia Slade'a.

Cóż, nawet jeśli był, to co z tego?

Nawet gdyby Slade przebywał w hotelu w czasie, gdy popełniono morderstwo, nie jest to dowód na to, że je popełnił. Mógł bez trudu podać szereg uzasadnionych powodów swojej obecności w hotelu - chciał się napić drinka, odwiedzić kolegów czy choćby skontrolować podwładnych, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo w hotelu Dorchester.

Ponieważ Intertect zarządzał systemem monitoringu w budynku, Nicholas Slade, gdyby tylko zechciał, mógłby prawdopodobnie wymazać każdy zapis kamer przemysłowych.

Monk miał rację. Stottlemeyer był przegrany. I nie bardzo wiedziałam, co wystawianie pod domem Lindy Wurzel może tu zmienić. Może byłam już przemęczona, może stałam się zrzędliva. Niewątpliwie też zaczynałam coraz bardziej żałować, że w domu Mońka nie skorzystałam z toalety.

Zadzwoiłam do Danielle, żeby sprawdzić, co robi. Słuchała *Anny Kareniny* w wersji audio, popijała zieloną herbatkę, podgryzała energetyczny baton turystyczny i generalnie, świetnie się bawiła w swojej pierwszej roli tajniaka.

Ja co prawda miałam w torebce kryminał *Napisala: Morderstwo*, ale nie mogłam go czytać, bo musiałabym włączyć światło w samochodzie, a to mogłoby zwrócić uwagę Lindy Wurzel i sąsiadów, których woleliśmy uniknąć. Pojawiło się nawet parę patroli prywatnych ochroniarzy, ale za każdym razem gdy przechodzili, chowaliśmy głowy.

W końcu zapadłam w drzemkę.

Wydawało mi się, że na sekundę zamknęłam oczy, a już Monk trącał mnie łokciem, wrywając ze snu. Było po północy. Wurzel wyjeżdżała z posiadłości swoim maybachem; skręcała w stronę Danielle.

Zadzwoiłam do Danielle, zasygnalizowałam, że zbliża się do niej Linda Wurzel, i uruchomiłam samochód.

Muszę przyznać, że było to podniecające. Nigdy wcześniej nikogo nie śledziłam, siedząc za kierownicą auta. Również w głosie Danielle wyczułam nutkę podekscytowania. Pozostawałyśmy w ciągłym kontakcie telefonicznym, abyśmy mogły płynnie się zmieniać, jadąc to za maybachem, to przed nim.

Wurzel poprowadziła nas przez całe miasto w kierunku wschodnim, aż do Mission Bay, gdzie wjechała między niszczące, dawno opuszczone warsztaty, odlewnie i hale magazynowe, należące niegdyś do huty Bethlehem Steel.

Nie powiem, by było to sympatyczne miejsce. Potężne budynki rozkładały się jak zwłoki; stara cegła się kruszyła, szyby w oknach były wybite, a blacha falista odłaziła rdzewiejącymi, gnijącymi płatami.

Jeśli oglądaliście w telewizji trochę kryminałów, to wiecie, że po północy w takich starych, pustych magazynach nie może się stać nic dobrego.

Ostatni raz byłam tutaj z Monkiem, by zobaczyć ciało zamordowanego policjanta, który popełnił grubą błąd, umawiając się w nocy na wyludnionej, jałowej ziemi fabrycznej z bardzo niewłaściwym osobnikiem.

Kiedy było już jasne, dokąd zmierza Linda Wurzel, zatrzymaliśmy się z wygaszonymi światłami parę przecznic wcześniej i obserwowaliśmy, jak maybach znika w jednej z hal magazynowych wielkości lotniskowego hangaru.

Odwróciłam się do Mońka.

- Co teraz?

—Pójdziemy za nią.

Taki pomysł nie bardzo mi się podobał.

— Nie powinniśmy wezwać policji? — zapytałam.

— Po co?

— Bo to może być niebezpieczne - stwierdziłam.

— Ale nikt nie popełnił żadnego wykroczenia — powiedział Monk.

— Popelniono trzy morderstwa — zauważyłam. — Wolałabym, żeby nie było trzech następnych.

— Zadzwoń do Danielle i powiedz jej, że wchodzimy do magazynu i żeby do nas dołączyła - polecił Monk. — Musimy zobaczyć, z kim spotyka się Linda Wurzel na takim odludziu w środku nocy.

Zadzwołam do Danielle, a potem oboje ruszyliśmy w stronę magazynu. Monk robił wszystko, aby nie otrzeć się o nic brudnego i nie wdepnąć w nic, co mogłoby zapłamić buty.

Na zewnątrz magazynu znajdował się duży ba-ner. Widniał na nim kreślony ręką architekta rysunek oryginalnego miasteczka w stylu śródziemnomorskim z przystanią żaglową i ogrodami, nad którym ciągnął się napis: **JUŻ WKRÓTCE NOWE OSIEDLE MIESZKANIOWE Z ZAPLECZEM HANDLOWYMI I USŁUGOWYM ZBUDUJE TUTAJ DLA CIEBIE DALBERG ENTERPRISES.**

Może to zabrzmiało głupio, ale gdy przeczytałam ba-ner, poczułam się bezpieczniej, jakby siły postępu urbanistycznego mogły mnie uchronić przed wszelkim złem.

Drzwi do magazynu były lekko uchylone i po cichu wślizgnęliśmy się do wnętrza.

Na samym środku hali, w miejscu, gdzie kiedyś stały wielkie maszyny, zobaczyłam maybacha i ben-tleya, których reflektory oświetlały całe wnętrze silnym blaskiem. Przed samochodami, w smudze światła, stali twarzą do siebie Linda Wurzel i Nicholas

Slade, niczym piosenkarz i piosenkarka na estradzie. Wątpiłam jednak, by przyjechali tu śpiewać lub tańczyć.

Słyszałam ich głosy, ale nie potrafiłam zrozumieć, co mówią. Ona w każdym razie była wyraźnie zdenerwowana.

Podeszliśmy do nich ostrożnie i bezgłośnie, obchodząc stopy pogruchotanych cegieł, poskręcanych rur i hałdę jakiejś rdzewiejącej maszynarii, która była może szkieletem pozostałym po gigantycznych hutniczych bestiach.

Od Wurzel i Slade'a dzieliło nas teraz dosłownie kilka metrów. Wyciszyłam telefon komórkowy, żeby jakiś przypadkowy dzwonek nie zdradził naszej obecności, i wcisnęłam jeden z przycisków szybkiego wybierania.

- To stało się tak dawno temu. Właściwie przestałam się martwić, że ktoś się o tym dowie - mówiła Linda Wurzel. - Co się stało?

- Padliśmy ofiarą starczego bredzenia. Ale już się tym zająłem - wyjaśnił Slade.

- Gdybyś się tym zajął, nie pojawiliby się u mnie - stwierdziła. - Jak im się udało powiązać to wszystko ze mną?

- To nieistotne.

- Oczywiście, że istotne - powiedział Linda Wurzel. — Nawarzyłeś piwa, więc teraz musisz je wypić.

- Właśnie mam taki zamiar, Lindo.

Slade wyjął pistolet spod marynarki. Potem wyciągnął z kieszeni tłumik i sprawnie przykręcił go do końcówki lufy.

- Dzisiaj będziesz spała z rybkami — powiedział.

Wurzel zaczęła się cofać.

- Chyba nie zamierzasz mnie zastrzelić.

—Nie zastrzelę, jeśli sama skoczysz z przystani do zatoki - odpowiedział. - Nie martw się. Taka kąpiel czyni cuda dla urody. Rybki zjedzą wszystkie twoje obumarłe tkanki. Będziesz piękna. Na pogrzebie będziesz mogła mieć otwartą trumnę.

Wycelował w nią pistolet. Nie byliśmy uzbrojeni.

Niewiele mogliśmy zrobić. Monk wyszedł z ukrycia.

—To koniec, Slade - powiedział.

Ja również wyszłam i stanęłam obok Mońka.

Nicholas Slade wydawał się bardziej rozbawiony naszym nagłym pojawieniem niż wystraszony.

Wciąż mierzył w Lindę Wurzel, która stała nieruchoma, w szoku, z otwartymi szeroko ustami.

—Proszę, proszę. Domyślam się, że to nie wyjeżdżicie w tej chwili moim lexusem po Berkeley — powiedział Slade. - Nie doceniłem was.

Na moment zapomniałam o Nicholasie Siadzie, jego pistolecie i całej tej śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji.

Co Julie robi w środku nocy w Berkeley?! I z kim? Korciło mnie, żeby zaraz sięgnąć po telefon i zmyć jej głowę.

—Wiedziałem, że przerażona pani Wurzel na tychmiast do ciebie zadzwoni, ale nie spodziewałem się, że będziesz chciał ją zabić - stwierdził Monk.

- Wpadłem w morderczy szał - odrzekł jowialnie Slade.

Poza nim jakoś nikogo to nie ubawiło.

- To koniec - poinformował go Monk. - Odłóż broń.
- Odłożę dopiero wtedy, kiedy zabiję ją i was oboje.
- Nie sądzę - rzuciłam głośno, aż po hali się po-



niosło echo. - Zawiadomiliśmy policję. Za parę minut zaroi się tu od policjantów.

Miałam nadzieję, że Danielle ukrywa się w pobliżu i wezwie policję, bo w przeciwnym razie było po nas.

- Nie wierzę ci - stwierdził sucho Slade. - Ale nawet jeśli mówisz prawdę, to mamy dość czasu, by szybciotko załatwić sprawę. Powiedz mi, Monk, gdzie popełniłem błąd?

- Zamordowałeś Steve'a Wurzela, zamiast aresztować jego żonę Lindę.

- Oczywiście, ale coś poza tym? - Slade się uśmiechnął.

- Nie popełniłeś żadnego błędu - przyznał Monk. - Perfekcyjnie zatarłeś wszystkie ślady.

- Mimo to stoisz przede mną.

- Bo wierzymy w niewinność Stottlemeyera. Poza nami nikt tak nie myśli. Jesteś jedyną osobą, która знаła Stottlemeyera, Peschela i Braddocka i brała udział w konferencji. Ponadto z Billem Peschelem łączyło cię coś jeszcze: inwestycja w akcje InTouch-Space, która dziesięć lat temu odmieniła wam życie.

- Ale dowodów nie ma?

- Ani jednego - przyznał Monk. - Chyba że ona zacznie mówić. Albo ty.

Slade uśmiechnął się szeroko.

- Właśnie tak myślałem.

- Więc nie ma powodu, żeby mnie zabijać. Gadanie byłoby dla mnie samobójstwem - odezwała się Linda.

- Wolę dmuchać na zimne - stwierdził Slade. - Znowu popełnisz jakiś głupi błąd, jak zrobiłaś to dzisiaj, albo odbije ci któregoś dnia jak Pe-schelowi.

- To już się stało - podchwycił Monk. - Powinieneś widzieć, co ona sobie nakłada na twarz.

- Zamknij się, kretynie - fuknęła Wurzel. - Ani trochę nam nie pomagasz.

Musiałam przyznać jej rację, ale nic nie powiedziałam. Im dłużej rozmawiali, tym większe stawało się prawdopodobieństwo, że policja dotrze tutaj, zanim padniemy trupem.

- Nie miej mi tego za złe, Monk - poprosił Slade. - Ale już podjąłem decyzję.

Podniósł pistolet i wymierzył w głowę Lindy Wurzel.

Jej czas, i nasz czas, dobiegł końca.

W tej chwili, z wysokiej przymy gruzu i cegieł, skoczyła nagle Danielle. Wrzeszczała jak opętana, przecinając powietrze niczym strzała.

Gruchnęła w Slade'a i zanim ten zdążył zareagować, przewróciła go i wytrąciła mu z ręki pistolet. Slade wystrzelił, ale pocisk trafił w jedną z opon maybacha.

Slade niemal natychmiast stanął na nogach, podobnie jak Danielle. Oboje zatańczyli w gwałtownym tańcu piruetów, kopnięć i uderzeń karate.

Wurzel, Monk i ja gorączkowo szukaliśmy pistoletu. Dostrzegłam go w tej samej chwili co Linda. Odepchnęłam ją z całych sił łokciem i chwyciłam za broń w chwili, kiedy Slade złapał Danielle od tyłu za szyję i odwrócił się w naszą stronę.

- Rzuć broń, bo skręcę jej kark — zagroził.

Wycelowałam w niego.

- Skręc jej kark, a rozwalę ci łeb. I tak ci go rozwałę, jeśli nie puścisz jej w ciągu dziesięciu sekund.

Wurzel stała teraz po mojej lewej stronie; obejmowała się rękami i trzęsła na całym ciele.

- Nie przechodziłaś ćwiczeń na strzelnicy. Na pewno marny z ciebie strzelec — wycedził Slade.

Danielle robiła wrażenie, jakby zaraz miała stracić przytomność. Jeszcze kilka sekund i nie będzie miało znaczenia, czy do niego strzelę czy nie.

- Mój mąż był pilotem myśliwca w marynarce - powiedziałam, starając się mówić spokojnym, niskim głosem i wyobrażając sobie, że jestem Brudnym Harrym w spódnicy. - Naprawdę chcesz podjąć ryzyko i sprawdzić, czy mnie czegoś nauczył?

- Zanim cię zatrudniłem, sprawdziłem cię od góry do dołu.

- W takim razie wiesz, że pana Mońka poznałam, kiedy we własnym domu, gołymi rękami, zabiłam włamywacza - powiedziałam. - Nawet jeśli marnie strzelam, taki wyczyn nie będzie trudniejszy od tamtego.

- Właściwie użyłaś nożyczek - przypomniał mi Monk.

- Ale trzymałam je gołymi rękami.

- To jednak nie to samo.

- Chodzi o to, że potrafię zabić, panie Monk, a broń w rękę na pewno to ułatwia. - Odwróciłam się do Slade'a. - To co, sprawdzimy, czy mam rację?

- Możesz trafić Danielle - ostrzegł mnie.

Danielle zacharczała i zwiśla mu bezwładnie w rękach.

- Jeśli będę miała szczęście, kula przejdzie przez nią i trafi ciebie - powiedziałam. — Jeśli nie, strzelę drugi raz.

- Może jednak powinnaś się zastanowić, Natalie — powiedział Monk.

- Może to on powinien się zastanowić.

Nicholas Slade świdrował mnie wzrokiem jak po-

kerzystą, który stara się rozgryźć blef przeciwnika. W puli było życie Danielle i jego wolność. Wiedział, że jeśli dokona złego wyboru, sam może zginąć.

Po chwili puścił Danielle i podniósł ręce.

Dziewczyna upadła na kolana, chwyciła się za gardło i łapała chciwie powietrze. Miałam nadzieję, że tylko trochę mnie nienawidziła.

Monk odetchnął z ulgą.

Ja jednak nie miałam zamiaru się odprezać. Wciąż mierzyłam z pistoletu w Slade'a. Z daleka dobiegło mnie wycie policyjnych syren. Za chwilę wszystko się skończy.

- Odsuń się od niej, Nick - rozkazałam.

Slade stanął dalej.

- Nic ci nie jest? — zapytałam Danielle.

Dziewczyna wstała wolno, kiwnęła głową i chwiejnym krokiem podeszła do Mońka. Bardziej wrażliwy mężczyzna objąłby ją zapewne i postarał się pocieszyć.

- Co dalej? - zapytał Slade pewnym siebie, naturalnym głosem.

- Poczekamy na policję, która cię aresztuje - odpowiedział Monk.

Syreny wyły coraz donośniej, były ledwie parę przecznic dalej.

- Pod jakim zarzutem?

Jego spokój wytrącał mnie z równowagi. Nie rozumiał, że jest już skończony?

- Pod zarzutem dokonania trzech morderstw i usiłowania zabójstwa - powiedział Monk. - To na początek.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Slade wzruszył ramionami. — Przyjechałem ochraniać Linde, która chciała sprawdzić w nocy swoją posesję. To niebezpieczne miejsce o tej porze.

- Próbowaleś ją zabić.  
- Ja? Kto tak powiedział? - zdziwił się Slade.  
- Wszyscy to mówimy - odparł Monk.  
- Ona nic nie mówi. - Slade skinął głową w kierunku Lindy Wurzel. - Pani Wurzel nie wniesie pozwu i nie potwierdzi waszych obłąkanych oskarżeń. W przeciwnym razie musiałyby przyznać się do tego, że wynajęła mnie do zamordowania męża, a przecież wolałyby tego nie robić. Prawda, Lindo, moja droga?

Gorzka prawda jego słów wbiła się w jej ciało jak szpileczki. W moje również.

Wurzel pokręciła wolno głową.

- Jesteś świnią, Nick.  
- Być może, ale związałaś się ze mną na śmierć i życie — odparł z uśmiechem.  
- Do czasu, dopóki on pani nie zabije — ostrzegłam kobietę.

Wiedziała, że mam słuszność. Jej twarz była biała jak świeżo nałożona maseczka gejszy. Ale nie miała wyjścia. Musiała odegrać z nim cały ten teatr, a potem myśleć o zagrożeniu, jakie Slade zaczął dla niej stanowić. Miała wystarczająco dużo pieniędzy, aby wynająć do ochrony dziesiątki goryli lub zamachowca, który zdjąłby Slade'a.

On również musiał o tym wiedzieć.

- Serce podszeptało mi coś innego - odezwał się Slade. - Mądrego czy nie, to w każdym razie żadne z nas nie chce iść do więzienia, prawda? I nigdy tam nie pójdziemy, jeśli oboje będziemy trzymać ją zyk za zębami.

Wystarczyło zerknąć na Mońka, by wiedzieć, że Slade się nie myli. Monk był zupełnie zgaszony, głowę miał spuszczonej, zwiesił ciężko ramiona. Po raz

pierwszy będzie pokonany przez mordercę, który okazał się sprytniejszy.

Nie mogłam znieść cierpień Mońka ani sekundy dłużej.

— Oboje traficie za kratki, i to jeszcze dzisiaj - oznajmiłam.

Slade pokręcił głową z dezaprobatą, jakby bardzo się na mnie zawiódł.

— W ogóle nie słuchałaś, o czym tu mówiliśmy, Natalie - zarzucił mi.

— Owszem, słuchałam uważnie. - Sięgnęłam wolną ręką do kieszeni i wyjęłam telefon komórkowy. - Automatyczna sekretarka w moim domowym telefonie również wszystkiego wysłuchała.

To właśnie ten przycisk szybkiego wybierania wcisnęłam, kiedy weszliśmy z Monkem do magazynu.

Z twarzy Slade'a w jednej chwili zniknął zarozumiały uśmiech, a Monk spojrział na mnie ze zdumieniem.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Dyspozytor telefonu alarmowego również wszystkiemu się przysłuchiwał - oznajmiła Danielle słabym, chrapliwym głosem, podnosząc swój telefon z przyzmy cegieł, gdzie go wcześniej położyła. - Nie przerwałam połączenia z policją, kiedy się na ciebie rzuciłam.

Wurzel oparła się o maybacha i wybuchnęła płaczem. Niebawem zamieszka w celi o połowę mniejszej i o wiele mniej wystawnej niż wnętrze tego auta.

Monk wyprostował się i pokiwał głową, najwyraźniej dumny z obu swoich asystryntek. Sprawa znalazła finał. Czarne charaktery zapłacą za swoje zbrodnie. Równowaga świata została przywrócona.

Dla Mońka nie mogło być nic doskonalszego.

Za naszymi plecami do hali wtoczyły się trzy czarno-białe radiowozy na sygnale.

Zerknęłam na Slade'a, który wbijał we mnie tak wściekle i dzikie spojrzenie, że miałam ochotę natychmiast wypalić z pistoletu, byłe poczuć się bezpieczniej.

- Zwalniam cię - syknął Slade.

## 28 Monk

### zmienia świat

Niechętnie rozstawałam się z lexusem, pulą na wydatki służbowe i ubezpieczeniem zdrowotnym, ale przynajmniej zachowaliśmy życie.

Podczas gdy policjanci zakuwali w kajdanki Lindę Wurzel i Nicholasa Slade'a, a Monk zdawał relację Disherowi, ja zadzwoniłam do Julie i powiedziałam, żeby natychmiast zwijała majdan i wracała do domu. Uprzedziłam też, że sama wrócę dopiero nad ranem.

- Kto jest tym szczęściarzem? — zapytała Julie.

- Porucznik Disher.

- Chyba żartujesz. - W głosie Julie brzmiało autentyczne przerażenie.

- To nie tak, jak myślisz. Będzie spisywał moje zeznania - wyjaśniłam. — Właśnie złapaliśmy mordercę.

- Bombowo - ucieszyła się moja córka.

Życzyłam jej słodkich snów i rozłączyłam się. Nie mówiłam jej, że o mały włos nie zginęliśmy, i nigdy czegoś takiego jej nie powiem. Są rzeczy, o których Julie nie musi wiedzieć.

Wsunęłam telefon z powrotem do torebki i zobaczyłam, że tylne drzwi maybachy są lekko uchylone. Na tylnym siedzeniu siedziała Danielle. Spoglądała na mnie i popijała wodę z butelki.

- Wygodnie? - zapytałam.



- Pomyślałam, że nigdy nie będę miała okazji zbliżyć się do takiego samochodu, więc postanowiłam skorzystać — wyjaśniła. - Również z lodówki. Są tu czekoladki Godiva, winogrona i sześć różnych gatunków sera.

- Ocaliłaś nam życie. Dziękuję - powiedziałam po chwili.

Machnęła lekceważąco ręką.

- Szybko mi się zrewanżowałaś.

- Skoro o tym mowa — ciągnęłam z pewnym wahaniem w głosie. - Wiesz, że to było tylko takie gadanie, prawda? To znaczy, na pewno nie zrobiłabym nic, przez co mogłaby ci się stać krzywda.

- Nick myślał inaczej. Czułam na plecach, jak wali mu serce.

- Nie wiem, czy odważyłabym się strzelić.

- Ja bym wiedziała.

To dawało jej nade mną przewagę. Mimo to wciąż nie wiem, jak bym postąpiła.

- Co będziesz dalej robić? - zapytałam.

- Będę szukać posady. Może w jakiejś mniej niebezpiecznej branży.

- Jesteś bardzo dobra w tym, co robisz.

- Ale nie jestem pewna, czy chcę to robić - odpowiedziała. - Muszę wziąć trochę wolnego i wszystko przemyśleć.

Podeszli do nas Monk i Disher.

- Gratulacje - powiedział porucznik. - Wykonałaś kawał znakomitej, detektywistycznej roboty. Monk wszystko mi opowiedział. Musicie jeszcze pojechać ze mną na komendę i złożyć oficjalne zeznania.

- Uda ci się z tego przygotować mocny akt oskarżenia? - zapytałam.

- Nagrania z dyspozytorni telefonu alarmowe-

go i automatycznej sekretarki są równie mocne jak podpisane zeznania - wyjaśnił. - Wurzel i Slade też to wiedzą. Sami już główkują, jak wyrolować jedno drugie w zamian za niższy wyrok.

- Kiedy zwolnią kapitana Stottlemeyera? - zapytał Monk.

- Gdy tylko prokurator okręgowy obudzi sędziego. Na razie kapitan relaksuje się w pokoju socjalnym przy pączkach i kawie.

- Zatem póki co, wciąż jesteś p.o. kapitan Disher.

- Owszem. - Disher uśmiechnął się do Danielle i wyciągnął do niej rękę. — Jeszcze się nie znamy. Jak wspomniała Natalie, p.o. kapitan Disher. Ale wszyscy mówią do mnie Bullit.

- Wszyscy tak mówią? - zdziwił się Monk.

- Oczywiście.

- Ja nie — powiedział Monk.

- Ponieważ pan pozostaje poza kręgiem wtajemniczonych - stwierdził Disher. - Ja jestem w samym środku kręgu. Można powiedzieć, że krąg mnie okrąża.

Danielle wyciągnęła do niego rękę.

- Dlaczego tak na pana mówią?

Disher wypiął pierś i podciągnął spodnie.

- Wystarczy zobaczyć mnie w akcji na ulicy, a wszystko staje się jasne. Krótka rzecz ujmując, jestem nieustraszony.

- Przepraszam, Bullit - przerwałam mu. - Jak sądzisz, dokąd pojedzie Stottlemeyer, kiedy wyjdzie z aresztu?

- Prawdopodobnie zajrzy na komendę, żeby wam podziękować, a potem pojedzie do domu. - Disher odwrócił się z powrotem do Danielle. - Czy po złożeniu zeznań nie zechciałaby pani zwiedzić naszej komendy?

- Mógłbyś zacząć od pokazania jej swojego gabinetu p.o. kapitana — poradziłam. — Jestem przekonana, że się jej spodoba.

- Boże... - Porucznik nagle zmarł. - Tam wciąż są moje rzeczy.

Obrócił się na pięcie i popędził w stronę samochodu.

- Co mu się stało? - zdziwiła się Danielle.

Wzruszyłam ramionami.

- Wiesz, to Bullit. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy skończyliśmy składać zeznania, wschodziło już słońce. Danielle pojechała do domu, a my z Monkiem postanowiliśmy zostać, by zobaczyć się z kapitanem Stottlemeyerem, kiedy wróci z aresztu.

Monk wykorzystał ten czas na mycie okien, odkurzenie półek i wytarcie mopem podłogi w gabinecie Stottlemeyera. Oświadczył przy tym wspaniałomyślnie, że pozwoli mi się przyłączyć i trochę pomóc, ale podziękowałam. Dobrze wiedziałam, jak bardzo lubi sprzątać, a poza tym nie musiałam się martwić, że coś zrobię źle.

O tak, istnieje bowiem dobry i zły sposób mycia podłogi. Zajęcie to wymaga wysoko zaawansowanej techniki, a jeśli nie będzie precyzyjnie wykonane, może spowodować wybuch epidemii i koniec cywilizacji.

Zamiast podejmować takie ryzyko, zrobiłam sobie kubek kawy, usiadłam przy biurku Lansdale'a i patrzyłam, jak Monk sprząta, a Disher wypełnia stopy formularzy. Nawet nie zauważyłam, że w pokoju jest już Stottlemeyer, dopóki nie stanął mi przed nosem. Znowu miał na sobie swoje codzienne, wy-

gniecione ubranie i wyglądał na skrajnie zmęczonego, ale na jego twarzy jaśniał uśmiech.

- „Jeśli będę miała szczęście, kula przejdzie przez nią i trafi ciębie”. Chyba zaczniemy na ciębie mówić Brudna Natalie - powiedział.

Disher się skrzywił. Gdyby taki przydomek do mnie przylgnął, byłby skończony. Prawdę mówiąc, miałam ochotę pomóc przydomkowi przylgnąć, żeby dać Randy'emu po nosie za aresztowanie kapitana Stottlemeyera.

- Skąd pan wie, że tak powiedziałam? - zapytałam zaskoczona.

- W całym budynku odtwarzają sobie fragmenty nagrania z dyspozytorni - wyjaśnił Stottleme-yer. - Twarda z ciębie babka.

- To dla pana nowina?

- Nie. — Pokręcił głową. - Mnie też już się nieraz dostało.

Z gabinetu kapitana wyszedł Monk w gumowych rękawiczkach.

- Witamy w domu, Leland - powiedział. - Gabinet jest czysty i wydezynfekowany. Nawet nie chcesz wiedzieć, jak przedtem wyglądał.

Stottlemeyer chwycił go, przygarnął mocno do siebie i poklepał przyjaźnie po plecach.

- Wiedziałem, że na ciębie mogę liczyć, Monk. Dziękuję.

- To moja praca - odpowiedział wystraszony Monk, stojąc w bezruchu, z rękami spuszczoneymi sztywno wzdłuż ciała.

- I nie ma w niej lepszego od ciębie. - Kapitan jeszcze raz wałnął go serdecznie po plecach i w końcu puścił. - Bez względu na to, co mówią inni. Zupełnie mnie to nie obchodzi. Zwłaszcza teraz. - Spoj-

rzał ponad głową Mońka na Dishera, który stał niepewnie, przestępując nerwowo z nogi na nogę i nie potrafiąc spojrzeć kapitanowi w oczy. Stottlemeyer westchnął i wyciągnął do niego rękę. - Nie czuję urazy, Randy. Wiem, że wykonywałeś swoje obowiązki i robiłeś to dobrze.

Uradowany porucznik pochwycił wyciągniętą ku niemu dłoń, przyciągnął kapitana do siebie i uściśnął go z całych sił.

- Dziękuję. Tak się cieszę, że już po wszystkim.

- Ja również — odpowiedział kapitan. Ale

Disher go nie puszczał.

- Przeżywałem prawdziwe piekło.

- Tak, zapewne nie było ci łatwo. - Stottlemeyer usiłował wyrwać się z objęć, ale Disher trzymał go wyjątkowo mocno. - Puść mnie, Randy.

Ruszyliśmy z Monkiem w kierunku drzwi. Stottlemeyer odwrócił do nas głowę, spojrzał błagalnym wzrokiem i powiedział:

- Potrzebna mi drobna pomoc.

- Teraz już nie możemy panu pomóc - powiedziałam i otworzyłam Monkowi drzwi.

- Takie jest brzemię odznaki policyjnej - mówił Disher. — Ona nie ma duszy. Ale ja mam duszę.

- Wiem, że masz - mówił Stottlemeyer, klepiąc go po plecach. - Wiem.

Zamknęłam za nami drzwi.

Kiedy krótko po świcie weszłam do domu, Julie nie spała i czekała na mnie. Siedziała na kanapie, twarzą do drzwi wejściowych, z założonymi rękami.

- Nie musiałaś na mnie czekać - powiedziałam. Gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że Julie ma oczy

czerwone od płaczu, a po jej policzkach toczą się łzy. Usiadłam obok niej, objęłam ją i przytuliłam. - Co się stało, kochanie?

- Na naszej automatycznej sekretarce była na grana wiadomość, więc ją odsłuchałam.

Zamknęłam oczy i pocałowałam Julie w czubek głowy.

- Przepraszam.

- Mamo, mogli cię zabić.

- Nie mogli.

- Co ty sobie myślałaś, jadąc w środku nocy do starych, opuszczonych magazynów na nabrzeżu?

- Wykonywałam swoją pracę.

- Łapanie morderców.

- Myślę, że w tym jestem najlepsza.

- Jesteś.

- Naprawdę tak sądzisz?

- „Chodzi o to, że potrafię zabić, a broń w rękę na pewno to ułatwia” - zacytowała moje słowa.

Skrzywiłam się.

- Chodziło mi o coś innego.

- Tato był znakomitym pilotem, ale to nie uchroniło go przed zestrzeleniem. Nie chcę stracić również ciebie, mamo.

- Może powinnam rzucić tę pracę i zająć się czymś bezpieczniejszym.

- Człowiek może zginąć na przejściu dla pieszych. Ta praca przynajmniej daje ci wiele radości - powiedziała Julie. — Więcej niż jakakolwiek inna, przy której cię widziałam. Ale musisz mi obiecać, że będziesz ostrożna.

- Hej, w tym domu ja jestem tą, która powinna się martwić o drugą osobę.

- To się zmieniło, odkąd ludzie zaczęli do ciebie

mierzyć z pistoletu - stwierdziła Julie. - Więc jak, obiecujesz?

- Obiecuję.

Dawno nie tuliłam do siebie córki. Odkąd stała się dojrzewającą nastolatką, matczyne pieszczoty były ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę. Nie chciała się czuć jak małe dziecko. Ale w tej chwili nie miało to dla niej znaczenia, a ja byłam jej za to wdzięczna.

Przytulaliśmy się do siebie, bezpieczne i oddane sobie nawzajem, aż w końcu zasnęliśmy.

Następnego dnia wzięłam urlop, żeby dobrze się wyspać i odpocząć po wszystkich emocjach. Aresztowania Wurzel i Slade'a oraz zwolnienie z aresztu Stottlemeyera nastąpiły za późno, aby znalazły się w porannej prasie, a telewizora postanowiłam w ogóle nie włączać.

Przez cały dzień kręciłam się po domu bez celu, nie zwracając sobie niczym głowy. Skończyłam w każdym razie czytać *Napisala: Morderstwo*. Nie mogłam zrozumieć, jak ta starsza dama sobie radziła. Byłam o trzydzieści lat młodsza, a rozwikływa-nie morderstw i stawianie czoła różnym zabójcom odbierało mi wszystkie siły.

Sprawa Wurzelów trafiła na pierwsze strony gazet następnego dnia rano. Artykuły dokładnie opisywały, czego dopuścili się Nicholas Slade i Linda Wurzel i jak doprowadziło to do zabójstw Peschela i Braddocka, ale brakowało w nich wielu szczegółów dotyczących wykrycia i schwytania sprawców. Mońka wspomiano tylko na marginesie, a moje nazwisko nie padło ani razu (nic dziwnego, skoro dzień wcze-

śniej żaden z reporterów nie próbował się ze mną skontaktować). Wnioski z artykułów płynęły takie, że policja prowadziła swoje dochodzenie z uporem i niezachwianym przeświadczeniem, że kapitan Stottlemeyer nie może być winnym zbrodni.

Taka rażąca nieścisłość niewiele mnie obchodziła. Nie szukałam poklasku ani sławy. Wystarczyło mi, że wyszliśmy z tego żywi, a kapitan został oczyszczony z zarzutu.

O dziewiątej rano pojawiłam się jak zwykle u Mońka, gotowa stawić czoło problemowi naszego bezrobocia. Wciąż jeździłam lexusem i postanowiłam jeździć nim, dopóki nie pokaże się ktoś z Intertectu i go nie zarekwiruje. Po tym, przez co kazał mi przejść Nicholas Slade, należało mi się to jak psu kielbasa.

Zaplanowałam, że będę telefonować do lokalnych departamentów policji w miastach wokół zatoki i zobaczę, czy ktoś będzie zainteresowany naszymi usługami.

Monk natomiast zaplanował, że skontaktuje się z firmą produkującą pojemniki na zużyte pieluchy i zaproponuje, że mógłby zostać jej przedstawicielem handlowym na Zachodnim Wybrzeżu, odpowiedzialnym za rozpowszechnianie ich firmowego gadżetu. Pokój dzienny w jego mieszkaniu zapełniony był kolejnymi pojemnikami, które zdążył dzień wcześniej kupić.

Jednak zanim każde z nas mogło podjąć swoje wielkie zawodowe wyzwanie, rozległo się pukanie do drzwi i stanął w nich Stottlemeyer. Jak na kogoś, kto tyle przeszedł w ostatnich dniach, kapitan wyglądał na zdumiewająco wypoczętego i zrelaksowanego.

- Mam dobre wieści - zaczął już od progu.



—Departament policji zgodził się zastąpić kubły na śmieci moimi pojemnikami - ucieszył się Monk.

—Nie aż tak dobre. Wracasz do pracy jako nasz konsultant.

—Jak zmusił pan szefa do zmiany decyzji? - zapytałam zaskoczona.

—Szantażem — przyznał Stottlemeyer.

—To przestępstwo - powiedział Monk.

—Nie takim szantażem. - Stottlemeyer machnął ręką.  
- To się nazywa szantaż polityczny. Powiedziałem komendantowi, że jeśli nie przywróci mi poprzedniego budżetu, to wystąpię we wszystkich lokalnych stacjach telewizyjnych i udzielię wywiadu wszystkim dziennikarzom w San Francisco, dokładnie opowiadając, jak zostałem niesłusznie aresztowany przez niekompetentny departament policji i uwolniony wyłącznie dzięki wysiłkom konsultanta, którego ten departament właśnie zwolnił, a ponadto przypomnę dziennikarzom, że jednym z największych sponsorów ostatniej kampanii wyborczej burmistrza była Linda Wurzel.

—Auuć... — mruknęłam. - Skoro już mowa o naszej słodkiej Lindzie, jak przebiega śledztwo przeciwko niej i Sladebwi?

—Oboje próbują dojść do ugody z prokuratorem generalnym i zeznają przeciwko sobie, by uniknąć kary śmierci. Myślę, że Slade ma lekką przewagę. Okazuje się, że kiedy dziesięć lat temu spotkał się z Lindą Wurzel, miał ukryty podsłuch, a taśmę z nagraniem zatrzymał sobie jako polisę ubezpieczeniową.

—Slade nie nagrywałby rozmowy, gdyby od początku miał zamiar przyjąć czarną robotę - powiedział Monk. - Chciał ją aresztować, ale zapewne zmienił zdanie, kiedy usłyszał propozycję.

- To się nazywa chciwość, Monk. Dostrzegł łatwą okazję, aby wreszcie sfinansować swoje marzenia.

—Dlaczego Linda chciała zabić męża?

—Pamiętacie te wszystkie kobiety, które pojawiły się raptem po śmierci Wurzela, domagając się udziałów w jego majątku i twierdząc, że mają z nim dziecko? — zapytał Stottlemeyer. - Cóż, otóż... miały.

- Teraz rozumiem, dlaczego się wściekła - stwierdziłam. — Ale dlaczego wybrała się szukać zawołanego zabójcy do tawerny Peschela?

—Nie wiedziała, dokąd pójść. Wybrała najpodlejszy i najbardziej niebezpieczny bar w najgłębszej dzielnicy, jaką potrafiła znaleźć, uznając, że jest niemożliwe, by w takim miejscu nie było człowieka wystarczająco zdesperowanego i amoralnego do takiej roboty.

—Wierzyć się nie chce, że takiemu rysopisowi najlepiej odpowiadał funkcjonariusz policji - westchnął Monk.

- Świat jest brudny, Monk.

- Wiem - odparł Monk i wręczył kapitanowi pojemnik na pieluchy. - Ale możemy to zmienić.

- Czymś takim? - zdziwił się Stottlemeyer.

—Każda rewolucja musi się od czegoś zacząć — odpowiedział Monk.